

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

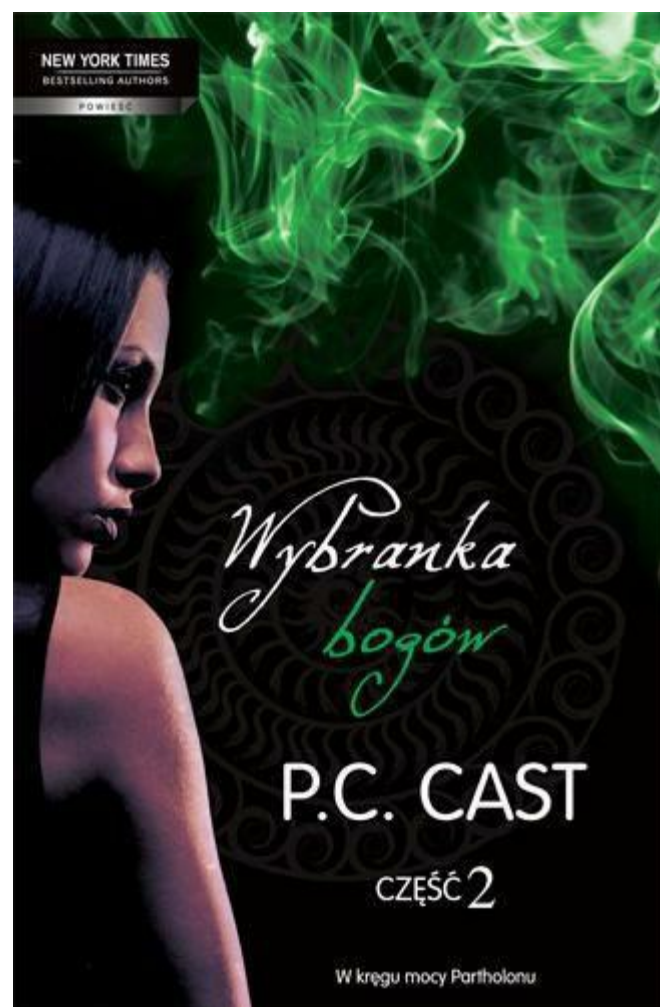
POWIEŚĆ

*Wybranka
bogów*

P.C. CAST

CZĘŚĆ 2

W kręgu mocy Partholonu



P.C. Cast

W kręgu mocy Partholonu (tom: 1)

Wybranka bogów

TOM II

Życie Shannon Parker zmieniło się w jednej sekundzie. Skromna nauczycielka jest teraz boginią, która rządzi mitycznym Partholonem. Z czasem odnalazła się w nowym świecie i w nowej roli. Zasmakowała w nieograniczonej władzy, ale też wie, jak z niej korzystać. Z każdym dniem zdobywa coraz większe zaufanie i miłość poddanych. Ku jej zaskoczeniu zaaranżowane małżeństwo z szamanem ClanFintanem okazało się nad wyraz udane.

Tymczasem magiczną przygodę zakłócają mroczne siły. Do granicy Partholonu zbliżają się okrutni Fomorianie. Gdy rozpocznie się decydujące starcie, Shannon przekona się, ile tak naprawdę jest w niej zwykłej nauczycielki, a ile walecznej bogini...

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Alanna rozwinęła mapę. Podsunęłam się bliżej, by zobaczyć wszystko dokładnie, zachowując jednocześnie bezpieczną odległość. Tej konkretnie mapy absolutnie nie miałam zamiaru dotykać. Nigdy w życiu!

Wszyscy wbili w nią wzrok. Na górnym krańcu, czyli na północy, za Górami Trier, widać było posępną Warownię, a przed górami trochę bardziej w lewo, czyli na zachód, położony był Zamek Laragona. Świątynia Muz była usytuowana na prawo, na wschód od Zamku Laragona, bardziej niż

on oddalona od gór. Trochę niżej wielkie, wydłużone jezioro Selkie, zaczynające się mniej więcej na wysokości Zamku Laragona. Ciągnęło się w prawo, na wschód, i stykało z rozległymi Bagnami Ufasach, które rozpościerały się dalej na wschód, podchodząc prawie pod Świątynię Muz. Sama Świątynia Muz stała nad odnogą rzeki Geal, tej rzeki, która płynęła w dół, w kierunku południowo-zachodnim i opływała szerokim łukiem Świątynię Epony.

– Czy można założyć, że Fomorianie nadal są w Zamku Laragona? – spytał Carolan.

– Jeśli zastosowali tę samą taktykę, co podczas najazdu na Zamek MacCallana, powinni raczej opuścić już Zamek Laragona i wrócić do Warowni. – ClanFintan podszedł bliżej do mapy i przez chwilę ją studiował. – Chociaż kto wie... To, że nie zostali w Zamku MacCallana, jest uzasadnione, bo stoi w bardzo odległym, odludnym miejscu, więc nie nadaje się na bazę wypadową. Co innego Zamek Laragona. Znam go, byłem tam kiedyś. Położony jest w bardzo dobrym miejscu i choć nie jest aż w takim stopniu obronny jak ta świątynia, może stać się dla nich drugą po Warowni bazą wypadową.

Dla nas była to wiadomość bardzo niepomyślna.

ClanFintan wskazał na zachodni kraniec mapy, gdzie widać było Zamek MacCallana stojący jak samotny strażnik na brzegu Morza B'an.

– Dzięki zdobyciu Zamku MacCallana zyskali gwarancję, że od strony północno-zachodniej nic im nie zagraża. Jest to dla nich bardzo istotne, bez względu na to, czy przebywają tylko w Warowni, czy również w Zamku Laragona.

ClanFintan mówił głosem idealnie beznamiętnym, jakby zdawał raport, wyraźnie starając się nie ulegać żadnym emocjom i spojrzeć na wszystko obiektywnie.

Podeszłam trochę bliżej, oczywiście nie dotykając mapy, i spytałam:

– Czy jest wystarczająco dokładna, by na jej podstawie planować wojenne ruchy?

– Tak – stanowczo odrzekł Carolan. – Wszystkie budowle i punkty orientacyjne zaznaczone są we właściwych miejscach, z tym że odległości na mapie wydają się mniejsze niż w rzeczywistości, natomiast zamki i świątynie są nieproporcjonalnie duże. – Uśmiechnął się. – To bardzo piękna mapa, ale kiedy przyszło do tworzenia budowli, tkacza trochę poniosła fantazja.

Uważałam, że mapa wykonana została super. Nie dostrzegłam żadnych nieprawidłowości w przedstawieniu budynków, ale przypomniałam sobie, że Gene miał regularnego bzika na punkcie szczegółów. Czyli z tego wynika, że lustrzane odbicia przejmują również wszelkie fobie, obsesje, natręctwa i tak dalej. Ciekawe, czy moje lustrzane odbicie również skopiowało sobie moją osobowość. (Zapamiętaj: może postarasz się być mniej ironiczna. Pomyśl o tym. Ale później).

Skupiłam się znowu na mapie. Rzeka Geal po opłynięciu Świątyni Epony i skręceniu na zachód stawała się znacznie szersza, pod tym względem mogła chyba konkurować nawet z Missisipi. Zmieniała również nazwę na Calman. W tym też miejscu, na południe od rzeki, zauważyłam lasy, a w nich kolejną budowlę opatrzoną nazwą Zamek Woulffa. Na wschodzie lasy graniczyły z rozległymi Równinami Centaurów.

Natomiast podążając z biegiem rzeki na zachód, natrafiłam na nową nazwę: Błękitne Bramy. Trudno się jednak było zorientować, o co konkretnie chodzi. Kawalek dalej zobaczyłam Zamek McNamary stojący w rozwidleniu rzeki Calman. Jedna z odnóg zachowała nazwę Calman, druga otrzymała nazwę Clare, obie wpadały do Morza B'an.

– Chyba Fomorianie nie zainteresują się tym zamkiem, skoro ze wszystkich stron otoczony jest wodą, a oni do wody nie wchodzi – powiedziałam, wskazując Zamek McNamary. – Ani Zamkiem Woulffa, tym w środku lasu.

– No i w Zamku Woulffa mają znakomitych łuczników – wtrącił Carolan.

– A w Zamku McNamary?

– Tam?! – ClanFintan prychnął. – Tam przede wszystkim jest McNamara, stary pieniacz, a ten

cały jego klan to zwyczajna dzicz.

– Tak. – Carolan smętnie pokiwał głową. – Oni żyją po swojemu.

– Ale whisky robią przednią!

I to, sądząc z tonu ClanFintana, wyraźnie mu się podobało.

Ja też byłam za, więc wsparłam małżonka:

– Tak! To zdecydowanie przemawia na ich korzyść! – oświadczyłam rozradowanym głosem, czym bardzo zaskoczyłam Alannę.

– Rhiannon nie znosiła whisky – powiedziała. – Uważała, że to napój dla pospólstwa.

– A ja uwielbiam dobrego łyskacza! – Oczywiście! Czy to taka zbrodnia? A poza tym bardzo dobrze, że ta wredna Rhiannon nie lubiła whisky. Im więcej różnic między nami, tym lepiej, prawda? Dla mnie każda różnica była powodem do wielkiego zadowolenia. – Czyli podsumowując, nie musimy się martwić, że Fomorianie napadną na Zamek McNamary i Zamek Woulffa? – spytałam, a gdy cała trójka pokręciła przecząco głowami, pytałam dalej: – A czy z tych zamków otrzymamy jakieś wsparcie? Przyślą nam swoich wojowników?

Carolan i ClanFintan wymienili się spojrzeniami, po czym mój mąż powiedział:

– Jeśli chodzi o Woulffa, możemy liczyć na jego pomoc.

Carolan milczał, czyli można było założyć, że jest tego samego zdania.

– A McNamara?

ClanFintan wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Trzeba go jakoś przekonać.

– Przekonać?! Nie wystarczy mu sam fakt, że chodzi o ratowanie ludzkiego życia?

– Zobaczymy. W każdym razie prześlemy mu wieść i poprosimy o pomoc.

Z tonu ClanFintana wynikało jednak, że wcale nie jest przekonany co do pozytywnej odpowiedzi.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Skoro jest taki, jaki jest, to może przesłać mu wiadomość bardziej wyczerpującą? Przekazać, że Fomorianie uprowadzają kobiety, a dziewczęta z Zachodniego Wybrzeża podobają im się najbardziej.

– Bardzo dobry pomysł – z uśmiechem skomentował

ClanFintan. – To go na pewno rozjuszy.

– Oczywiście nie wolno mu pisać ani słowa o tym, że Fomorianie nie wchodzi do rzeki, w związku z czym jest bezpieczny w swoim zamku. Lepiej to przemilczeć dla dobra sprawy. Natomiast myślę, że o uprowadzaniu kobiet i gwałtach należałoby również wspomnieć Woulffowi.

– Masz rację – powiedział ClanFintan.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy do siebie, cała czwórka, na znak, że w tej kwestii jesteśmy zgodni. Nie zdążyliśmy jednak ponownie skupić się na mapie, ponieważ naradę przerwało głośnie stukanie do drzwi w sąsiednim pokoju, tej niby mojej głównej komnacie.

– Zobaczę, kto to taki – powiedziała Alanna i szybciutko musnęła ustami usta męża.

Nic dziwnego, że kiedy wychodziła, dosłownie pożerał ją wzrokiem. Ja, oczywiście, gapiałam się na nich, szybko jednak się opamiętałam. Czyżby robiła się ze mnie obrzydliwa podglądaczka? Tragedia.

Znów wlepiłam oczy w mapę.

– Jestem kompletnie zielona, jeśli chodzi o prowadzenie wojny – wyznałam – ale przypuszczam, że trzeba ich po prostu w jakimś miejscu osaczyć i zmiażdżyć, prawda?

ClanFintan pokiwał głową.

– Dobrze myślisz. Ale jeśli są w Warowni, nie damy rady.

Przynajmniej teoretycznie jest nie do zdobycia.

– W takim razie jak oni, do jasnej cholery, tam się dostali...

– mruknęłam pod nosem bardzo tym faktem zniesmaczona, i znów wgapiałam się w mapę. Gapiałam się bardzo intensywnie, ponieważ w mojej głowie znów zaczął się klarować pewien pomysł. – No dobrze... z tej mapy wynika, że Zamek Laragona stoi w niewielkiej odległości od północnego krańca jeziora Selkie, czy tak?

– Istotnie – potwierdził Carolan.

– Odnosi się też wrażenie, że stoi u podnóża gór. A jak jest w rzeczywistości?

– U podnóża gór zaczynają się ziemie należące do zamku, sam zaś zamek rzeczywiście został zbudowany blisko nich – powiedział ClanFintan. – To wyjątkowe miejsce. Piękny zamek w dolinie zarośniętej koniczyną i pełnej kwiatów, wzdłuż gór natomiast ciągną się pola, na których uprawiane są kwiaty i jagody, ponieważ mieszkańcy tamtych stron zajmują się wyrabianiem barwników i perfum.

Kwiaty, perfumy... Nie, nie. Teraz wolałam nie myśleć, jak tam jest pięknie. A teraz – może strasznie, jeśli...

– Do zamku można podejść od wschodu lub zachodu, prawda? Bo nie od strony jeziora.

– Tak – potwierdził mój małżonek.

W jego oczach błysnęło, czyli super, bo to oznacza, że mój nowy pomysł ma sens.

I faktycznie, bo ClanFintan natychmiast nachylił się nad mapą i zaczął mówić, przesuwając po niej palcem:

– Kiedy będziemy mieli pewność, że główne siły Fomorian są w Zamku Laragona, możemy zaatakować ich z dwóch stron jednocześnie. Od zachodu, czyli trzeba będzie obejść zachodni kraniec jeziora i stamtąd ruszyć na zamek. Jednocześnie od wschodu, czyli trzeba będzie przejść koło bagien i minąć Świątynię Muz. W ten sposób złapiemy ich w pułapkę. Zamek Laragona jest solidną budowlą, stoi w dobrym miejscu, ale nie wytrzyma długo oblężenia. W końcu to nie Warownia.

– Tak, to jest myśl... – Carolan w zamyśleniu potarł brodę.

– Ale tylko wtedy, jak sam wspomniałeś, gdy ich główne siły istotnie są zgrupowane w Zamku Laragona, który, z czym się zgadzam, nie wytrzyma długo oblężenia. Lecz jeśli ich główne siły zgrupowane są w Warowni, zmienia to całkowicie postać rzeczy. Kiedy zaatakujemy Zamek Laragona, Fomorianie z Warowni ruszą na odsiecz, podejną od strony gór, otoczą nas i rozbiją w

puch.

– Czyli reasumując, dla nas najbardziej byłoby korzystne, gdyby ich główne siły były w Zamku Laragona – myślałam na głos. Byłam coraz bardziej przejęta, ponieważ to, co zaczęło świtać w mojej głowie, teraz nagle wykryształizowało się ostatecznie. Jakby ktoś mi to podszepnął. Kto? No dobrze, niech już będzie. Powiedzmy, że... Bogini. W każdym razie o tym pomyśle zamierzałam poinformować ich natychmiast, choć szczerze mówiąc, ten pomysł, mimo że mój, wcale nie wzbudzał

we mnie entuzjazmu. – Ja... – Z emocji aż musiałam odchrząknąć. – Chyba wiem, jak można wywabić ich z Warowni.

ClanFintan i Carolan spojrzeli na mnie z wielką powagą.

No nie! Jakbym naprawdę wiedziała, co robię!

Milczeli jednak, mówiłam więc dalej:

– Z tego, co wiemy, głównym celem ich najazdu na Partholon jest uprowadzanie kobiet... – Zamilkłam i odczekałam, aż obaj twierdząco skiną głowami. – Jak sądzicie, czy wiedzą, że mnóstwo pięknych kobiet jest w Świątyni Muz?

– Prawdopodobnie nie – powiedział Carolan. – Tę świątynię wzniesiono dopiero w tym stuleciu. W dawnych czasach Wcielenia Bogiń podróżowały po Partholonie, zatrzymywały się w największych zamkach i tam nauczały dziewczęta.

W dawnych czasach... Czyli czasy obecne, co ze wszech miar logiczne, były dla niego współczesnością. Dla mnie ta współczesność w Partholonie była co najmniej zaskakująca, chociaż z drugiej strony wcale nie uważałam, że rozwój cywilizacji musi koniecznie iść w kierunku doskonalenia zmywarek czy komputerów. Najważniejsze, że mają wino, papier toaletowy i biżuterię. Dla mnie jest to wystarczająco nowoczesne.

– A jak sądzicie, co zrobią Fomorianie, kiedy dowiedzą się, że w pewnej świątyni na wschód od

Zamku Laragona, wcale nie tak daleko, jest mnóstwo młodych, pięknych i płodnych kobiet?

– Wiadomo co. Ruszą na świątynię – powiedział pewnym głosem Carolan.

– A jeśli dowiedzą się jeszcze, że świątyni bronią męzne centaury? – Tu uśmiech w stronę męża.

– Wtedy, wiadomo, na podbój świątyni muszą rzucić duże siły – odparł.

Carolan natychmiast podchwycił myśl.

– A główne siły, o ile istotnie są w Warowni, przerzucą do Zamku Laragona, który bardziej nadaje się w tym przypadku na bazę wypadową niż odległa Warownia. Z Zamku Laragona z kolei ruszą na podbój Świątyni Muz, dzięki czemu nie będziemy musieli oblegać zamku, tylko dopadniemy ich w polu i na pewno pokonamy. Świetny pomysł, Rheo. Jest tylko jeden kłopot. Jak przekazać im wieść o kobietach w Świątyni Muz?

Wyjaśnienie tego było dla mnie najtrudniejszym fragmentem rozmowy. Na szczęście i tym razem jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mi, co mam mówić. Matko święta, czyżby znów Bogini? No nie, ona w końcu wpędzi mnie w alkoholizm.

Co byłoby jednak fatalne.

– Myślę, że mogłabym to zrobić... – zaczęłam trochę niepewnie.

Carolan i ClanFintan spojrzeli na mnie, jakbym była Świętym Mikołajem.

– Ale jak? – spytali chórem.

Westchnęłam.

– Carolanie, ty jeden jeszcze nie wiesz, że miewam sny, bardzo dziwne sny, które wcale nie są snami. W pierwszym takim śnie, strasznym, koszmarnym, widziałam mego tatę, to znaczy ojca Rhiannon. Wiedziałam, że potwory napadną na jego zamek i chciałam go ostrzec. W takim śnie staję się niewidzialna, ale tata jakimś cudem mnie usłyszał. Mało tego, odniosłam wrażenie, że nawet mnie zobaczył czy też wyczuł

moją obecność. Coś podobnego przydarzyło mi się innej nocy, kiedy we śnie poleciałam do Warowni... – W moim głosie na pewno słychać było strach, który wzbudzało we mnie tamto wspomnienie. Na szczęście ClanFintan podszedł do mnie i przygarnął do siebie. Jego bliskość zawsze dodawała mi odwagi, teraz też, przynajmniej do takiego stopnia, że byłam w stanie mówić dalej: – Jedna z kobiet... nie, nie kobieta, tylko dziewczyna, bardzo młoda, wyczuła moją obecność. A potem ten ich przywódca... – Jak on się nazywał? Jak? Zaczęłam gorączkowo szukać w pamięci, nie trwało to jednak długo.

Znów odezwał się ten głos w mojej głowie i odpowiedział mi, jak na imię ma tamten stwór. – Nuada. Nie tylko mnie wyczuwał. Był święcie przekonany, że ja tam jestem, a przedtem byłam w Zamku MacCallana. Gdybym się wtedy odezwała, jestem pewna, że usłyszałby mnie, a przynajmniej dotarłoby do niego, co chcę mu przekazać. Myślę więc, że w taki właśnie sposób mogłabym przekazać mu tę wiadomość.

Gdzieś nad moją głową zadudnił mocny głos ClanFintana:

– Nie chcę, żebyś tak się narażała!

– Narażała? Chwileczkę! – Zerknęłam na Carolana. – O ile się nie mylę, ktoś mi kiedyś mówił, że Epona jest Boginią wojowników!

– Bo jest – przytaknął Carolan, przechwytyjąc mój wzrok.

– A kto należy do Epony, jest pod Jej opieką.

– I na to właśnie liczę – oświadczyłam spokojnym, równym głosem, absolutnie nieadekwatnym do tego, co działo się we mnie w środku. Wcale nie byłam spokojna, mało tego, żaden wewnętrzny głos niczego mi już nie podpowiadał. Wszystko, co teraz mówiłam, to były moje przemyślenia. – Musimy się śpieszyć. ClanFintanie, ile czasu trzeba na zebranie wojowników i przygotowanie się do walki? Ile czasu zajmie przemarsz do Zamku Laragona?

Mój mąż, zanim odpowiedział, jeszcze raz spojrzął na mapę.

– W ciągu pięciu dni zbierzemy wszystkich wojowników, którzy wezmą udział w walce. A po dwóch dniach szybkiego marszu powinniśmy podejść już pod zamek i być gotowi do ataku.

– Czyli w sumie siedem dni...

Jeszcze nigdy dotąd jeden tydzień nie wydawał mi się tak krótki... albo tak długi.

– W takim razie muszę wystartować dziś wieczorem... –mruknęłam bardziej do siebie niż do ClanFintana.

– Wystartować? Co to znaczy?

ClanFintan był wyraźnie zaniepokojony, nie zdążyłam jednak niczego wyjaśnić, ponieważ głos zabrał Carolan:

– Ona tego ich przywódcy, tego...

– Nuady – podpowiedziałam usłużnie.

Carolan skinął głową, dziękując za pomoc.

– ...tego Nuady może nie przekonać za pierwszym razem.

Musi ukazać mu się kilka razy, kusić go, doprowadzić do takiego stanu, że za wszelką cenę będzie chciał z nią podążyć.

Uśmiechnęłam się do Carolana.

– Czy Epona przemawia też do ciebie?

– Na to wygląda – odparł również z uśmiechem.

Mój mąż nadal był niepokieszony.

– Ale to wszystko razem i tak bardzo mi się nie podoba.

– Epona będzie czuwać nad jej duchem – powiedział

Carolan, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Ty będziesz czuwał nad jej ciałem.

– Mnie też to specjalnie się nie podoba – wyznałam szczerze – ale w tym waszym świecie nie ma przecież telefonów, nie można też tej informacji puścić w wieczornych wiadomościach w telewizji. Czyli zmuszona jestem zrobić to po staroświecku. Osobiście.

W tym miejscu nie mogę nie wspomnieć, że wcale nie prosili o wyjaśnienie nieznanymi im terminów. ClanFintan przede wszystkim uściskał mnie. Zrobił to bardzo mocno i bardzo żarliwie.

– *Cały czas będę przy tobie.*

– *Ja też – zawtórował mu Carolan.*

– *Ja też – zadeklarowała Alanna, pojawiając się w progu. – Powiedz mi tylko, proszę, co to jest ten tele...fon i tele...wizja?*

ROZDZIAŁ DRUGI

Roześmiałam się, a potem zrobiłam strasznie wystraszoną minę.

– *Telefony i wieczorne wiadomości, Alanno, to też demony, przy tym wyjątkowo skuteczne. Ciesz się, że ich tu nie ma.*

– *Dobrze. Cieszę się.*

Powiedziała to z tak wielką powagą, że znów musiałam się roześmiać.

Carolan wstał i ucałował dłoń żony.

– *Kochanie, kto pukał do drzwi?*

Alanna sposepniata.

– W świątyni pojawiła się niebezpieczna choroba –oznajmiła, spoglądając na mnie. – Pamiętasz, w zeszłym tygodniu kilka dziewcząt narzekało, że nie czują się dobrze?

Przykro mi, że to zlekceważyłam, ale to dlatego, że dziewczęta zawsze uciekały się do różnych wybiegów, byle być jak najdalej od Rhiannon. – Oczywiście pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Poza tym tyle się przecież działo. Najpierw zajęta byłam nową Rhiannon – tu wymieniliśmy serdeczne uśmiechy – potem zaczęli napływać do świątyni uchodźcy, w rezultacie zamiast zainteresować się zdrowiem dziewcząt, zbeształam je i kazałam bardziej przyłożyć się do pracy.

– Tak, pamiętam. Mówiłaś, że dziewczęta udają, a ja powiedziałam, że mają prawo być zmęczone opieką nad maluchami.

– W rezultacie myliłyśmy się obie. Bardzo wiele dziewcząt jest chorych, tak samo kilkoro dzieci i jedna staruszka.

Potrzebują twojej pomocy, Carolanie. I twojej modlitwy, Rheo.

– Oczywiście, kochanie, zajmę się nimi. – Carolan pocałował żonę w policzek i pieszczotliwie musnął palcem jej posępne czoło, które od razu się wygładziło.

– To ja też pójdę do chorych, zobaczę, co się dzieje –zadeklarowałam, czym Alannę chyba zaskoczyłam, a jednocześnie ucieszyłam.

– Rheo, czy chcesz uczestniczyć w moim spotkaniu z wojownikami, podczas którego zapoznam ich z naszym planem? – spytał ClanFintan. Bardzo, bardzo mi się podobało, jak na mnie teraz spojrział. Z tak wielką powagą, że można było pęknąć ze śmiechu. Czyżby spodziewał się, że polecę jak na skrzydłach na pogaduszki ze starymi, cuchnącymi wojownikami? I to na pogaduszki o czymś, o czym nie mam bladego pojęcia?

Chyba jednak wolałabym rozwiązać jakieś zadanie z matematyki. No, chyba....

Odmówiłam, oczywiście starając się sprawiać wrażenie osoby, której z tego powodu jest naprawdę bardzo przykro.

– Niestety nie, kochanie. Nie dam rady. Najpierw muszę sprawdzić, jak wygląda sytuacja z moimi pokojówkami.

– Dobrze, kochanie. Skoro czujesz taką potrzebę... Jestem pewien, że wojownicy okażą zrozumienie.

Czasami mój kochany mąż przypominał mi Worfę (dla niedoinformowanych cywili: facet rasy Klingon, „Star Trek.

Następne pokolenie”).

– Prosiłbym jednak – mówił dalej – o przyłączenie się do nas, gdybyś znalazła chwilę. To dobrze wpłynie na morale wojowników.

O, to mi się spodobało. Coś faktycznie w stylu Marilyn Monroe.

– Żaden problem... – zamruczałam, pociągając go za rękę.

Oczywiście bezbłędnie zrozumiał, o co chodzi, i skwapliwie się nachylił, a ja obdarowałam go całuskiem i dokończyłam swoją mruczankę: – Załatw ich, chłopcze...

Naturalnie nie mógł wiedzieć, skąd to wzięłam, ale się nie dopytywał. Też mnie pocałował, następnie skłonił głowę przed Alanną i Carolanem, a na koniec klusikiem wyprowadził swój ładniutki zadek za próg.

Ja natomiast, idąc na całość, teraz z kolei starałam się być perfekcyjną imitacją Madeline Kahn jako Lilly VonSchtupp w „Płonących siodłach”, czyli w ślad za ClanFintanem posłałam głębokie westchnienie tudzież komentarz:

– Jest cudowny...

Carolan kompletnie mnie zignorował, tylko po prostu wstał

i ruszył do drzwi, natomiast Alanna oczywiście zrobiła odpowiednią minę, czyli wywróciła oczami, po czym podążyła karnie za mężem, rzucając mi przez ramię:

– Idziesz?

A ja pomyślałam, że chyba trzeba będzie poszukać sobie jakichś nowych wzorców.

Pognałam za Carolanem i Alanną, którzy przed drzwiami przystanęli, puszczając mnie przodem. Dzięki temu pierwsza przekroczyłam próg, przybierając odpowiednią minę typu: Wredna bogini, która ma was tu wszystkich na karku. A co tam!

Strażnik za drzwiami wręczył Carolanowi jego wielką, porządnie już zniszczoną skórzaną torbę. Uzdrowiciel podziękował uprzejmie, strażnik skłonił się dwornie, zrobił w tył

zwrot i wrócił na swoje stanowisko przy rzeźbionych odrzwiach jako dodatkowa ozdoba tych drzwi.

– To ja posłałam go po twoją torbę – wyznała Alanna.

Na co mąż uśmiechnął się bardzo czule i powiedział, zaglądając jej w oczy:

– Ty zawsze wiesz, kochanie, czego mi potrzeba.

Wiadomo, nowożeńcy.

Ruszyłam pierwsza korytarzem, jednak po kilku krokach olśniło mnie.

– Hej... – szepnęłam, odwracając się do wspomnianych nowożeńców. – Dokąd mam iść?

– Do pokoi zajmowanych przez służbę – szepnęła Alanna, nie wyjaśniając mi niczego.

– Domyślam się. Ale gdzie to jest?

W tym momencie Alanna wreszcie przypomniała sobie, że ja to jednak ja. (Dla zapominalskich: nie Rhiannon).

– Przepraszam, już mówię. Cały czas przed siebie. Przed drzwiami, którymi wychodzi się na dziedziniec, zobaczysz korytarz prowadzący w lewo i dojdiesz nim do pokoi dla służby. Niestety, Rheo, poczujesz je już z daleka.

Carolan, kiedy to usłyszał, wyraźnie sposepniał.

Przyśpieszyłam więc kroku, podążając zgodnie ze wskazówkami Alanny. Tuż przed wyjściem na główny dziedziniec skręciłam w długi korytarz wyłożony marmurem.

Z jednej strony ściana ozdobiona była pięknymi freskami, w ścianie z drugiej strony były okna wychodzące na wspomniany dziedziniec. Na freskach widać było przede wszystkim śliczne panny hasające po pełnych kwiatów łąkach.

Byłam tam też ja (to znaczy Rhiannon) na Epi, cycki oczywiście na wierzchu (moje, nie Epi), spoglądająca na rozbawione nimfetki łaskawym okiem. A to, co zobaczyłam przez okno, bardzo mnie ucieszyło. Kobiety sprężyły się. Podzielone na grupki, zajęte były bynajmniej nie hasaniem, tylko pracą.

Maraid, wyraźnie w swoim żywiole, przemieszczała się od grupki do grupki, coś tam doradzała, chwaliła. Jednym słowem, widok bardzo krzepiący.

Niestety, kiedy korytarz skręcił w lewo, skończyły się odczucia pozytywne, poczułam bowiem zapach, o którym wspomniała Alanna. Najpierw słodkawy, podobny do woni rozgrzanego cukru, bardzo szybko jednak przeszedł

w zwyczajny smród, od którego zrobiło mi się niedobrze.

Szybko zasłoniłam ręką usta, zatrzymałam się i spojrzałam na Alannę.

– Tak, to tutaj – powiedziała posepnym głosem, wskazując drzwi, przed którymi nie było żadnych strażników.

– Wejdę tam pierwszy – powiedział Carolan, wysuwając się do przodu. – A wy może lepiej poczekaście tu na mnie.

Natychmiast odstłoniłam usta.

– O nie! Te dziewczyny pracują dla mnie. Muszę je zobaczyć.

– A ja już tu byłam – oznajmiła Alanna. – Dla mnie to żadna niespodzianka.

W rezultacie Carolan skinął głową na znak, że w porządku, i otworzył drzwi.

To, co ukazało się naszym oczom, było zwyczajnym horrorem. Gdyby nie wszechobecny smród, pewnie bym pomyślała, że znów mam jakiś koszmarne sen. Pokój był

olbrzymi, kiedyś na pewno bardzo ładny, w kremowych barwach, z wysokim sufitem ozdobionym pięknymi sztukateriami. Ściany, a także cieniutkie, połyskliwe zasłony w oknach od sufitu do marmurowej posadzki, miały miły i łagodny morelowy kolor, który zwykle w człowieku wzbudza

poczucie harmonii i spokój. Ale nie teraz, kiedy w atmosferze cierpienia wszystko wydawało się matowe, wypłowiałe. Na marmurowej posadzce stały ni to prycze, ni to nosze, na każdej takiej pryczy w zabrudzonej pościeli leżała blada, cierpiąca postać. Między chorymi przemykały kobiety, przyklękały, ocierały mokrą ściereczką rozpaloną twarz i poiły wodą z kubka.

Po wejściu do pokoju starałam się przede wszystkim za wszelką cenę nie wymiotować, musiałam jednak zasłaniać usta ręką. Trudno. Smród był nie do wytrzymania. Wymiocin i jeszcze czegoś, czego w pierwszej chwili nie potrafiłam zidentyfikować. Ale w drugiej chwili doszłam, że coś takiego czułam w Zamku MacCallana. Czyli wiadomo. Był to po prostu zapach śmierci.

Alanna i ja zatrzymałyśmy się za progiem, Carolan od razu pośpieszył w głąb pokoju, do pierwszego z brzegu legowiska.

Nachylił się i położył rękę na rozpalonym czole młodej dziewczyny dygoczącej jak w febrze, choć przykryta była grubymi kocami. Patrzyłam, jak Carolan bada chorą. Zsunął

koc, przyłożył palec do żyły na szyi, potem do żyły na nadgarstku. Twarz spokojna, skupiona, jednocześnie przez cały czas mówił coś cicho, niewątpliwie były to słowa otuchy. Potem wyjął z torby coś podobnego do prymitywnego stetoskopu, osłuchiwał chorą i przeszedł do następnego legowiska, potem do następnego i tak dalej. Badał, pocieszał, wołał, żeby podać chorej wodę, zmienić pościel, położyć świeży kompres. A ja stałam jak ten kołek, tak kompletnie bezradna i bezużyteczna, że najchętniej wrzasnęłabym, parafrazując słowa Jonesa:

– Do cholery, Jim! Jestem nauczycielką, a nie cudotwórczynią!

Zdawałam sobie jednak sprawę, że nikt tutaj by tego nie załapał. Zerknęłam na Alannę i zdecydowałam, że muszę zacząć opowiadać im „Star Treka”, może wtedy moje dowcipki zostaną docenione.

– Milady...

Szybko rozejrzałam się dookoła, starając się dojść, skąd dobiega ten słabiutki, zachrypnięty głos. Chyba stamtąd, bliżej środka pokoju. Tam właśnie zauważyłam uniesioną wychudzoną rękę, a także uniesioną głowę z długimi, ciemnymi włosami.

Znajomą...

– *Tarah?!*

Alanna posępnie pokiwała głową.

A ja wiedziałam, że dłużej już nie będę stać jak kolek, kiedy potrzebuje mnie nimfa łudząco podobna do mojej ulubionej uczennicy. Nabrałam głęboko powietrza – ustami, tak jak kiedyś poradził mi mój nieoceniony mąż – i szybko podeszłam do pryczy, na której leżała Tarah. Wzięłam ją za rękę tak dziwnie, tak żałośnie kruchą, skóra sucha i cienka jak papier.

– *Proszę o wybaczenie, milady – wyszeptano biedactwo, próbując się do mnie uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko grymas. – Tyle roboty, a nam zachciało się chorować.*

– *O nic się nie martw, kochanie – powiedziałam do niej jak najcieplej. – Leż spokojnie, wypoczywaj, to najważniejsze, jeśli chce się jak najszybciej powrócić do zdrowia.*

Tarah zamknęła oczy, pokiwała głową. Nie puszczała mojej ręki, usiadłam więc przy niej. Dziewczyna była bardzo blada, wargi spieczone, co innego jednak zaniepokoiło mnie nie na żarty. Wysypka. Czerwona wysypka na twarzy i na szyi.

– *Czyżby to ospa wietrzna? – spytałam oczywiście na głos i omal nie podskoczyłam, kiedy usłyszałam obok siebie inny głos.*

Głos Carolana.

– *Tak. Sądzę, że to ospa wietrzna. Znasz się na tej chorobie?*

– *Ospę wietrzną przechodziłam w dzieciństwie – powiedziałam, nie odrywając oczu od bladej,*

ściągniętej twarzy Tarah. – Ale, o ile pamiętam, wcale nie byłam wtedy aż tak strasznie chora.

Owszem, słyszałam, że i na wietrzną ospę można umrzeć, ale nie bardzo w to wierzyłam. Pamiętałam, że podczas tej choroby wszystko mnie swędziało i przez parę dni nie chodziłam do szkoły, ale to wszystko.

A ci ludzie byli okropnie chorzy.

– Ja też... – zaszemrała Tarah. Nachyliłam się nad nią szybko, żeby ją dosłyszeć. – Miałam ospę wietrzną w dzieciństwie...

Co bardzo mnie zaskoczyło.

– Carolanie – zagadnęłam półgłosem do Uzdrowiciela – Tarah mówi, że miała ospę wietrzną w dzieciństwie.

A w moim... – Chciałam powiedzieć „świecie”, na szczęście jednak zdążyłam ugryźć się w język – to znaczy w moim przekonaniu na ospę wietrzną choruje się tylko raz w życiu. Tak przynajmniej zawsze słyszałam. Po raz drugi nie można się zarazić.

Carolan pokiwał głową i skinął na mnie, żebym poszła za nim. Uścisnęłam więc leciutko rękę chorej Tarah, szepnęłam, że zaraz wrócę i poszłam za Carolanem z powrotem do drzwi, koło których czekała Alanna. Wyszliśmy na korytarz i tam stanęliśmy w kółeczku, bardzo blisko siebie, bo to, co mieliśmy do powiedzenia, przeznaczone było tylko dla naszych uszu.

Naturalnie pierwszy odezwał się Carolan:

– Zbadałem rutynowo tylko kilka chorych, ale to wystarczy, żeby mieć powód do naprawdę wielkiego niepokoju.

Moim zdaniem, wszystkie zbadane przeze mnie pacjentki mają tę samą chorobę, która rozwija się w trzech stadiach. – Wskazał

głową dziewczynę, którą badał jako pierwszą. – Stadium początkowe to bóle pleców, wymioty oraz bardzo wysoka gorączka powodująca ból głowy. – Teraz Carolan wskazał na Tarah. – Po kilku dniach gorączka ustępuje, a pojawia się wysypka. Zaczyna się na twarzy i rozprzestrzenia po całym ciele. – Na koniec Carolan wskazał kilka zsuniętych legowisk, na których leżały dzieci. – Stadium trzecie. Wysypka znika, pojawiają się krostki wypełnione ropą. Powraca gorączka, i to bardzo wysoka. Chory majaczy. Choroba osiąga swoje apogeum, chory może umrzeć. Te dzieci są odwodnione, niektóre z nich mają wodę w płucach, ich płuca zalała ropa z gardła. To nie jest ospa, kiedy wszystko swędzi, choroba jest groźna dla dzieci, ludzi starych i osłabionych. Mamy tu wiele kobiet młodych, silnych, odpornych, a wszystkie są bardzo chore.

– Bo to nie jest ospa wietrzna – oświadczyłam. – Tylko ospa, po prostu ospa. Ospa prawdziwa.

Tak. Bo nagle zaskoczyłam. Byłam przecież z Oklahomy, znałam doskonale tragiczną historię plemion indiańskich, które wyginęły po zarażeniu się tą straszną chorobą. Moja ręka bezwiednie przesunęła się po małej, okrągłej bliźnie na lewym ramieniu, śladzie po szczepionce. Chwała Bogu, że ją wynaleziono...

– A co to jest za choroba? – spytał Carolan.

– Niestety, wiem o niej niewiele, niemniej moim zdaniem mamy do czynienia z ospą prawdziwą. W moim świecie, to znaczy przynajmniej w tych jego rejonach, gdzie dotarła cywilizacja, ospa została całkowicie opanowana.

– Powiedz, proszę, wszystko, co o niej wiesz. Każda, nawet najmniejsza informacja, może się przydać.

Skupiłam się i rozpoczęłam gorączkowe przeszukiwanie swojej pamięci, zapchanej, wiadomo, poezją i prozą. Podczas studiów, owszem, jako przedmiot dodatkowy wybrałam biologię, ale, niestety, było to dziesięć lat temu. Dziesięć z okładem. Jaka szkoda...

– A więc z tego co wiem, jest to choroba po prostu straszna. Owszem, jej ofiarą najszybciej padają ludzie starzy i osłabieni, ale młodych i silnych też nie oszczędza. O ile pamiętam, naukowcy doszli

do wniosku, że w kraju, w którym nie stosuje się żadnej prewencji i którego mieszkańcy nigdy przedtem nie zetknęli się z ospą, jej epidemia może zabić nawet do dziewięćdziesięciu pięciu procent ludności. Bo to jest po prostu epidemia. Przebycie ospy uodparnia, chociaż nie ma stuprocentowej gwarancji, że nie zachoruje się na nią powtórnie.

Czy w Partholonie mieliście już kiedyś epidemię ospy?

Carolan w zamyśleniu potarł brodę.

– Na podstawie pewnych zapisów można wnioskować, że ospa pojawia się czasami wśród mieszkańców Bagien Ufasach, ale dokładnych wiadomości na ten temat nie ma. O ludziach z bagien wiemy bardzo niewiele, są hermetyczni, prawie w ogóle nie kontaktują się z otoczeniem.

Ludzie z bagien... Chwileczkę. A czy przypadkiem Świątynia Muz nie stoi w pobliżu owych bagien?!

– Alanno, mówiłaś, że dziewczęta jeździły do Świątyni Muz, czy tak?

– Tak.

– No to wszystko jasne. Przecież Świątynia Muz stoi w pobliżu bagien!

– Owszem. Ziemie należące do świątyni od strony południowej graniczą z nimi.

– Czyli wszystko jasne. Najprawdopodobniej Świątynia Muz była już wtedy siedliskiem choroby, więc dziewczęta się pozarażały i przywiozły chorobę ze sobą. Zapewne ospa szaleje już też w Świątyni Muz... O matko! – Aż walnęłam się w czoło, wściekła na siebie, że dopiero teraz mówię o czymś najbardziej istotnym. – To wyjątkowo zaraźliwa choroba. Przenosi się ją drogą kropelkową. Na przykład... kiedy człowiek położy się w pościeli, w której leżał chory na ospę i pocił się, na pewno złapie chorobę. Albo jeśli napije się po nim z tego samego kubka. Każdy, kto pielęgnuje

chorego na ospę, podejmuje ryzyko, że sam zostanie zarażony.

Czy oni tutaj w ogóle mają pojęcie o zarazkach? Na pewno nie!

Spanikowałam, ale tylko na moment, bo przypomniałam sobie, że Carolan po zbadaniu kolejnej pacjentki wołał, żeby przynieść mu czystej wody i mydło. Ręce mył bardzo długo i starannie.

A teraz oświadczył:

– W takim razie tobie, Rheo, a także Alannie nie wolno stykać się z chorymi.

– Masz rację! – przytaknęłam. – To znaczy jeśli chodzi o Alannę.

– Dlaczego tylko ja? Ty też, Rheo, nie powinnaś stykać się z chorymi – zaprotestowała Alanna.

Pokręciłam przecząco głową i podsunęłam w górę zwiewną tkaninę zasłaniającą moje ramiona.

– Ja mogę. Widzisz tę bliznę? To ślad po szczepionce, którą dostałam w dzieciństwie.

– Szcze...pionce?

W oczach Carolana był jeden wielki znak zapytania.

Westchnęłam więc i najpierw wyjaśniłam im to obrazowo.

Zrobiłam ręką ruch, jakbym wbijała sobie coś w rękę, a jednocześnie podjęłam w duchu błyskawiczną decyzję, że chociaż z natury jestem wyjątkowo elokwentna, nie będę się rozwlekać, zahaczając na przykład o szczepionki innego rodzaju, chociażby przeciwko grypie. A swoją drogą

to cud, że odpowiedziałam twierdząco, kiedy pielęgniarka szkolna spytała, czy skoro będziemy w szkole szczepić przeciwko ospie, nie należy połączyć tego z corocznym szczepieniem przeciwko grypie. No i zaszczepiłam się na grypę, co bardzo może mi się w tym świecie przydać.

– Szczepionka to coś takiego, co powoduje, że twoje ciało zaczyna wytwarzać tak zwane przeciwciała, które chronią przed chorobą – wyrecytowałam. – Dlatego ja, stykając się z chorobą, nie zarażę się.

Carolan aż westchnął.

– To coś jak... cud!

– Na pewno rewelacja – przyznałam zgodnie. – Bardzo żałuję, że nie potrafię ci tego wyjaśnić dokładnie, ale niestety nie jestem lekarzem, tylko nauczycielką angielskiego.

– A mi się bardzo podoba, że jesteś nauczycielką – powiedziała Alanna, co było bardzo miłe, dlatego uśmiechnęłam się do niej ciepłutko, po czym znów zwróciłam się do Carolana: – Więc co robimy?

– Przede wszystkim należy odizolować chorych.

– A także ich rzeczy osobiste, wszystko, czego dotykali.

Poza tym należy poddać kwarantannie członków ich rodzin.

– Tak. – Carolan skinął głową na znak zgody. – Sądzę, że najrozsądniej będzie, jeśli przy chorych czuwać będą tylko moje pomocnice. Może też kilka zdrowych wolontariuszek, także ci spośród członków rodziny chorego, którzy zetknęli się już z ospą. Muszę przewertować moje książki, może znajdę jednak coś o tej chorobie... – Westchnął, nie po raz pierwszy zresztą, i spojrział ze smutkiem na ogromny pokój wypełniony szczelnie ciężko chorymi. – Jedyne, co możemy dla nich zrobić, to opiekować się nimi, zadbać, żeby się nie odwodnili.

– Moim zdaniem lepiej podawać im wodę przegotowaną –dodałam szybko. Ostrożność nigdy nie zawadzi, a nie wiadomo, jaką mają tu wodę. Mnie jeszcze nie zaszkodziła, ale tak dużo to jej nie wypilałam. Szczerze mówiąc, zdecydowanie wolę wodę przemienioną w wino. – Aha, i jeszcze coś. Brudną pościel, ubrania, w ogóle wszystko po chorych powinno się trzymać w jednym miejscu, z dala od innych rzeczy. Koniecznie sparzyć wrzącą wodą, prać w wodzie jak najbardziej gorącej i nie żałować szarego mydła.

– Masz rację. Wrzątek zabije zło – powiedział Carolan.

– I większość zarazków – dodałam odruchowo.

Carolan uniósł pytająco brew, ale nie dociekał, ponieważ inna sprawa była dla niego bardziej paląca.

– Myślę o wojownikach, którzy mają iść na Zamek Laragona od wschodu, żeby osaczyć Fomorian – powiedział. –Będą musieli przejść koło Świątyni Muz, a jak słusznie zauważyłaś, najprawdopodobniej tam jest siedlisko choroby.

Czyli będą musieli szerokim łukiem ominąć świątynię.

– Oczywiście! Niech trzymają się od niej jak najdalej! Ale zaraz... Poczekaj... Tak sobie myślę... Nie, nigdy nie słyszałam, żeby koń zachorował na ospę.

– Ja też nie.

– A centaury?

– Twój mąż na pewno wie coś więcej na ten temat, natomiast ja nigdy nie słyszałem, żeby centaur zachorował na ospę. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek tak się zdarzyło.

Super. Po prostu czułam, jak kamień spada mi z serca.

– W takim razie do ataku na Zamek Laragona od wschodu trzeba będzie wysłać tylko wojowników centaurów.

– Słusznie. Kochanie... – Tu Carolan oczywiście zwrócił

się do żony. – Czyli ustalone. Nie będziesz pomagać przy chorych. Nie wolno ci się narażać.

– Ale ty się narażasz!

Rozżalona Alanna podeszła do męża, który natychmiast objął ją ramieniem i pocałował w czoło.

– Dobrze wiesz, że to mój obowiązek, ale nie wywiążę się z niego należycie, jeśli jednocześnie będę musiał martwić się o ciebie. Dlatego, jak powiedziałem, nie będziesz opiekować się chorymi. Możesz pomóc nam w inny sposób. Teraz, na przykład, trzeba sprowadzić tu moje pomocnice, poza tym pilnować, by w kuchni zawsze były przegotowana woda i ziołowa herbata.

– Trzeba też pokierować kobietami, które pracują na dziedzińcu – dodałam. – Maraid jest bardzo odpowiedzialną osobą, niemniej ona to nie ty. Trzeba także zająć się rodzinami chorych, a także wśród osób, które przybywają do świątyni, wylapywać chorych. I tak dalej. Alanno, masz naprawdę wielkie pole do popisu!

Słyszałam, jak cicho westchnęła. Znak, że poddaje się.

Wiedziałam, że tak będzie. Alanna, wiadomo, ani na chwilę nie chciała opuszczać swojego Carolana, była jednak osobą nadzwyczaj dojrzałą i odpowiedzialną. Nigdy by sobie nie pozwoliła na uleganie egoistycznym zachciankom. Obie, i Alanna, i Suzanna, potrafiły dla dobra innych zrezygnować z własnych potrzeb.

Nie po raz pierwszy zapragnęłam gorąco upodobnić się do nich w większym stopniu.

Pocałowała męża w usta, słyszałam, jak oboje szybko i szepnęli sobie nawzajem kilka czułych słów. Potem Alanna odwróciła się i serdecznie uściskała mnie.

– Pilnuj go – powiedziała i podobnie jak zwykła to czynić mój kochany mąż, pociągnęła mnie za jeden z niesfornych rudych loków. – I uważaj na siebie!

– Jasne. Aha, Alanno, mogłabyś poszukać ClanFintana i opowiedzieć mu o wszystkim, co teraz się wydarzyło?

Poprosić go, żeby po naradzie z wojownikami koniecznie tu przyszedł?

– Oczywiście. Zaraz to zrobię. A więc widzimy się wieczorem. Kocham was oboje.

Odeszła dostojnie, jednocześnie bardzo szybko, jakby kazała swoim nogom pędzić, zanim serce każe im się zatrzymać.

Ja i Carolan odprowadzaliśmy ją wzrokiem. Ja pełna podziwu dla niej, Carolan zapewne też.

– No tak... – mruknęłam po dłuższej chwili, składając przed sobą ręce. Specjalnie przerwałam tę w sumie podniosłą chwilę, zanim któreś z nas ze wzruszenia uroni łzę. – Carolanie, proszę, daj mi coś, czym mogłabym związać te moje głupie włosy i mów, co mam robić. Ty rozkazujesz.

– Po pierwsze trzeba wprowadzić tu jakiś porządek, to znaczy w jednym miejscu zebrać osoby w początkowym stadium choroby, w innym osoby w drugim stadium, w innym znów najciężej chorych, w stadium zaawansowanym. Kiedy już się ich wszystkich poprzemieni, trzeba koniecznie wszystkim zmienić pościel. A poza tym, wiadomo, podawać coś do picia i opiekować się. Aha, a tutaj – Carolan wskazał na górkę pociętego na paski płótna – znajdziesz coś, czym ujarzmisz swoje włosy.

– *Tak jest!*

Zasalutowałam mu – a jakże! – potem chwyciłam jeden z takich pasków i weszłam za Uzdrowicielem do pokoju chorych.

– *Carolanie, może otworzyć okno? Na dworze ciepłutko, a tu okropny zaduch!*

– *Masz rację.*

Szybko otworzył jedno z wielkich okien, wpuszczając do pokoju cudowne świeże powietrze przesycone upojnym zapachem kapryfolium. Niestety w chwili, gdy cudowny świeży zapach zmieszał się z panującym w pokoju odorem, powstała mieszanka piorunująca. Nie wiem, jakim cudem udało mi nie rzygnąć.

No cóż, przede mną faktycznie długi, ciężki dzień.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podczas studiów pracowałam w niepełnym wymiarze godzin jako sekretarka oddziałowa w wielkim szpitalu katolickim niedaleko kampusu Uniwersytetu Illinois. Sekretarki oddziałowe zwykle nie są specjalnie obłożone robotą, a już na pewno nie tą najbardziej niewdzięczną. Są dokładnie tym, co sugeruje ich oficjalna nazwa, czyli sekretarkami pielęgniarek danego oddziału. Ja pracowałam na oddziale internistycznym, raz tylko przez krótki czas na porodówce (co było nawet ciekawe). Podczas tej mojej pracy – w niepełnym wymiarze godzin, żeby jakoś przebrnąć przez studia – nauczyłam się przede wszystkim dwóch rzeczy. Po pierwsze, praca sekretarki niespecjalnie przypadła mi do gustu. Ludzie są potwornie zarozumiali, nie dociera do nich, że sekretarka też zna się na czymś, a dobra sekretarka zwykle zna się na wszystkim. A na tym, co istotne, zna się na pewno. Po drugie, przekonałam się, że absolutnie, pod żadnym pozorem, nigdy i przenigdy nie zostanę pielęgniarką. Nie zrozumcie mnie źle. Do samych pielęgniarek nic nie mam. Lubię je,

szanuję i bardzo cenię ich pracę, ale po prostu nie chciałabym być jedną z nich. Krew, fekalia, wymiociny i plwociny. Oglądanie najbardziej intymnych części czyjegoś ciała (które zwykle nie są zbyt atrakcyjne), wkładanie różnych rzeczy do różnych otworów w rzeczonym ciele i w ogóle przebywanie w rzeczywistości naznaczonej chorobą i samymi obrzydliwościami – nie, to stanowczo nie dla mnie.

Wszystko to ożyło w mojej pamięci, gdy podtrzymywałam głowę kobiety numer sześć, która przed paroma minutami zadeklarowała nieprzepartą chęć wymiotowania do czegoś, co przypominało wielki dziewiętnastowieczny nocnik, zupełnie jak z „Olivera Twista”.

Co też uczyniła. O nie...

W ciągu dziesięciu lat, które upłynęły od ukończenia studiów, wielokrotnie zmieniałam swoje opinie i upodobania, pod jednym jednak względem byłam nieugięta.

Nie jestem – i nigdy nie będę – stworzona na pielęgniarzkę.

Kropka.

Kiedy skończyła wymiotować, otarłam jej twarz, zauważając ze zdumieniem, że ta schorowana, spocona twarz należy do osoby bardzo młodej, chyba jeszcze nastoletniej.

– Już lepiej? – spytałam jak najłagodniej.

– Tak, milady – odparła dziewczyna słabym głosem, ale jej usta złożyły się do uśmiechu. – Milady ma takie dobre ręce, takie miłe i chłodne.

Pomogłam jej się ułożyć i odgarnęłam z czoła prze poczone włosy.

– Czy milady mnie pobłogosławi?

– Naturalnie.

Wzruszyłam się, jak za każdym razem, gdy któraś z chorych kobiet czy dzieci słabym, załamującym się głosem prosiło mnie o błogosławieństwo. Tego dnia robiłam to już niezliczoną ilość razy.

Pochyliłam głowę, zamknęłam oczy i przekazałam prośbę płynącą z głębi serca:

– *Epono, proszę, strzeż tego dziewczęcia i ulżyj mu w cierpieniu. – Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się jak najcieplej. – Później znowu do ciebie przyjdę.*

Nogi ledwie mnie już niosły, kiedy podchodziłam do dzbanków, które pomocnice Carolana bez przerwy napełniały przegotowaną, gorącą wodą. Gdy wyciągnęłam dłonie, jedna z pomocnic polalała je wodą, druga mydłem z butelki. Kiedy mydliłam ręce, zauważyłam Carolana, który podchodził do jednej z pacjentek. Szedł szybko, pewnym krokiem. Jego siły zdawały się niespożyte.

Po wytarciu rąk pozwoliłam sobie na drobny luksus, mianowicie przeciągnęłam się i pokręciłam głową, żeby rozluźnić obolałe mięśnie. Ten ból w ramionach wykańczał

mnie...

Kiedy znów usłyszałam wzywający mnie słaby głos, odruchowo odpowiedziałam, że tak, już idę. Ale nie szłam, bo nie mogłam. Moje ciało odmawiało wykonania nawet najmniejszego ruchu. W brzuchu burczało, a przecież jadłam lunch. Tylko kiedy? Chyba przed wiekami. Dwie pomocnice Carolana przyniosły nam ser, chleb i mięso na zimno. Ser pokrojony był w plasterki w kształcie serca. Nietrudno było odgadnąć, czyje to dzieło. Carolan i ja śmialiśmy się głośno z tego prezentu od Alanny.

A teraz zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie się roześmiać. Byłam wykończona, i to nie tylko fizycznie. Przytłoczyło mnie to wszystko. Oto ja, nauczycielka

angielskiego z Oklahomy, staram się nieść ulgę ludziom okropnie chorym. A oni we mnie wierzą, wierzą w sensie dosłownym. I proszą o błogosławieństwo.

Opowiedzieć coś? Bardzo proszę. Wyrecytować?

Z największą ochotą. Mogę nawet wyjaśnić symbolikę najbardziej mrocznych i szalonych utworów Coleridge'a. O tak.

Ale być boginią? Kapłanką?

Nie.

Czułam się bezradna i nieszczęśliwa, załamana, bliska łez.

A taki stan ducha w moim przypadku absolutnie nie był standardem.

I znów słabiutki głosik przyzywający mnie gdzieś z drugiego końca tego wielkiego pokoju.

– Bogini...

Zaraz potem Tarah, która leżała wśród chorych w drugim stadium choroby:

– Milady!

I głosik dziecka, z tej części pokoju, gdzie leżą osoby w najcięższym stanie.

– Lady Rhiannon...

Wyprostowałam się, upchnęłam rude kosmyki zamierzające wymknąć się z prowizorycznego kucyka, i postarałam się jakoś zebrać w sobie. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Boże mój, Boże... Jakie to wszystko straszne.

Jakbym była w klasie, w której wszyscy uczniowie nie dość, że się pochorowali, to jeszcze proszą, bym pomogła im w rozwiązaniu wyjątkowo trudnych zadań z matematyki.

Z algebry, której nigdy w życiu nie będę w stanie pojąć.

Kiedy wlokłam się do najslabszego z trzech głosików, pomyślałam sobie – że tak! Tak właśnie jest! Ci ludzie są dla mnie jak moi uczniowie. Tak należy do tego podejść. A ja podobno jestem rasową belferką, prawda? Czyli koniec z uzalaniem się nad sobą. Muszę zająć się nimi, zrobić to, co do mnie należy, nawet jeśli praca pielęgniarki mi nie leży (ale mi się rymnęło...).

Absolutnie mi nie leży.

Sprawa istotna: tej choroby na pewno od nich nie złapię.

Wszystkie te biedne chore istoty są moje, jestem za nie odpowiedzialna. In loco parentis – w miejsce rodzica. To nie tylko ładny zwrot po łacinie, lecz słowa nabrzmiałe treścią, czyli dość jęczenia i do roboty. (W końcu bardzo dobrą stroną tego całego przedsięwzięcia jest płaca. Oczywiście! Byłam prawie pewna, że jako Wcielenie Bogini zarobię więcej niż jako nauczycielka w Oklahomie. Każdy by tak sobie pomyślał, prawda? Ta obecna moja posadka to coś w rodzaju awansu na bardzo wysokie stanowisko w administracji. Tam zawsze dobrze płacą).

– Co się dzieje, kochanie?

Wzięłam kubek z wodą, który czekał w pogotowiu, i przyłożyłam malej do ust. Spieczonych, popękanych. Cała twarz, szyja i ramiona obsypane były tymi okropnymi krostami.

Kiedy otwierała buzię, zauważyłam, że język ma obrzmiały, nienaturalnie czerwony, widać było

ranki.

W rezultacie prawie cała woda spłynęła na brodę. Szybko wytarłam jej buzię brzegiem prześcieradła, zaraz potem usłyszałam pytanie wypowiedziane słabym, zachrypniętym głosem, jakby jego właścicielka paliła od co najmniej dwudziestu lat:

– Czy... czy na Eponie dobrze się jeździ?

– Oczywiście, kochanie. Ma wyjątkowo miękki chód –powiedziałam, delikatnie ocierając jej buzię wilgotną ściereczką, którą podała mi jedna z pomocnic Carolana. – Kiedy jedziesz na niej, masz wrażenie, że niesie cię wiatr.

– Czy to prawda, że ona z tobą rozmawia? – spytało jeszcze dziecko, wlepiając we mnie szkliste od wysokiej gorączki oczy.

No proszę, czyli mamy przed sobą prawdziwą miłośniczkę koni.

– Moim zdaniem tak. Ona jest niezwykle mądra. – Gdy dziewczynka bardzo ostrożnie pokiwała głową, spytałam: – Jak masz na imię, skarbie?

Odpowiedź padła już szeptem:

– Kristianna.

– A więc, Kristianno, zawieramy umowę. Twoje zadanie to wyzdrowieć, i to jak najszybciej. A kiedy poczujesz się już dobrze, zabiorę cię do Epony. Porozmawiacie sobie i kto wie, może Epona zaproponuje ci, żebyś się na niej przejechała.

A więc jak? Umowa stoi?

W pierwszej chwili pożałowałam swojej propozycji, bo dziewczynka zaczęła podnosić się z postania.

– Kochanie! Najpierw musisz wyzdrowieć.

Kristianna westchnęła i z powrotem ułożyła się na zabrudzonym prześcieradle.

– Bogini... – szepnęła po chwili – ona naprawdę zechce ze mną porozmawiać?

– Na pewno – powiedziałam z pełnym przekonaniem, dodając to, co podszeptał dobrze mi już znany głos w mojej głowie: – Epona zawsze szuka młodych istot, które chcą posłuchać jej głosu.

– Ja... ja bardzo chcę ją usłyszeć...

Jej głos zamierał. Dziecinka zapadała w sen... albo niestety traciła przytomność. Z tej gorączki.

Siedziałam i ze ściśniętym sercem wpatrywałam się w opuchniętą twarzyczkę. Mój Boże... Epono... jakie to wszystko straszne...

Nagle z tyłu zrobiło się jakoś tak bardzo ciepło.

– Rheo?

Odwrociłam się szybko, wykonałam prawie sus i przypadłam do szerokiej piersi męża.

– Cześć!

Zdawałam sobie sprawę, że wyglądam jak rudowłosa przyrodnia siostra Meduzy, natomiast ClanFintan wyglądał jak zwykle. Ślicznusieńki, świeżusieńki i taaaaki duży.

– Brakowało cię podczas narady wojowników, Rheo.

A ten jego głos! Aksamit. Albo inaczej – jak słodziutka melasa na moje skołatane serce i całą resztę umęczonego ciała.

– Bardzo mi przykro, ClanFintanie – powiedziałam, w pierwszej chwili starając się gorączkowo zrobić coś z tymi cholernymi włosami. Ale odpuściłam, bo co tam włosy! Kiedy spojrzałam w dół, odkryłam, że cały przód sukni został

poplamiony wymiocinami. – Mam nadzieję, że jakoś mnie usprawiedliwiłeś.

– Oczywiście. Wszyscy okazali zrozumienie i uznanie dla twojego poczucia odpowiedzialności za swój lud. – Objął mnie i nakierował na drzwi.

Widziałam, jak Carolan skinął głową, wtedy ClanFintan otworzył drzwi. Kiedy znaleźliśmy się w korytarzu, zdałam sobie sprawę, że dzień ma się już ku końcowi. Promienie słońca wpadające przez olbrzymie okna były niewątpliwie promieniami słońca zachodzącego.

I tu, w tym korytarzu, objęły mnie mocarne ramiona centaura.

– O nie... – jęknęłam, na próżno starając się wysunąć z jego objęć. – Jestem okropnie brudna, potwornie, jestem po prostu odrażająca!

I tu usłyszałam rozkaz wydany tym cudownie aksamitnym, hipnotyzującym głosem:

– *Cicho. Nie ruszaj się. Czy wiesz, jak mi ciebie brakowało?*

Oczywiście, że natychmiast znieruchomiałam. Przecież tęsknił za mną! Czy to nie cudne?

Uśmiechnęłam się, na pewno słusznie podejrzewając, że jest to uśmiech z gatunku głupich.

ClanFintan też się uśmiechnął ciepłutko i odsunął mnie od siebie kawałeczek, żeby widzieć moją twarz.

– *Rheo, Alanna opowiadała o jakichś czarach. Trochę mnie to zaniepokoiło. Czy to prawda, że masz coś w rodzaju talizmanu chroniącego przed tą chorobą?*

Niepokoił się o mnie... Byłam rozanielona.

– *Owszem, ale to żadne czary, tylko medycyna, w tym przypadku bardzo skuteczna. Nie zarażę się ospą.*

– *Wspaniale! – Znow przygarnął mnie do siebie i pocałował w czubek głowy. – Tobie nie może stać się żadna krzywda!*

– *Nie martw się, sama staram się usilnie, żeby tak się nie stało! – rzuciłam żartobliwie.*

Na co ClanFintan ścisnął mnie jeszcze mocniej, jakby chciał pogruchotać mi kości.

– *Rheo, mówię serio!*

– *Przepraszam. – Pisnęłam i ClanFintan trochę rozluźnił*

ręce. – Głupio mówię, bo jestem jednak trochę wykończona.

Może będziesz tą wiadomością wstrząśnięty, ale przyznam ci się. Nie jestem stworzona na pielęgniarkę.

– *Nie, wcale mną nie wstrząsnęło. Wiem przecież, że nie lubisz, jak coś brzydko pachnie. A chorzy ludzie, niestety, nie pachną ładnie.*

– *A wiesz, że chyba masz rację... – Uśmiechnęłam się kpiąco, zaraz jednak spoważniałam. Koniec żartów, przechodzimy do tak zwanej sprawy gardłowej. – Czy Alanna mówiła ci o naszych podejrzeniach? Jesteśmy prawie pewni, że zaraza przyszła tu ze Świątyni Muz.*

ClanFintan westchnął.

– *Tak, mówiła. A to bardzo komplikuje nasze plany wojenne.*

– *Owszem. Jeśli przez tamte tereny będą przechodzić wojownicy ludzie, to mogą się zarazić. A jak to jest z centaurami, ClanFintanie? Czy zarażają się ospą?*

– *Jesteśmy odporni na tę chorobę.*

– *Taką miałam nadzieję.*

– *Rozumiem. A więc do ataku na Zamek Laragona od wschodu wyśle się tylko centaurów. Kilku posłałem już do Świątyni Muz. Mają powiadomić o naszych wojennych planach, no i oczywiście zorientować się, jak ze zdrowiem przebywających tam kobiet.*

– Najprawdopodobniej taka sama tragedia jak tutaj, dlatego powinniśmy i świątynię, i okoliczne ziemie odizolować od reszty Partholonu. Może brzmi to okrutnie, ale taka jest konieczność. Nie wolno dopuścić do rozprzestrzenienia się zarazy po całym Partholonie. Trzeba do świątyni zawieźć zapasy żywności, ale zrobić to mogą tylko centaury.

– Masz rację. Trzeba natychmiast rozgłosić, żeby ludzie nie zbliżali się do Świątyni Muz. A poza tym... – ClanFintan spojrział na mnie krytycznym okiem – trzeba trochę zadbać o ciebie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Pamiętasz przecież, że tę noc będziesz miała pełną wrażeń?

– Och! – Tu włączyłam, oczywiście, słodziutki przydech w stylu Marilyn Monroe. – Co dokładnie masz na myśli?

– Twoje spotkanie z przywódcą Fomorian.

O nie... Spadło to jak kubek zimnej wody na moją już rozpaloną głowę. Na śmierć zapomniałam o czekającej mnie misji.

– Tak, tak, rzeczywiście.

– Nadal nie jestem tym zachwycony, Rheo. Wcale mi się nie podoba, że będziesz kusila tego księcia ciemności.

Jego kciuki cudownie masowały mi ręce w zgięciu nad łokciem. Kochany ClanFintan. Też nie byłam moją misją zachwycona. Zdecydowanie wolalabym wziąć gorącą kąpiel, zjeść obfitą kolację i, wiadomo, poszaleć z mężem. Ale głos wewnętrzny szeptał, że tę misję należy wykonać, a trudno

zignorować Boginię, która siedzi w twojej głowie. Boginię, która na dodatek właśnie nacisnęła przycisk uruchamiający poczucie winy.

– Szczerze mówiąc, ja też wołałabym, żeby tę sprawę można było załatwić w inny sposób. Ale jak trzeba, to trzeba. – Westchnęłam i jeszcze bardziej wtuliłam się w rozkoszne ciepłko. – Mówiłeś, że będziesz przez cały czas ze mną, czy tak?

– Oczywiście. Będę czuwał przy tobie, dokładniej przy twoim ciele, kiedy uleci z niego dusza.

Przy moim ciele... Miałam mnóstwo koncepcji, co mógłby z nim zrobić. Czuwanie było na szarym końcu.

– Dobrze. W takim razie wracam do chorych, a potem zjemy razem kolację i obgadamy dokładnie, co zrobić, żeby moja misja rzeczywiście okazała się skuteczna.

ClanFintan objął moją twarz i zajął mi głęboko w oczy.

– Nie martw się, Rheo. Bogini tobą pokieruje. A teraz pamiętaj. Pójdiesz do chorych, ale nie na długo. Dostłownie na chwilę. Niebawem tu wrócę i jeśli nadal będziesz z chorymi, osobiście cię stamtąd wyniosę. To, że nie zarazisz się ospą, to nie wszystko. Nie wolno ci szafować swoim zdrowiem. – Żartobliwie potargał moje i tak już rozczochrane włosy i nakierował mnie z powrotem na pokój chorych. – Pamiętaj, Rheo, tylko na chwilę. Bo wyciągnę cię stamtąd siłą.

– Cudnie! – zawołałam, przekraczając próg. – Mój słodki brutal!

Jak idiotka. Trudno, to z tych nerwów. Posłałam mu jeszcze uśmiech i weszłam do środka, gdzie natychmiast żartobliwy nastrój prysł. Przed wszystkim od razu zauważyłam, jak Carolan zakrywa prześcieradłem twarz dziecka w tej części pokoju, gdzie umieszczono najciężiej chorych.

Natychmiast tam pobiegłam.

– Pierwsza – powiedział głosem tak cichym, że na pewno słyszałam go tylko ja. – Obawiam się jednak, że nie ostatnia.

– To straszne. Biedne dziecko... Carolanie, ClanFintan powiedział, że centaury nie zarażają się ospą.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Czy wiesz, że dziś rano zgłoszono dwanaście nowych przypadków zachorowań?

Nie, nie wiedziałam. Byłam zbyt zajęta tym, co działo się tuż przed moimi oczami. Owszem, w pewnym momencie pomyślałam, że w tym pokoju robi się zdecydowanie za ciasno, uznałam jednak, że szukam dziury w całym z powodu tej mojej awersji do zawodu pielęgniarki.

– Moim zdaniem pięć, a może nawet sześć osób nie przeżyje tej nocy.

– Carolanie, a co z tą dziewczynką? – spytałam, wskazując dyskretnie na małą miłośniczkę koni.

– Jakoś się trzyma. Wszystko w rękach Epony.

Skinął na dwie pomocnice. Kiedy podeszły, polecił im zabrać z pokoju zmarłą dziewczynkę.

– Carolanie, od niej nadal można się zarazić – powiedziałam półgłosem.

Na pewno był zaskoczony, ale nie dyskutował, tylko nakazał wielką ostrożność i niedotykanie ciała zmarłej, a na koniec oznajmił:

– Zabierzcie ją do pokoju obok. Trzeba przygotować stos pogrzebowy, żeby dusza zmarłej mogła ulecieć do Epony.

Skwapliwie pokiwałam głową. Zawsze starałam się okazać publicznie, że akceptuję jego decyzje bez żadnych zastrzeżeń.

– Tak – powiedziałam. – Epona chce, by ofiary zarazy zostały spalone w jednym miejscu, z dala od świątyni. Epona przyjmie ich dusze, nie chce jednak, by ludzie żywi zarazili się od ciał zmarłych na ospę.

Staliśmy i patrzyliśmy, jak pomocnice wynoszą zmarłą dziewczynkę.

– Zawiadomcie jej rodziców – powiedział Carolan do jednej z kobiet.

Natychmiast zaprotestowałam. Tym razem nie musiał mi tego podpowiadać żaden wewnętrzny głos.

– To moje zadanie, Carolanie – powiedziałam, po czym zwróciłam się do jednej z pomocnic: – Proszę, przyprowadź ich tutaj. Ja im o tym powiem.

– Jak milady sobie życzy.

Dygnęła i oddaliła się szybkim krokiem.

– Nie musisz tego robić – powiedział cicho Carolan. – Rhiannon na pewno nie zawracałaby sobie tym głowy.

– Ale ja nie jestem Rhiannon!

Teraz to już każde porównanie do tej wrednej suki doprowadzało mnie do szału.

– Oczywiście, że nie jesteś, Rheo! Nigdy o tym nie zapominam. Przepraszam, że tak powiedziałem.

W jego znużonym głosie było tyle ciepła.

– Przecież nie gniewam się na ciebie, Carolanie. – Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie. – A jeśli już mowa o zapominaniu. Czy pamiętasz, że dziś jest wasza noc poślubna?

Zarumienił się! On! Carolan! Uzdrowiciel! Przysięgam, że ta czerwień, która pojawiła się na jego brudnych, zroszonych potem policzkach, to na pewno były rumieńce.

– Chyba... tak. Jakoś mi to umknęło.

– A szkoda! Bo pewna młoda dama może być z tego bardzo niezadowolona!

Carolan rozejrzał się bezradnie dookoła.

– Ale jak ja ich tu zostawię?

– Po prostu zostawisz. Masz wspaniałe pomocnice, którym można bezwzględnie zaufać, a sam na tę jedną noc odpuścisz sobie. Prześpisz się albo... zrobisz, co tam zechcesz! – Byłam bardzo zadowolona, że pomimo potwornego zmęczenia udaje mi się wykrzesać z siebie taki szeroki uśmiech pełen optymizmu. – Umyj się i idź do niej. Życie jest zbyt nieprzewidywalne, żeby pozwolić sobie na zmarnowanie chociażby minuty.

– Ale...

– Żadnego „ale”. Bierzesz sobie wolne, równo osiem godzin. Musisz wypocząć. Jeśli będziesz wykończony, nie przydasz się na nic swoim pacjentom. Idź już. Ja tu zostanę jeszcze chwilę i dopilnuję wszystkiego.

– Rheo, masz bardzo dobre serce, ale wybacz, jeśli chodzi o opiekę nad chorymi, brakuje ci jednak doświadczenia.

Roześmiałam się.

– Naprawdę? No proszę, jaki spostrzegawczy. Ale nie martw się. Zapędzę innych do roboty, a sama, no cóż... jak zawsze... będę tylko boginią.

– No tak! Pod tym względem pewne doświadczenie już masz!

Ale mądrala! Powiedział, co wiedział. Kiedy odwrócił się, by wydać polecenia pomocnikom, ulżyłam sobie, wykrzywając się okropnie do jego pleców. Słyszałam też, jak Carolan zarządza pracą na zmiany, ustala regularne dyżury. Kilka pomocnic odesłał do domu, by odpoczęły i wróciły na noc, żeby te, które teraz zostają, mogły też odpocząć.

– Lady Rhiannon? – zawołał ktoś nieśmiało.

W drzwiach pojawiła się pomocnica Carolana, ta, którą wysłałam po rodziców zmarłej dziewczynki. Widziałam zresztą dwie postacie stojące w mrocznym korytarzu.

Uniosłam głowę, skrzyżowałam ramiona na piersi i ruszyłam do drzwi.

W pierwszym roku mojej kariery belferskiej miałam pewną uczennicę z gatunku takich, których kształcenie to po prostu wielka przyjemność. Rozumiecie, o co mi chodzi. O takich uczniów, którzy razem z nauczycielem uzupełniają się nawzajem. Ta dziewczyna miała na imię Sarah, była wyjątkowo inteligentna i bardzo wesoła. Świetnie zapowiadająca się młoda osoba, niestety, z problemami, o których nikt z nas nie wiedział.

Tuż przed siedemnastymi urodzinami popełniła samobójstwo.

Na jej pogrzebie, kiedy wchodziłam na podium, żeby powiedzieć do mikrofonu kilka słów o zmarłej, czułam się podobnie jak teraz. Pewna byłam tylko dwóch rzeczy. Że stała się wielka tragedia. I że cokolwiek teraz powiem, niczego to nie zmieni.

– To rodzice dziewczynki, milady – powiedziała cicho pomocnica.

Powoli podeszłam do czekającej na mnie pary. Ci ludzie mogli być rodzicami któregoś z moich uczniów. Stali obok siebie, trzymali się za ręce. Miałam wrażenie, że doskonale wiedzą, co im powiem, ale słuchać tego nie chcą. Nie, za nic w świecie.

– Proszę przyjąć ode mnie wyrazy głębokiego współczucia – powiedziałam. – Wasza córka zmarła tej nocy...

Matka dziewczynki zaczęła szlochać rozpaczliwie, rozdzierająco. Gdyby mąż jej nie podtrzymał, osunęłaby się na podłogę. Aż nagle między jednym spazmem a drugim wyprostowała się. Na moment.

– Czy możemy ją zobaczyć?

Boże, jakie to wszystko straszne. Przecież oni nawet nie mogą zobaczyć swego zmarłego dziecka.

– Choroba nadal jest w ciele waszej córeczki. Musi być jak najszybciej skremowana, tego życzy sobie Epona. – Nie, ich rozpacz była zbyt wielka. Zbyt wielka, żeby nie znaleźć jakiejś furtki. –

Możecie ją zobaczyć, pożegnać się, ale nie wolno wam jej dotykać. Proszę, nie zapominajcie o tym.

Skinęłam na pomocnicę, żeby zaprowadziła ich do zmarłej.

Ojciec dziecka, zanim odszedł, przypadł do mnie i chwycił mnie za rękę.

– Bogini... – jego głos drżał – czy byłaś tam, kiedy umierała?

Tu nie wahałam się ani przez ułamek sekundy. Skłamałam.

– Tak. Byłam przy niej, była tam też Epona.

– Jesteśmy za to bardzo wdzięczni, Bogini, bardzo wdzięczni...

Dołączył do żony. Szli, dwoje ludzi przybitych największym nieszczęściem. Skamieniali z rozpacz. Tak, byli teraz jak żywy kamień. Nogi jeszcze niosły, ale serca? Serca z rozpacz na pewno nie chciały bić.

– Rheo, kochanie, chodź już.

ClanFintan wyszedł z mroku stanął przede mną w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stało dwoje nieszczęśliwych ludzi. Delikatnie objął moją twarz, ciepłe palce starły z niej łzy.

– Chodź, kochanie – powiedział miękko.

Bez słowa skinęłam głową i dałam się poprowadzić. Przed siebie, oddalając się coraz bardziej od zapachu śmierci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Po prostu śmierdę – wymamrotałam z trudem, nadal przecież połykałam łzy. Wiadomo, że po czymś takim człowiekowi niełatwo dojść do siebie.

– Czuję – padła lakoniczna odpowiedź. – Dlatego zabieram cię do pokoju kąpielowego.

Znów coś tam wymamrotałam, coś w stylu, że bardzo przyjemnie jest być czystym. Bo fakt. Człowiek odświeżony od razu czuje się lepiej, także w sensie psychicznym. W każdym razie ja na pewno.

Koniec dialogu. Dalej szliśmy w milczeniu długim korytarzem oświetlonym pochodniami. Przez okno widać było ogniska rozpalone na dziedzińcu, przy których krzątały się kobiety zajęte gotowaniem. Cudowne zapachy przenikały przez okienne szyby, drażniąc mój pusty żołądek. Oczywiście, nie wytrzymałam. Zaburczałam, i to bardzo głośno, a ClanFintan oczywiście się zaśmiał. Wcale nie cicho.

– Nie martw się. W pokoju czeka na ciebie dobra kolacja.

– Dzięki!

– Żaden problem.

– Ejże! Zaczynasz mówić jak ja!

– Nie tylko mówić...

Teraz, przepraszam, zarżał ze śmiechu. Nie wiedziałam, co tam właściwie sobie pomyślał, w każdym razie śmiał się, w jego klatce zadudniło, a ja poczułam, jak ze mnie zaczyna powoli wyparowywać to potworne przygnębienie. Tym bardziej że byliśmy już pod drzwiami do pokoju, który stał się moim ulubionym pokojem, czyli pokoju kąpielowego. Zauważyłam, że żaden ze strażników nie zadrżał pod władczym spojrzeniem mego męża. Znak, że spojrzenie to stało się już dla nich czymś oczywistym. I dobrze.

– A gdzie Alanna? – spytałam, wpatrując się tęsknym wzrokiem w parującą wodę.

– Ma teraz swojego męża, któremu musi poświęcać uwagę.

– Tak, ale...

– Bez obaw. Dziś ja będę twoim służącym.

I zanim mój otępiały umysł zdążył wyprodukować jakąś ripostę, ClanFintan szarpnął za moje pobrudzone ubranie. Na plecach, rozdzierając je na pół.

– Ej, co ty!

Mógł mnie przecież uprzedzić, prawda?!

– Chyba nie masz zamiaru dalej w tym chodzić? – spytał

niewinnym głosem. No, prawie niewinnym.

– Oczywiście, że nie, i trzeba to spalić jak najszybciej.

Żadna z dziewcząt nie powinna dotykać tych szmat.

Dla równowagi oparłam się na jego ramieniu i samodzielnie pozbyłam się stringów. Sandałki zrzuciłam z nóg już w biegu do mojego ukochanego parującego baseniku.

Wykonywałam ten sprint oczywiście z nadzieją, że nic mi się tam za bardzo nie trzęsie. Najważniejsze jednak, że do baseniku dotarłam i pojękując z rozkoszy, zanurzyłam się prawie po szyję w cudownej, gorącej wodzie.

– Rheo?

Chwila, moment! Odszukałam w wodzie marmurową półkę, też już moją ukochaną, i ulokowałam na niej tyłek.

Dopiero wtedy mruknęłam:

– Co jest...

– Pamiętaj, nie odzywaj się – powiedział ClanFintan, zdejmując kamizelkę.

– Ale dlaczego?

– Ciii...

Na jego twarzy pojawił się wyraz największego skupienia.

Pochylił głowę i zaczął cicho nucić to samo, co poprzedniej nocy. A więc to tak! Jęknęłam w duchu. Już czułam ciarki na plecach, podniecona perspektywą słodkich chwil, które czekają mnie po Przemianie. Podniecenie jednak przytłumił strach.

Pamiętałam przecież, że ClanFintan podczas Przemiany odczuwa wielki ból. I to jest okropne.

Teraz też, kiedy widziałam, ile musi znieść, by przejść do ludzkiej postaci, z trudem powstrzymywałam się od krzyku. Tak samo, gdy to oślepiające migoczące światło zaczęło dokonywać transformacji jego ciała. Patrzyłam i przerażona, i zafascynowana tym, co dzieje się przed moimi oczami. Mimo woli nie zamykałam ich, zrobiłam to w ostatniej chwili, a niebywale ostre światło i tak kłuło przez zamknięte powieki.

Potem zrobiło się pod nimi ciemno.

Otworzyłam oczy, zamrugalam. Przede mną klęczał

ClanFintan, teraz człowiek od stóp do głów. Ocierał pot z czoła i starał się zapanować nad przyśpieszonym oddechem.

– Mo...możesz już mówić – wydyszał.

– Ale dlaczego to tak cię boli?! Nienawidzę tego!

Wstał. Trochę jeszcze drżał.

– Gdyby nie Przemiana, nie moglibyśmy współżyć jako małżonkowie.

– Wiem. I to też doprowadza mnie do rozpacz.

Podszedł do baseniku. Z każdym krokiem szedł coraz pewniej, drżał coraz mniej. Po marmurowych stopniach schodził

do wody już normalnym, pewnym krokiem.

– A ty tu po co?! – zawołałam jak to ja, niby dowcipnie, choć jeszcze trochę spięta. – Od ciebie przecież nie czuć!

– Rheo, przecież mówiłem, że dziś ja będę twoim służącym.

Wziął do ręki gąbkę i butelkę z mydłem ustawione na brzegu baseniku, po czym rozkazał:

– Odwróć się.

Rozanielona wykonałam rozkaz natychmiast. Wstałam i ustawiłam się tyłem ClanFintana, opierając ręce na marmurowej półce, na której przedtem siedziałam. Słodki mążus odgarnął mi włosy do góry i zaczął namydlać cały tył, od góry do dołu. Głaskał mnie tą gąbką i głaskał, a ja tylko cicho pomrukiwałam, tak mi było dobrze. Kiedy po chwili odłożył

gąbkę, byłam okropnie rozczarowana. Co, już?! Tymczasem okazało się, że chwile, które teraz nastąpią, będą jeszcze bardziej rozkoszne. Silne, ciepłe ręce męża zaczęły namydlać i jednocześnie masować moje obolałe mięśnie, głównie na ramionach i karku. A ja po prostu się rozpływałam. Tak. Cała w środku przechodziłam w stan ciekły.

Skończył tył (powtarzam: calusieńki, od karku po pięty) i usadził mnie na marmurowej półce znajdującej się wyżej niż moja ulubiona półka. Na niej prawie cały mój tors wystawał

z wody. Poza tym, kiedy siedziałam wyżej, ClanFintan miał

dostęp do moich nóg. W każdym razie teraz zajął się moim przodem. Namydlał wszystko, co ja tam mam, a do mnie po krótkiej chwili dotarło, że ta sytuacja, w końcu wyjątkowo intymna, całkowicie wyprana jest z seksu. ClanFintan był po prostu nieskończenie delikatny, troskliwy i staranny. Chciał

tylko, bym się odprężyła.

Cel swój osiągnął. Byłam już bardzo senna. Powieki miałam ciężkie jak ołów, z trudem udawało mi się utrzymać je przymknięte tylko do połowy.

– Oprzyj się wygodnie i odpręż – powiedział miłym, ciepłym głosem. – Masz za sobą bardzo ciężki dzień. Poddalem się Przemianie nie po to, by kochać się z tobą. Dziś potrzebujesz czegoś innego.

Poczułam wielką ulgę. Kochałam go, oczywiście, nieprzytomnie, ale miał rację. Dzisiejszego wieczoru potrzebny mi był troskliwy opiekun, a nie namiętny kochanek. Kiedy zabrał się do moich nóg, oparłam się wygodniej i zamknęłam oczy, rozluźniając się już całkowicie. ClanFintan każdą z nóg wyjął z wody, namydlił i wymasował, potem powrócił wyżej i zaczął namydlać gąbką ramiona i ręce. Namydlał tak, jak by to powiedzieć, na okrągło, to znaczy rysował gąbką na moim ciele kółka, a ja miałam wrażenie, że z każdym takim kółkiem odprężam się coraz bardziej, dzięki czemu łatwiej mi znieść te wszystkie okropności dnia.

– Muszę znów cię ruszyć, Rheo.

– Dobrze... – mruknęłam, nie otwierając oczu.

Chwycił mnie wpół i usadowił na niższej półce.

– Odchył się do tyłu i zmocz włosy. Potrzymam cię za ramiona.

Zrobiłam, co kazał, splukując z włosów zjełczały zapach strasznej choroby, potem usiadł za mną i zaczął namydlać mi głowę. Moje zadanie polegało jedynie na oparciu się o niego plecami i rozkoszowaniu się cudownym doznaniem, kiedy jego ręce energicznie, a jednocześnie tak delikatnie operowały przy mojej głowie.

– Teraz splucz.

Przytrzymał mnie za ramiona, a ja położyłam się na plecach w ciepłej wodzie.

– Poleż tak chwilę, Rheo, niech twoje ciało wchłonie jak najwięcej dobroczynnego ciepła.

Leżałam więc tak sobie na plecach, oczy zamknięte, w głowie zaczynała robić się cudowna pustka. Nareszcie, byłam przecież zmalretowana nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie, czyli ogólnie dętka. A ClanFintan, stojąc tak nade mną, zaczął cichusieńko śpiewać. Nie rozumiałam ani jednego słowa, ale to nieistotne, bo melodia była urzekająca, tak samo jak wręcz hipnotyzujący głos wykonawcy.

– O czym śpiewasz? – spytałam szeptem.

– Po prostu mówię ci, żebyś się odprężyła. Pamiętaj, Rheo, twoje troski są moimi troskami. Zawsze tak będzie, bo nigdy nie pozwolę ci odejść ode mnie.

Kiedy brał mnie na ręce, ukołysana wodą i jego miłością byłam już prawie bezwładna. Przelewałałam mu się przez ręce, ClanFintan jednak, istota bardzo silna i niezwykle zręczna, dał radę mnie oporządzić. To znaczy owinąć w gruby ręcznik i posadzić przed toaletką.

– Nie spadniesz z krzesła? – spytał.

Ociupinkę uniosłam powieki i zobaczyłam, że ClanFintan przykucnął przede mną, a ręce oparł o moje kolana.

Pokręciłam głową. Nie, nie spadnę.

– To nie potrwa długo.

Ścisnął lekko moje kolana i wstał.

– Ale... dokąd ty idziesz? – spytałam prawie już nieprzytomna.

– Ciii... Nie odzywaj się.

Zaczął nucić te swoje zaklęcia. Powrót do pierwotnej postaci trwał krócej. Światło pojawiło się wcześniej i było chyba jeszcze bardziej oślepiające. Tak bardzo, że samo zamknięcie oczu nic tu nie dało. Musiałam ukryć twarz w ręczniku.

Kiedy usłyszałam znajomy stukot kopyt, wiedziałam, że można już bez obaw otworzyć oczy. A także usta. Je też już wolno otworzyć.

– Czyli jednak się obudziłaś – stwierdził jakby trochę zawiedziony.

– Przy tym świetle każdy by się ocknął. ClanFintanie, jak to jest, kiedy wracasz do poprzedniej postaci? Też tak boli?

– Nieważne. Przestań się o mnie martwić, Rheo. Ze mną naprawdę wszystko w porządku – powiedział, układając sobie moją głowę na ramieniu. Sprawdził, czy ręcznik zakrywa wszystko, co trzeba, a ja wtuliłam się w niego i cmoknęłam go w szyję.

– Ale maratonu byś teraz nie pobięł – stwierdziłam, kiedy wynosił mnie na korytarz.

– Oczywiście, że tak! Może tylko trochę wolniej.

W tym momencie, a jakże, zaburczało mi w brzuchu i wybuchnęliśmy śmiechem.

Mój pokój skąpany był w łagodnym blasku świec. Było ich mnóstwo (większość świec w świecznikach w kształcie czaszek, ale nauczyłam się już podchodzić do tego bez emocji). Na stoliku czekała kolacja. Również mnóstwo wszystkiego, a ja, jak zwykle, umierałam z głodu.

ClanFintan spoczął na jednym z szezlongów, usadził mnie przed sobą i nachyliwszy się nade mną, sięgnął po złociste udko.

Nie, udo, o ile nie był to regularny udziec jakiegoś zmutowanego indyka.

– Jedz. – Wbił zęby we wspomniane udo. – Przecież wiem, że umierasz z głodu.

Powtarzać nie musiał. Poprawiłam szybko ręcznik osłaniający moje ciało i zabrałam się do jedzenia, którego było w bród. Kilka rodzajów mięsa, warzywa i makaron. Nie po raz pierwszy ja, smakosz, byłam pełna uznania dla tutejszego kucharza/kucharki (zapamiętaj: dać mu/jej podwyżkę czy coś tam, co tu dają w takim przypadku).

Wino jak zwykle było cudownie czerwone, smak też cudowny. Mocne. Rhiannon miała wiele wad, ale na jedzeniu i winie naprawdę się znała.

Za plecami usłyszałam śmiech.

– Kiedy jesz, bardzo przypominasz kobietę centaurzycę.

One też kochają jeść.

– Chwileczkę! Chcesz we mnie wmówić, że jem jak koń? –zażartowałam.

– Centaur nie jest koniem!

Wkurzył się, oczywiście, ale dla mnie zawsze był

słodziutki niezależnie od nastroju.

– Chociaż bardzo cenimy w sobie nasze końskie cechy!

– A w moim starym świecie w ogóle nie ma centaurów – poinformowałam między jednym kęsem a drugim.

– Co?!

Spojrzał na mnie tak, jakbym chciała wcisnąć mu kit. Coś takiego, jak kit powszechnie znany, serwowany w odpowiedzi na pytanie: Skąd się biorą dzieci? Malutkie dziewczynki znajdujemy w pączkach róży, malutkich chłopczyków w główkach kapusty. A jak!

– Nie ma – powtórzyłam w trakcie przeżuwania kawałka cudownej ryby o smaku podobnym do halibuta. – U nas centaur to postać z mitologii. Bajka.

– Ale jak mogło do tego dojść?

Był wyraźnie urażony.

– Nie mam pojęcia, ClanFintanie, ale co się będziemy przejmować. Niech żałują!

– No tak...

Chrząknął może i na znak zgody, po czym powrócił do przeżuwania. Wyraźnie jednak nad czymś się zastanawiał.

Nad czym – o tym dowiedziałam się po chwili:

– Dla ciebie musiał być to wielki szok, kiedy dowiedziałas się, że zostaniesz żoną postaci z bajki.

– Nie mów!

Oczywiście żarcik. Przecież wiadomo, że omal wtedy nie umarłam. Ale teraz... Uśmiechnęłam się i wypiłam łyk wina.

ClanFintan kontynuował temat:

– Nic dziwnego, że na początku bałaś się mnie –powiedział, wykonując rutynowy już gest, czyli delikatnie odgarnął mi włosy z twarzy. – W twoim świecie na pewno nikt nie potrafi dokonywać Przemiany. Tak, to musiał być dla ciebie wstrząs. Trzeba przyznać, że zachowałaś się bardzo dzielnie.

– No cóż... starałam się, jak mogłam, ale zdołałam przez to przebrnąć przede wszystkim dzięki tobie, ClanFintanie.

Zdobyłeś moje zaufanie, a to podstawa, prawda?

– Cieszę się, że tak uważasz. Gdybym jednak wiedział, kim naprawdę jesteś, na pewno postąpiłbym inaczej.

– To znaczy jak? – Zrobiłam minę specjalnie bardzo, ale to bardzo zmartwioną. – Poczekałbyś z zaślubinami? Kochałbyś się ze mną na przykład dopiero za rok? Myślisz, że pozwoliłabym na to?!

ClanFintan roześmiał się i cmoknął mnie w kark.

– Nie sądzę. Ale też bym z tym nie czekał...

W tym momencie doszłam do wniosku, że skoro gadamy tak ze sobą szczerze, warto pewną rzecz ustalić. Tak dla porządku. Odwróciłam się więc do mego małżonka, spojrzałam mu prosto w twarz i wygłosiłam swoje exposeu:

– *Mój kochany, skoro już tak otwieramy się przed sobą, chciałabym, żebyś się o czymś dowiedział. Zwłaszcza teraz, kiedy już wiesz, kim jestem naprawdę. Otóż w przeciwieństwie do Rhiannon ja jestem kobietą wierną. Sypianie z tabunem facetów nigdy mnie nie pociągało. Jestem kobietą, którą można obdarzyć bezgranicznym zaufaniem. Taka po prostu jestem.*

– *Wspaniale.*

Głos jak zwykle ciepłutki, hipnotyzujący. W tym głosie po prostu można się było zatracić.

– *Szczerze mówiąc, Rheo, taka wydawałaś mi się od samego początku, ale cieszę się, że usłyszałem to z twoich ust.*

Bo nie mam najmniejszego zamiaru z kimkolwiek się tobą dzielić.

Przypomniałam sobie, jak ustawiał w pionie strażników.

– *Co do tego możesz mieć całkowitą pewność, ClanFintanie.*

– *Cieszę się.*

I istotnie wyglądał na bardzo zadowolonego, ale do pełni szczęścia wciąż było mi daleko.

– *Jeszcze jedno, ClanFintanie. Pamiętaj, że dotyczy to obu stron, jasne? Skok w bok z twojej strony jest również niewskazany!*

Trzeba przyznać, że wstrząsnęło nim.

– Ależ oczywiście! Zawszę będę ci wierny. Czy może być inaczej?

– Świetnie. Kamień spadł mi z serca. Perspektywa uganiania się za jakąś panną centaurówną w celu zrobienia dzikiej awantury wcale mnie nie pociąga. Epi na pewno bardzo by mi w tym pomogła, niemniej dla nas obu byłoby to bardzo stresujące!

Gdzieś na wysokości moich oczu zadudniło. Głośny śmiech mego męża, jak zwykle, był urzekający. A potem przez dłuższą chwilę w milczeniu pochłanialiśmy dary... Epony. Ja, dostarczając rozkoszy swemu podniebieniu, myślałam też sobie o tym, jakim sympatycznym człowiekokoniem jest ten mój mąż.

Jak łatwo z nim się dogadać. Ma cudowne poczucie humoru i naprawdę dobrze poukładane w głowie. Facet super. Tak, facet, po prostu facet, dajmy już sobie spokój z tą drobiazgową analizą budowy jego ciała.

Wreszcie poczułam, że mój drogi żołądek wypełniony jest po brzegi. Nalałam więc wina, oczywiście pełny puchar, zamierzając zafundować sobie chwile superrozkoszne, kiedy to wtulona w mężowską pierś będę popijać wspaniałą czerwoną trunek. Niestety, z realizacją tego planu był pewien problem.

Ziewnęłam raz, a potem drugi, i to jeszcze szerzej, na co ClanFintan, zręcznie usuwając ogromne ciało z szezlonga, zarządził:

– Koniec siedzenia. Jesteś bardzo zmęczona.

– Wcale nie, wcale nie!

Protesty na nic się nie zdały. Pociągnął mnie w stronę łóżka. Opierałam się, specjalnie powłóczyłam nogami, ale wiadomo, bezskutecznie. Niestety, nie była to zabawa w przeciąganie

liny, kiedy zawodnicy mają mniej więcej równe szanse. Z koniem jest inaczej. I tak cię powlecze, dokąd tylko zechce.

Dotarliśmy do łóżka. Nieraz już wspominałam, że jest naprawdę duże. Teraz jednak, kiedy spojrzałam w górę, na ClanFintana, potem w dół, na łóżko, doszłam do wniosku, że i tak, niezależnie od rozmiarów wspomnianego łóżka, mojemu mężowi centaurowi raczej trudno będzie ułożyć się w nim po bożemu, czyli obok małżonki.

Czyli trzeba wykazać się odrobiną inwencji.

Ściągnęłam z łóżka wielką, haftowaną złotą nitką kołdrę oraz prześcieradło i rzuciłam na podłogę. A potem chwyciłam róg wielkiego puchowego materaca i zaczęłam go ciągnąć.

– A pomoc to nie łaska? – rzuciłam przez ramię do męża, który stał jak słup soli.

– Dobrze, dobrze...

Chyba nie był tak do końca przekonany o celowości moich poczynań, ale przynajmniej ruszył się z miejsca i dzięki połączonym siłom po krótkiej chwili przeogromny materac spoczął na podłodze. Rozłożyłam na nim prześcieradło, potem kołdrę i stanęłam obok, popatrując z satysfakcją na moje dzieło.

– Jak taki gigantyczny deser z pianką – stwierdziłam.

Moim zdaniem porównanie było bardzo sympatyczne, ale ClanFintan wcale się nie uśmiechnął, tylko oznajmił:

– Mam dwa pytania.

Ciekawe jakie. Zerkając na niego, wiadomo, że z wielką ciekawością, wpelzłam na łóżko-deser z pianką.

– Pytanie pierwsze. Po co to zrobiłaś?

– Jak to po co? Chcę, żebyś spał ze mną, a nie sądzę, by ci było wygodnie ładować swoje końskie ciało na łóżko, prawda?

O tym, że łóżko mogłoby się zapaść pod twoim ciężarem, nawet nie wspominając. Dlatego zrobiłam nam małżeńskie łóżko na podłodze.

– Aha...

Odprężył się, i to aż tak bardzo, że ostrożnie wszedł za mną na nasze nowe łóżko.

– A jakie jest drugie pytanie? – spytałam, kiedy ułożył się już obok mnie.

– Co to jest ten deser z pianką?

– Po prostu deser z pianką – wyjaśniłam, moszcząc się koło niego. – Puszysty, białutki, bardzo słodki, mniem. Jak się uprzesz, możesz go sobie zrobić nawet nad ogniskiem.

ClanFintan przyciągnął mnie do siebie. Ułożyliśmy się na łyżeczkę. Plecami wtuliłam się w jego pierś, a pośladki, co oczywiste, przywarły do jego brzucha i okolic. Pod naszym ciężarem materac zapadł się, po brzegach napęczniał. Leżeliśmy więc w fantastycznym dołku.

ClanFintan pocałował mnie w czubek głowy.

– Rzeczywiście, puszysty.

– A widzisz? Pomysł nie był zły...

Ziewnął potężnie i rzucił ostatni mężowski komentarz do tej sytuacji:

– Śpij już.

Posłusznie zamknęłam oczy, starając się całkowicie zrelaksować, jednak po sekundzie gwałtownie otrzeźwiałam, a po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz.

Po prostu przypomniałam sobie o misji, którą miałam spełnić podczas tego właśnie snu.

– Ja... ja nie wiem, czy to zrobię. Boję się.

– Nie bój się. Nie opuszczę cię ani na moment. Będę czuwał nad twoim ciałem, a Epona nad twoim duchem. Nic złego ci się nie stanie. Nie ma prawa...

Jego ręka odszukała po kołdrę moją nogę i rozpoczęła cudowną, hipnotyzującą pieśczętę, polegającą na delikatnym przesuwaniu palców po udzie w dół, za kolano, do bardzo wrażliwego miejsca, potem powrót po udzie, przez pośladek i do krzyża. I z powrotem w dół. Coś niesamowitego.

Już po drugiej wędrówce palców ClanFintana czułam, jak odprężam się całkowicie.

Powieki zrobiły się ciężkie jak ołów. Zdążyłam jeszcze tylko szepnąć:

– Tylko nie odchodź, proszę.

W odpowiedzi objął mnie mocniej. I zapadłam w sen.

Byłam w bardzo ekskluzywnym spa. Masaż robił mi...

chwileczkę, niech spojrzę... tak, Batman (czyli to jeden ze snów o niegrzecznych chłopcach). Masował mnie na tarasie, z którego roztaczał się przepiękny widok na okolicę, przypominającą mi pojezierze w Anglii, pozbawione co prawda mgły, kosmatych owiec skubiących trawkę i tłustych czarno-białych kotów wylegających się na słońcu.

Było cudnie. Niestety, dokładnie w chwili, gdy Batman nachylił się nade mną, by mi szepnąć, że mam najcudowniejszy tyłeczek pod słońcem – wessało mnie. Wessał mnie sufit, wypluł po drugiej stronie i nagle okazało się, że unoszę się w powietrzu nad czymś bardzo dobrze już znanym. Nad Świątynią Epony. Noc była bezchmurna, księżyc jednak dopiero wschodził, nie przyćmił jeszcze gwiazd rozsianych po niebie jak wspaniała ekspozycja bezcennych kamieni.

Spojrzałam w dół. Teraz, kiedy patrzyłam z lotu ptaka, dotarło do mnie, jak wielu ludzi przebywa w świątyni i wokół

niej. Wszędzie widać było namioty i ogniska, koło których, mimo późnej pory, kręcili się ludzie.

Łagodny wiatr niósł mnie w stronę rzeki, na której też panował ożywiony ruch. Przyplływały barki, cumowały, wszędzie światła latarni. Głosy niosły się daleko po wodzie.

Kiedy tak wpatrywałam się w rzekę, nagle moje zdematerializowane ciało odwróciło się powoli w kierunku północnym i nabrało szybkości. Od razu poczułam się jak podczas tamtych dwóch nocy, kiedy wysysano mnie z mojej ukochanej, prywatnej Krainy Snów. Wcale mi nie było przyjemnie. Niósł mnie porywisty wiatr, którego gwałtowne powiewy kojarzyły mi się z wydechami z monstrialnych płuc jakiegoś rozdrażnionego giganta. A skojarzenie z monstrem było niemiłe dubeltowo, gdy się wiedziało, któż to taki czekał na mnie u celu mojej powietrznej podróży.

Rzeka została w tyle, leciałam teraz na zachód. W pewnym momencie zobaczyłam olbrzymią, wydłużoną plamę granatowej wody. Z pewnością było to jezioro Selkie. Bardzo szybko, wprost nienormalnie szybko, znalazłam się nad jego północnym brzegiem. Kawalek dalej oczom moim

ukazała się wielka, surowa budowla z kamienia.

Zamek Laragona. Stał taki ciemny i milczący. Na moment oderwałam od niego wzrok, spojrzałam ku niebu i pomodliłam się cicho do Epony, błagając ją, by nie zabierała mnie do tego zamku. Wcale nie chciałam przekonywać się na własne oczy, jak tam jest po najeździe Fomorian. Być może z mojej strony było to zwyczajne tchórzostwo, ale trudno. W każdym razie odetchnęłam z ulgą, kiedy zorientowałam się, że wcale nie lecę w kierunku Zamku Laragona. Frunęłam dalej, zdecydowanie na północ, może trochę zbaczając na wschód. W pewnej chwili zobaczyłam przed sobą światła. No tak, znów kamienna budowla. Warownia, rozpoznałam ją od razu. Kiedy znalazłam się dokładnie nad nią, na moment zawisłam w powietrzu, potem zaczęłam powoli opadać.

– Błagam, Epono, nie każ mi być tu długo – szepnęłam w przestrzeń.

– Odwagi, Wybranko.

Te dwa słowa przemknęły mi przez głowę bardzo szybko, tak szybko, że nie byłam pewna, czy pomyślałam to sama, czy...

W każdym razie odetchnęłam głęboko i przygotowałam się psychicznie. Oczywiście na coś straszego.

Jak powiedziałam, opadałam coraz niżej i niżej, póki nie znalazłam się na niewielkiej wysokości nad samym środkiem tego samego dziedzińca, który odwiedziłam podczas poprzedniej wędrówki we śnie. Tak samo jak wtedy widać było ogniska, także namioty, dużo starych, zniszczonych namiotów, prawdopodobnie więc tu, w Warowni, więziono uprowadzane kobiety. Nadal uprowadzane, bo kiedy przyjrzałam się skulonym, owiniętym w koce kobietom przy ogniskach, doszłam do wniosku, że ich liczba znacznie się zwiększyła.

A jednak na dziedzińcu panowała cisza. Zaskakująca i bardzo niepokojąca cisza, zwykle bowiem w tak dużym zbiorowisku kobiet, nawet późną nocą, jest gwarnie. A tu słychać było tylko potrząskiwanie ognia. I tym razem chyba żadna z nich nie wyczuła mojej obecności, może dlatego nie zatrzymałam się tutaj, tylko przesuwałam w powietrzu dalej, nad zachodnie skrzydło

oświetlonego pochodniami zamku.

Kiedy doleciałam do płaskiego dachu otoczonego balustradą, zatrzymałam się. W głowie odbiły się echem cicho wyszeptane słowa:

– Przygotuj się, Wybranko.

I zaraz potem moje ciało przeniknęło przez dach, potem przez sufit nad ogromną sypialnią skąpaną w blasku ognia.

Płonęło tu mnóstwo pochodni i świec, także ogień w dwóch kominkach tak ogromnych, że mogłoby się w nich zmieścić kilku mężczyzn stojących na baczność.

Środek pokoju zajmowało wielkie łóżko. W pierwszej chwili wydało mi się puste, ale zaraz potem usłyszałam jakiś szelest... i wtedy zobaczyłam. I od razu zrobiło mi się niedobrze.

Bo to, co leżało rozłożone na łóżku, to wcale nie były, jak sądziłam, koce, tylko rozłożone skrzydła stwora, podobne do skrzydeł nietoperza.

Fuj!

Niestety wbrew swej woli opadłam niżej. Widziałam, jak skrzydła stwora poruszyły się, złożyły, i wtedy dostrzegłam, że pod nimi jest nie tylko to obrzydliwe monstrum. Także istota rodzaju ludzkiego. Naga dziewczyna z twarzą białą jak papier i całkiem nieruchoma. Pomyślałam, że nie żyje. Ale nie, ona żyła, bo kiedy stwór położył rękę na jej łonie, zadrżała.

– Było słodko – wysyczał.

Przesunął rękę w dół, między zaplamione krwią nogi dziewczyny.

– *O nie...*

Gdy z bólu, wstrętu i rozpaczyny jęknęłam, stwór natychmiast poderwał głowę, zmrużył oczy i spojrzał przenikliwie do góry.

Poznałam go. To on, Nuada.

– *Wynoś się – zawarczał i zakończoną szponami nogą zepchnął dziewczynę z łóżka. Upadła ciężko na podłogę i natychmiast, choć z wielkim trudem, zaczęła się podnosić.*

Wreszcie wstała i chwiejnym krokiem poszła do drzwi. Kiedy tylko znikła za progiem, Nuada, wciąż mając uniesioną głowę, na kolanach podsunął się do wezglowia łóżka.

– *Wiem, że tu jesteś. Przedtem też czułem twoją obecność.*

W jego głosie nie było cienia strachu.

Moje niewidzialne ciało, unoszące się nad drugim krańcem łóżka, zeszło niżej. Teraz widziałam stwora dokładniej. Był

bardzo wysoki i bardzo chudy, twarz o wyjątkowo ostrych rysach i idealnie nieruchoma, jakby wykuta z jasnego granitu.

Na całym nagim ciele ani jednego włoska, tylko na głowie srebrzysta grzywa opadająca na plecy. Wielkie skrzydła, podobne do skrzydeł nietoperza, poruszały się, jakby chciały zakryć nagość. Niewiele jednak mogły zrobić, dlatego widziałam dokładnie jego uda i zwiotczone genitalia zbryzgane dziewiczą krwią.

Właściwie to powinnam być przerażona, ale przede wszystkim czułam największe obrzydzenie.

I narastający gniew.

Czemu głośno dałam wyraz:

– Kiedy patrzę na ciebie, robi mi się niedobrze!

Stwór zmrużył oczy.

– Chyba jesteś... samicą. – Ostatni wyraz wymówił wolniej, dobitnie, jakby to było przekleństwo. – Czemu się chowasz? – zawołał. – Boisz się pokazać?

Drań! Niestety, w moim dawnym świecie nie brakowało podobnych do niego typków. Takich nibymężczyzn, co największą przyjemność znajdują w maltretowaniu kobiet i dzieci!

Byłam wściekła i rozjuszona, a jednocześnie wyczułam, że ten narastający gniew powoduje jakąś zmianę w moim niewidzianym ciele. Jaką? Zauważyłam od razu, kiedy spojrzałam po sobie. I przytknęło mnie. Bo okazało się, że teraz jestem na wpół widzialna. Tak. Widziałam siebie... nagą i uwodzicielską. Unosiłam się nad tym ogromnym łóżem jak czyjeś marzenie senne, które prawie się zmaterializowało.

Oczy stwora rozszerzyły się, oblizal się...

– Nuado, podoba ci się, co widzisz?

Mój głos też mnie zaskoczył. Już nie głos człowieka, lecz ducha, głos o nieziemskiej sile, który odbił się głośnym echem od ścian pokoju.

Na twarzy Nuady pojawił się obleśny uśmiezek.

– Zbliż się, to pokażę ci, co mi się podoba! – wykrzyknął.

– Ja do ciebie... – Na moment teatralnie zawiesiłam głos, by zaraz dodać: – A może to ty powinieneś przyfrunąć do mnie?

Jedną ręką zaczęłam przyzywać go do siebie, tak jak zaklinacz węży przyzywa do siebie kobrę. Drugą dłoń przyłożyłam do szyi, potem przesunęłam powoli w dół, pieszcząc siebie. Pierś, brzuch, biodra. Na koniec wsunęłam palce między nogi i wykonałam obrzydliwy gest, naśladując to, co on przed chwilą zrobił tej nieszczęsnej dziewczynie.

Patrzył na mnie żarłocznie, a mnie, powiem już tak naprawdę mocno, wszystkie flaki się przewracały. Gdy zaczął

szykować się do skoku, zauważyłam, że z podniecenia nie tylko jego penis, niestety stuprocentowo rodzaju ludzkiego, zaczyna poruszać się i nabrzmiwać. Także skrzydła.

– Śmieję się z niego, Wybranko.

Ciche słowa niespodzianie przemknęły przez moją głowę.

Naturalnie, że polecenie wykonałam natychmiast. Mój szyderczy śmiech o nadprzyrodzonej sile ducha omal nie rozsadził ścian pokoju. A kiedy skrzydlate monstrum oderwało się od ziemi, żeby skoczyć do mnie, usłużny sufit wessał mnie.

Uff, na szczęście. Przeniknęłam przez strop żegnana rykiem wściekłości rozczarowanego stwora i znów znalazłam się w powietrzu, nad zamkiem, w nocnej, zwodniczo spokojnej ciszy.

Otworzyłam oczy.

– Już po wszystkim, Rheo.

Mimo tych krzepiących słów i tak wpadłam w panikę, nie miałam bowiem pojęcia, gdzie jestem. Dopiero po chwili, kiedy zmysły ożyły i poczułam na sobie ramiona ClanFintana, odetchnęłam. Potarłam oczy, ścierając z nich mgiełkę, i spojrzałam mężowi w twarz. Niby uśmiechał się do mnie, ale jego twarz wcale nie była pogodna.

*– Twoja dusza wróciła do twego ciała – powiedział
z wyraźną ulgą.*

Miło usłyszeć, że mąż, podobnie jak ty, bardzo cieszy się z twojego powrotu do domu.

– Tak – wychrypiałam, bo w gardle dziwnie drapało. – Koniecznie muszę się napić.

Rozluźnił ramiona, żebym mogła się nich wysunąć.

Wzięłam ze stolika kielich i nalałam do pełna. Ręce mi drżały, przez co czerwone kropelki wina spadły na biały marmur.

Czerwone... jak krew tamtej biednej dziewczyny na białej skórze Nuady. Zbyt białej, żeby być skórą człowieka.

– Rheo?

Odetchnęłam głęboko i starając się jakoś zebrać w sobie, wróciłam do naszego łóżka na podłodze. Umościłam się w ramionach męża i solidnie łyknęłam kojącego trunku.

– Opowiadaj, Rheo.

– Epona zabrała mnie prosto do niego. A on... on właśnie skończył gwałcić dziewczynę. Bardzo młodą, prawie dziecko.

– Wyczuł twoją obecność?

– Tak. I nie tylko. Słyszał mnie, poza tym Epona zrobiła tak, że moje niewidzialne ciało stało się do pewnego stopnia widzialne. Dlatego mógł mnie też zobaczyć.

ClanFintan pokiwał głową.

– Epona używa swojej mocy, żebyś mogła przekazać Fomorianom to, co chcemy im przekazać.

– Mam nadzieję, że kiedy robi te swoje sztuczki, ma na uwadze bezpieczeństwo mojej skromnej osoby.

Wcale nie starałam się nadrabiać miną. Byłam roztrzęsiona, czego w ogóle się nie wstydziłam. Trudno zachować spokój po zetknięciu się z piorunującą mieszanką sen-magia-bogini-monstrum.

– Jesteś Jej Wybranką, zawsze jesteś pod Jej opieką.

Oby! Usta same mi się otwierały, żeby wyrzucić jakąś zjadliwą uwagę, ale nagle... zamknęłam je. Bo fakt. Epona wcale nie rzuca mnie samiuteńką na głęboką wodę. Absolutnie nie. Mam na to dowód. Te słowa, cicho szeptane w mojej głowie.

„Przygotuj się, Wybranko”.

Ona była cały czas ze mną.

Napiłam się wina.

– Rheo, powiedziałaś mu o Świątyni Muz?

– Nie zdążyłam. Kiedy podskoczył i chciał mnie złapać, Epona natychmiast stamtąd mnie zabrała.

Przed oczyma mignęła mi rozwścieczona twarz Nuady, więc nic dziwnego, że wlanie w siebie kolejnej porcji krzepiącego trunku było niezbędne.

ClanFintana w tym momencie również opuścił spokój.

– Skoczył? Chciał cię pochwycić?! Drań! Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie go dopadnę! Posiekam Nuadę mieczem na kawałki! On nie ma prawa żyć, jest zakałą, całym złem tego świata!

– Zgadzam się z tobą całkowicie. Nie jestem zwolenniczką przemocy, ale w tym przypadku robię wyjątek. Tak, należy go posiekać jak najprędzej na jak najmniejsze kawałeczki. – Znów łyczek. Byłam trochę zdziwiona, że w kielichu pokazało się dno.

Ziewnęłam. – Mam nadzieję, że Epona nie ma już żadnych dalszych planów związanych z moją osobą, które należałoby zrealizować w tę noc. Jestem wykończona.

ClanFintan wyjął pusty kielich z moich rąk i postawił go na podłodze.

– Jestem pewien, że zgodnie z życzeniem Bogini masz się porządnie wyspać – powiedział, przyciągając mnie do siebie. – Tak musi brzmieć rozkaz Epony dla Jej Wybranki: Spać, spać i jeszcze raz spać.

– Świetnie.

Uniosłam się jeszcze tylko na moment, żeby zbić swoją poduszkę. Porządnie, w taką mięciutką piłeczkę. Ułożyłam się wygodnie i od razu poczułam na krzyżu ciepłe palce. ClanFintan zaczął masować mnie delikatnie po kręgosłupie, w górę i w dół.

Ja, oczywiście, wzdychałam i z przyjemności, i z wdzięczności.

– Śpij, kochanie moje – szepnął. – Pamiętaj, przy mnie nikt nigdy cię nie skrzywdzi.

Jestem pewna, że zasypiałam z uśmiechem przylepionym do twarzy, takim uśmiechem od ucha do ucha. Było mi tak dobrze, tak bezpiecznie. Łagodne, pełne miłości ręce ClanFintana odpędziły ode mnie na jakiś czas wszelkie zło.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Rheo?

Do mojego rozkosznego snu wdarł się nagle jakiś dobiegający z daleka głos. Ktoś mnie wołał, teraz, kiedy byłam u Tiffany'ego, gdzie jakimś cudem uzyskałam możliwość dokonania zakupów w nieograniczonych ilościach.

Gratis.

– Jestem tutaj, przy diademach wysadzanych diamentami...

– wymamrotałam, wciąż jeszcze nie otwierając oczu.

– Ale dlaczego jesteś na podłodze?

Głos był coraz bliżej. A ja (niestety) obudziłam się już do tego stopnia, że byłam w stanie zidentyfikować jego właścicielkę. Alannę.

Powoli uniosłam powieki i przeciągnęłam się, jednocześnie mój sokoli wzrok zarejestrował fakt, że męża u mego boku nie ma.

– A próbowałaś kiedyś zaciągnąć konia do swojego łóżka?

Alanna, zakrywając dłonią usta, zachichotała, jednocześnie kręcąc głową nad wyraz przecząco.

– Trudno ci to sobie wyobrazić, co? – spytałam, jednocześnie uświadamiając sobie, że jestem kompletnie goła. – Alanno, mogłabyś rzucić mi coś do ubrania? Muszę koniecznie skoczyć do kibelka.

Podając mi szlafrok, wcale nie umykała pytającym spojrzeniem. Nie spytała jednak, bo nie musiała. Załapała od razu, kiedy zobaczyła, jak wkładając w biegu szlafrok, lecę do drzwi prowadzących na korytarz, którym szło się do pokoju kąpielowego. Pobieгла za mną. A wspomniany korytarz, zwykle pusty, tego dnia był po prostu tłoczny. Bez przerwy natykałyśmy się na dygającą kobietę lub prężącego się strażnika.

Ja kiwałam im sennie głową, żałując, że nie poświęciłam choćby pięciu minut na zrobienie czegoś z włosami i nie przemyłam oczu zimną wodą.

Na szczęście drogi do pokoju kąpielowego nie liczyło się w kilometrach. Już po chwili weszliśmy do mojego ulubionego zakątka, a wszechobecni strażnicy zamknęli za nami drzwi, odgradzając od reszty świata.

– Ożeż ty! – wrzasnęłam z ustronnego miejsca, do którego, wiadomo, udałam się w pierwszej kolejności. – Skąd się tych ludzi tyle wzięło?!

– Bez przerwy ściągają nowi! – odkrzyknęła Alanna. – I w końcu nawet w tak dużej świątyni zrobił się straszny tłok!

Wróciłam do pokoju kąpielowego, zrzuciłam z siebie szlafrok i po marmurowych schodkach zeszałam do baseniku w celu zażycia krótkiej porannej kąpieli.

– Mówisz, Alanno, że zrobiło się pełno?

– Okropnie – odparła głosem zaskakująco spokojnym, prawie beznamiętnym. – Dlatego poleciłam rozstawić wielkie namioty, które z rozkazu Rhiannon rozstawiano podczas corocznych Zgromadzeń. A kucharzom i kucharkom kazałam sięgnąć do naszych zapasów. Mam nadzieję, że się nie gniewasz...

– Ja?! Co ci do głowy przyszło, Alanno? Mogę być ci tylko wdzięczna, że zrobiłaś to, co należało zrobić.

Wyraźnie odprężona podała mi ręcznik. Wytarłam się, po czym droga przyjaciółka owinęła mnie śliczną, połyskliwą tkaniną w kolorze akwamaryny. Wyszła z tego bardzo ładna tunika, na szczęście zasłaniająca szczelnie cały biust.

Usiadłam przed toaletką. Alanna rozczesała mi włosy i zaczęła je upinać we francuski kok, ja w tym czasie pracowałam nad makijażem.

W pewnym momencie, kiedy nasze spojrzenia spotkały się w lustrze, nie wytrzymałam.

– Alanno... hm... wyspałaś się tej nocy?

Jak się spodziewałam, jej policzki natychmiast powlekl

mocny róż, co mnie bardzo rozśmieszyło i skłoniło do zacytowania w cockneyu (bardzo kiepskim!) sprośnej niańki Julii:

– Jak ci jagódki pokraśniały! Czekaj, zaraz je w szkarłat zmienię wieścią... [1]

W rezultacie Alanna poczerwieniała jeszcze bardziej, a ja znów się roześmiałam, zadowolona, że rumieniec rumieńcem, ale oczy przyjaciółki rozbłyły.

– To była cudowna noc.

Zdanko raczej banalne, ale wypowiedziała je takim tonem, jakby obwieszczała nowy cud.

– Bardzo się cieszę, Alanno.

Przez chwilę milczałyśmy, bo bez wątpienia obie pomyślałyśmy o swoich mężach. Muszę przyznać, że moje policzki też od tych myśli zrobiły się zdecydowanie cieplejsze.

– Rheo, czy tej nocy Epona wysłała swoją Wybrankę do Warowni?

– Tak. Prosto do Nuady.

Nasze spojrzenia znów spotkały się w lustrze, lecz byłyśmy już śmiertelnie poważne.

– Sprowokowałam go, Alanno, i wtedy Epona zabrała mnie stamtąd. Dzisiejszej nocy czeka mnie kolejna wycieczka, na którą, nie ukrywam, wcale nie czekam z utęsknieniem.

– Pamiętaj, Rheo, że Epona zawsze cię obroni.

Powiedziała to tak samo stanowczo jak ClanFintan, który też przecież starał się utwierdzić mnie w tym przekonaniu.

– Wszyscy mi to mówią, Alanno. Przyznaję, czasami słyszę głos Epony, ale chyba nigdy nie przyzwyczaję się do latania nad całym krajem, i to zupełnie goła, bo taka jest moja fruująca dusza!

– No tak... – Ręce Alanny znieruchomiały. Widziałam w lustrze, jak po jej twarzy przemknął cień. – Na pewno jest to niełatwe. Nawet Rhiannon była bardzo nieswoja po każdym Magicznym Śnie, a tuż przed przekroczeniem Podziału, czyli wejściem do twojego świata, była strasznie zdenerwowana.

Prawie nie spała, jakby nie chciała zasnąć, żeby nie mieć wizji podsuniętych przez Eponę.

Wizje podsunięte przez Eponę... No i wreszcie olśniło mnie.

– Alanno! Założę się, że ta wredna suka Rhiannon wiedziała, że przyjdą tu Fomorianie! Epona ją ostrzegła, po to oczywiście, by ostrzegła wszystkich! A ta egoistka, zamiast wyjawić prawdę ludziom i poprowadzić ich do walki, wołała stąd zwać!

Byłam wściekła, że ktoś, kto wygląda tak jak ja, jest taki wredny.

I zrobił mnie w takie jajo.

– Może to nie tak – powiedziała Alanna do mojej głowy, od tyłu, ponieważ znów wzięła się do upinania włosów. – Może Epona pozwoliła jej uciec, ponieważ chciała, żebyś to ty poprowadziła Partholończyków do walki z Fomorianami.

Bogini...

Oczywiście, że starałam się wtrącić kategoryczne „nie ma takiej opcji”, ale Alanna nie dopuściła mnie do głosu.

– ...Epona doskonale przecież wiedziała, jaka Rhiannon jest naprawdę. Tak samo dobrze wiedziała, jaka jesteś ty. Dlatego wybrała ciebie. Ty jesteś Jej Wybranką, nie Rhiannon.

W tym czasie Alanna skończyła upinanie moich włosów i włożyła mi na głowę przepiękną złocistą opaskę. A ja milczałam porażona myślą, że faktycznie, może ta Bogini upatrzyła sobie właśnie mnie! Miejmy nadzieję, że Epona wie, co robi.

Nadal nie odzywałam się, kiedy Alanna sięgnęła po leżącą na swoim miejscu na toalecie koronę. Włożyła mi ją, korona usadowiła się na mojej głowie, jakby to było jej właściwe miejsce. Jakby ktoś robił ją na miarę właśnie dla mnie.

– Myślę, Rheo, że powinnaś wkładać ją częściej.

Podniosłam rękę, ostrożnie dotknęłam złotego krążka i pod palcami wyczułam ciepło.

Ustyszałam swój głos:

– Może i powinnam.

Serce zabiło jakoś tak dziwnie, przestałam więc gapić się w lustro i jak zwykle zaczęłam grzebać w szkatułce z biżuterią w poszukiwaniu odpowiednich kolczyków.

I zmieniłam temat:

– Jak czują się pacjenci Carolana?

Alanna nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ zapukano do drzwi.

– Proszę wejść!

Drzwi otwały się, wpuszczając do środka kilku służących z tacami, na widok których musiałam się uśmiechnąć.

Przyjechało przecież moje śniadanko!

– Dziękuję wam. Jestem okropnie głodna!

– Dzień dobry, milady! – odezwał się jeden ze służących.

Był wyraźnie zdenerwowany, przypominał rozdygotanego ucznia z dziewiątej klasy, który po raz drugi nie zaliczył u mnie angielskiego. – Lord ClanFintan kazał przynieść śniadanie, kiedy tylko milady się obudzi.

– Naprawdę tak kazał? – Znow się uśmiechnęłam. Jestem pewna, że był to głupawy uśmiech zakochanej idiotki. – Czy on nie jest cudowny?

Komentarz skierowany był właściwie do wszystkich, a odpowiedzi, bardzo zresztą dyplomatycznej, udzielił

wspomniany wyżej służący, na którego twarzy pojawił się leciutki rumieniec.

– Skoro milady tak twierdzi...

I zginając się w ukłonach, zniknął za progiem, a za nim reszta.

Kiedy drzwi się zamknęły, pokój wypełnił perlisty śmiech drogiej przyjaciółki.

– Rheo, ty ich wystraszyłaś!

– Ja? Nie, może tylko spłoszyłam. Bierzemy się do jedzenia.

Co też uczyniłyśmy. A po chwili, z ustami pełnymi czegoś w rodzaju bułeczki z cynamonem – pyszna! – powtórzyłam swoje pytanie.

– Jak pacjenci Carolana?

Bułeczkę popiłam mocną zieloną herbatą słodzoną miodem, czyli wniosek taki, że służący postanowili ograniczyć moje popijanie do śniadania. (Czyli, do cholery, niech ci służący natychmiast przyniosą tu z powrotem... Chwileczkę, spokojnie, a może to nawet niezły pomysł. Herbatka nie zaszkodzi.

Przeciwnie. Przynajmniej na śniadanie. I jako końcowy komentarz: westchnienie).

Alanna sposepniała.

– Nie wiem. Carolan nie pozwala mi przecież wchodzić do pokoju chorych. Wiem tylko, że w ciągu minionej nocy kilka rodzin pochorowało się na ospę.

Więc już wiadomo, co będę robić po smacznym śniadanku.

– Zaraz do nich zajrzę.

Mój apetyt zdecydowanie się zmniejszył.

– ClanFintan prosił, żebyś przedtem przyszła do niego.

– A gdzie on teraz jest?

– Kiedy szłam do ciebie, widziałam go na wewnętrznym dziedzińcu. Razem z Connorem i Dougalem nadzorowali pracę kobiet.

– Jak Dougal?

– Przede wszystkim ma pełne ręce roboty.

– Świetnie!

Wymieniłyśmy spojrzenia pełne satysfakcji.

Szybko dopiłam herbatę.

– Pójdę już, Alanno. A wiesz, tak sobie pomyślałam, że dobrze jest, mimo wielu zmartwień, znaleźć coś pozytywnego, optymistycznego. Prawda? Ja na przykład dzisiaj mam powód do zadowolenia. Nie muszę latać z gołymi cyckami. Chyba że...

– Spojrzałam na nią z ukosa.

Alanna zaśmiała się.

– *Nie, na pewno nie. Dopiero za dwa tygodnie.*

– *Co? Dopiero?! – powtórzyłam przeciągle. – Nie wiem, jak ja to wytrzymam.*

Zaśmiała się jeszcze głośniej.

– *Alanno, a co ty będziesz dziś porabiać?*

– *Dyryguję służbą i kucharkami, poza tym trzeba zadbać o nowo przybyłych, okoliczną ludność i wojowników, zapewnić im miejsce do spania i posiłki. Także dopilnować, żeby do pokoju chorych dostarczane było wszystko, co potrzeba.*

– *Czyli przed tobą jeszcze jeden długi, nudny dzień..*

– *Tak, milady. – Westchnęła teatralnie, podejmując żart. – Sama nie wiem, czym wypełnię sobie czas...*

– *Może... manikiur? – Wstałam i dostojnym krokiem ruszyłam do drzwi. – Niestety, moja droga. Bycie damą jest bardzo męczące.*

Wychodząc na korytarz, chichotałyśmy jak dwie głupie nastolatki, jednak tuż za progiem nasz chichot przeszedł

w dyskretne pokastywanie.

– *Idę do kuchni – oznajmiła Alanna. – Rheo... – zniżyła głos – trafisz sama na ten dziedziniec?*

– Tak – szepnęłam.

– To dobrze... Aha, proszę, przekaz Carolanowi całusy ode mnie, dobrze?

– Oczywiście...

Koniec szeptania. Każda z nas podążyła w swoją stronę.

Z marszrutą nie miałam problemu. Pamiętałam, jak dojść do drzwi prowadzących na dziedziniec. Dwóch umięśnionych z mieczami, złożywszy ukłon, otworzyło je przede mną.

Przekroczyłam próg i zatrzymałam się na moment, by ogarnąć całość wzrokiem, zobaczyć, co dzieje się na dziedzińcu, który uległ całkowitej transformacji. Przedtem był to piękny ogród, teraz gigantyczne miejsce pracy. Wszędzie grupki kobiet zajęte robotą. Strugano strzały, gotowano wodę w olbrzymich kadziach, skubano płótno na szarpie, materiał opatrunkowy, który w moim dawnym świecie zastąpiono gazą. Ludzi było mnóstwo, a nikt nie próżnował.

Nie tylko ludzie. Zauważyłam, że ramię w ramię z kobietami rodzaju ludzkiego pracują kobiety centaurzyce.

Zaintrygowana wsunęłam się do ciemnego załomka koło drzwi, żeby niewidziana przez nikogo spokojnie się pogapić.

Pierwsze wrażenie: centaurzyce są o wiele mniejsze niż centaury. Nie, cofam to. Pierwsze wrażenie: są po prostu zachwycające. Poruszały się z nadzwyczajnym wdziękiem, było to jedyne w swoim rodzaju połączenie wdzięku klaczy arabskiej z wdziękiem primabaleriny. Umaszczenie różne, zauważyłam i śliczną żółciutką z białym ogonem, i siwą jabłkowitą. Ubrane były w kamizelki podobne do tej, jaką nosił ClanFintan i jego wojownicy, z tym że damskie kamizelki były w jasnych kolorach i wyszywane skrzącymi się paciorkami.

Kilka wyjątkowo urodziwych kobiet centaurzyc stało koło kobiet rodzaju ludzkiego strugających strzały. Spojrzałam tam uważniej, bo naprawdę było na co popatrzeć. I spostrzegłam, że w środku, wśród tych ślicznotek z kopytami, stał jeden centaur facet.

Mój mąż.

Natychmiast doszłam do wniosku, że pora wyjść z cienia i zaznaczyć swoją obecność, obecność Wcielenia Bogini Epony i Jej Wybranki.

O tak.

Wyprostowałam się jak najbardziej (teraz chyba sięgałam głową do ramienia takiej kobiety centaurzycy) i wkroczyłam na dziedziniec.

– Witaj, Bogini!

– Epona!

– Sławmy Wybrankę Epony!

Byłam zadowolona, że mój lud okazuje mi tyle szacunku i oddania, a już szczególnie dziś za taką postawę byłam temu ludowi wyjątkowo wdzięczna, bo dodawało mi to pewności siebie i jakoś łatwiej godziłam się z porażającą urodą kobiet centaurzyc.

Szłam więc sobie przez dziedziniec powolutku, uśmiechałam się miło, odpowiadałam na słowa powitania i w ten oto sposób dotarłam do mego małżonka.

ClanFintan na mój widok wysunął się do przodu. Jego wpatrzone we mnie oczy roziskrzyły się jego własnym, prywatnym i absolutnie niepowtarzalnym uwielbieniem dla mnie. Tak!

Podniósł moją dłoń do ust i najpierw ucałował ją, a potem żyłki w nadgarstku.

– Witaj, Rheo.

Powiedział to takim tonem, że zadrżałam. A może zadrżałam, bo czułam jego wargi na mojej dłoni. A może...

Sami zdecydujcie. W każdym razie to on był sprawcą mego drżenia, a ja nie miałam nic przeciwko temu.

– Witaj, kochany. – Po moim czułym powitaniu ClanFintan przysunął się jeszcze bliżej i pocałował mnie w usta, na co szepnęłam: – Cały ranek tęskniłam za tobą.

– A mnie bardzo się nie chciało opuszczać naszego łóżka-deseru z pianki.

Niby cicho, a jednak z naciskiem. Tak to odebrałam, stąd mój wyjątkowo promienny uśmiech.

– Dziękuję, że kazałeś podać mi śniadanie.

Skłonił głowę.

– Przecież wiem, że zawsze jesteś głodna.

– O tak. Zawsze...

Zawiesiłam głos, dając do zrozumienia, że nie tylko jedzenie mam na myśli.

ClanFintan uśmiechnął się zdecydowanie szerzej.

Ciche chrząknięcie sprowadziło nas z powrotem na ziemię.

Spojrzałam w lewo, potem w prawo. Wszyscy z zachwytem gapili się na nas, na twarzach wszystkich bez wyjątku błąkały się znaczące, ale przyjazne uśmieшки.

I znów ktoś cicho chrząknął. Spojrzałam tam i natychmiast poczułam, jak moja twarz z ciepłej robi się gorąca.

Była to najpiękniejsza istota (ludzka albo inna), jaką dane mi było kiedykolwiek zobaczyć. Jej włosy i sierść były tego samego koloru, koloru skrzęcej się platyny. Długie włosy opadały na ramiona jak jedwabisty wodospad (żaden gąszcz loków na luzie). Twarz prześliczna, kości policzkowe osadzone nieprawdopodobnie wysoko, oczy o kolorze akwamarynu, usta pełne, pięknie wykrojone i na pewno pociągnięte błyszczkiem.

(Jakim cudem udało jej się coś takiego tutaj zdobyć?!). Miała na sobie szkarłatną skórzaną kamizelkę (taki jak ja rudzielec w szkarłacie wygląda fatalnie, zmienia się wtedy w panią Pomarańczowa Głowa), wyszytą koralikami z kryształu migoczącymi w świetle poranka. Jej pełne, prężne piersi nie były odkryte, ale też i nie były całkiem zakryte.

ClanFintan, nie puszczając mojej ręki, podprowadził mnie do tego zjawiska.

– Rhiannon, chciałbym ci przedstawić moją najserdeczniejszą przyjaciółkę, Wielką Łowczynię Victorię Dihannę.

Victoria z nieprawdopodobnym wdziękiem wykonała coś pomiędzy dygnięciem a ukłonem.

– Lady Rhiannon... – jej głos był adekwatny do jedwabistych włosów, czyli jedwabny – dla mnie to wielka radość spotkać kobietę, której udało się skłonić ClanFintana do ślubu.

Skłoniłam lekko głowę. Gdybym nie odparowała ciosu, nie byłabym ani kobietą, ani sobą. A więc do dzieła. Najpierw w moich oczach i w głosie pojawiło się bezbrzeżne zdumienie:

– Udało mi się skłonić?! Kobieto! On się uparł jak osioł!

Po prostu nie miałam wyboru! – Część druga, już ze słodkim uśmiechem: – Ale bardzo jestem zadowolona, że wpadłam w jego sidła.

Słyszałam, jak ClanFintan cichutko prychnął, chyba z rozbawienia. Ale nie patrzyłam na niego, bo moje spojrzenie sprzężone było ze spojrzeniem pani Niebieskookiej. Po sekundzie z przyjemnością zauważyłam koło niebieskości drobniutkie zmarszczki (mimiczne!) i na twarzy pani centaurzycy rozkwitł uśmiech.

– Moje uznanie, lady Rhiannon!

– Mów mi Rhea – powiedziałam, uśmiechając równie promienne. Uznałam, że to dziewczę jest dobrym materiałem na kumpelkę.

– Rhea. – ClanFintan przypominał o swojej obecności. –Dziś w nocy, a także nad ranem, do świątyni przybyło wielu nowych wojowników. Muszę iść do nich. Chcę się upewnić, czy są dobrze zorganizowani i wyposażeni, muszę też wybadać, czy ich przywódcy aprobują nasz plan.

Znów podniósł moją rękę do ciepłych ust. Tym razem po ucałowaniu dłoni leciutko uszczypnął ją wargami.

– Nie mogę już się doczekać kolacji.

To zostało wypowiedziane półgłosem i wzbogacone spojrzeniem bardzo wymownym. Wiadomo. Kolacji i tego, co będzie potem... Aż westchnęłam z tego szczęścia, a kiedy ClanFintan oddalał się, nie mogłam oderwać od niego oczu.

– Czyli to, co słyszałam o waszym małżeństwie, to nieprawda – powiedziała cicho Victoria, podchodząc do mnie bliżej.

Poderwałam głowę.

– Tak? A co słyszałaś?

– Że dla ClanFintana to obowiązek, dlatego pobraliście się tylko na rok, a nie na całe życie.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć, dlatego wybrałam wariant najprostszy, czyli prawdę.

– Owszem, na początku był obowiązek, ale to uległo zmianie. Tak samo jak małżeństwo na rok w każdej chwili można zmienić w małżeństwo na całe życie.

– Bardzo mnie to cieszy, Rheo.

Zabrzmiało to szczerze. Mój wewnętrzny radar zazdrości nie wyczuwał w niej żadnego fałszu, żadnej nienawiści nawet w minimalnych ilościach.

– Mnie też, Victorio.

Wymieniłyśmy sympatyczne uśmiechy, po czym Łowczyni zaproponowała, że przedstawi mi swoje towarzyszki. Niestety, w tym czasie większość z nich wyszła z dziedzinka. Zostało tylko pięć, na moje oko pięć tych najładniejszych.

– *Kaitlynn, Cynthia, Elaine, Alexandra i Cathleen.*

Za

każdym razem, gdy głośno i wyraźnie wymawiała imię, wspomniana centaurzyca wykonywała tę mieszankę dygnięcia z ukłonem, którą widziałam już w wykonaniu Victorii. Ona zaś na koniec, szerokim gestem wskazując urodziwe towarzyski, oznajmiła z dumą:

– *Moje Łowczyni.*

– *Witajcie w Świątyni Epony – powiedziałam, starając się przy tych posągowych pięknościach nie czuć jak krasnoludek. – Miło mi was poznać, choć rzecz oczywista, że wolałabym to zrobić w innych okolicznościach.*

Pogodny nastrój znikł, wszystkie spoważniałyśmy.

– *Jesteśmy Łowczyniami – powiedziała Victoria – znamy się na robieniu łuków i strzał, poza tym to my dostarczamy naszemu stadu dziczyznę.*

– *Czyli wasza pomoc jest bezcenna – odparłam z entuzjazmem, czym najpewniej sprawiłam Victorii przyjemność.*

W każdym razie Wielka Łowczyni uśmiechnęła się do mnie bardzo miło, po czym wydała polecenia swoim towarzyszkom:

– *A więc róbcie dalej, co dotychczas. Uczcie kobiety, jak robić łuki i strzały. A ja pójdę od kuchni i powiem, że w każdej chwili możemy dostarczyć świeżą dziczyznę.*

Łowczyni wróciły do instruowania kobiet, natomiast Victoria i ja przez dłuższą chwilę stałyśmy nieruchomo, jedyne milczące wśród nad wyraz aktywnego tłumu. Ja, szczerze mówiąc, po prostu gapiałam się na Victorię. To było silniejsze ode mnie. Gapiałam się nie tylko dlatego, że była porażająco piękna. Zaintrygowała mnie. Do ClanFintana i jego „chłopaków” zdążyłam już przywyknąć. Wcale nie wydawali mi się już dziwni czy niezwykli. Po prostu faceci. Ale kobiety

centaurzyce to było coś zupełnie innego. Moją uwagę zwracała nie tylko ich niezwykła uroda, czyli coś, co urzeka w Michelle Pfeiffer czy Sophii Loren. Chciałam się również dowiedzieć o nich jak najwięcej. Dokładniej, kim jest Łowczyni, jak się nią zostaje, jaka jest ich pozycja w stadzie i... a co tam, nie będę ukrywać. Pytanie zasadnicze – jak wygląda seks wśród centaurów. Po prostu płonęłam z ciekawości.

To jednak była śpiewka przyszłości, kiedy zadzierzgniemy więzy przyjaźni, a na razie musiałam się ograniczyć do bardzo bezpiecznego pytania. Pomyślałam przy tym, że Rhiannon w takiej sytuacji zapewne spytałaby o to samo:

– Jaką dokładnie rolę odgrywają Łowczynie w społeczeństwie centaurów? Przyznam się, że niewiele wiem na ten temat. Byłabym wdzięczna, gdybyś opowiedziała mi coś więcej o sobie i swoich... (Jak nazwać jej towarzyszkę? Przez chwilę łamałam sobie nad tym głowę. Jak wiadomo, nauczyciele angielskiego mają prawdziwy talent do stwarzania sobie problemów) koleżankach.

– Bardzo chętnie. A więc, jak mówiłam, jesteśmy Łowczyniami. Jak sama nazwa wskazuje, polujemy, by dostarczać naszemu stadu czy też klanowi, bo tak również można nazwać naszą społeczność, świeżą dziczyznę. Jesteśmy znakomitymi tropicielkami i mistrzyniami w wyrabianiu strzał, łuków i kusz. Zdarza się też, że w razie potrzeby, choćby jak teraz, dołączamy do ludzkiego klanu.

– No tak... ale czy to znaczy, że mężczyźni centaury nie polują?

– Owszem, ale tylko dla swojej kobiety centaurzyce.

– Wiadomo, faceci...

Wymieniłyśmy bardzo wymowne spojrzenia, po czym Victoria udzieliła dalszych wyjaśnień:

– By jednak oddać im sprawiedliwość, muszę podkreślić, że oni są wojownikami, natomiast my, Łowczynie, nie, choć naszą Boginią jest Diana. Co tu jeszcze powiedzieć... Aha... –Po jej twarzy przemknął figlarny uśmiech. – My, Łowczynie, nie zachowujemy dziewictwa po wsze czasy... A poza tym –Victoria znów spoważniała – darzymy wielkim szacunkiem Eponę. Podczas pełni księżyca składamy jej hołd.

W tym momencie w mojej głowie odezwał się szept, a ja wszystko, co usłyszałam, słowo w słowo, powtórzyłam Victorii:

– Epona bardzo sobie ceni Łowczynię. Ma o was bardzo wysokie mniemanie.

– Jesteśmy Bogini bardzo wdzięczne za Jej przychylność.

Rheo, nie wiem, czy ClanFintan ma zamiar zabrać cię do Glen Iorsy, gdyby się jednak tak zdarzyło, mam wielką prośbę. Jeśli już tam będziesz, czy mogłabyś poprosić swoją Boginię o błogosławieństwo dla Glen Shurrig? To nasza nowa grota narodzin, od wiosny przyszłego roku zaczną przychodzić tam na świat centaury.

Mogłam tylko się domyślać, że Glen Iorsa to miejscowość, w której urodził się mój mąż. Tak, tylko domyślać, dlatego zrobiło mi się trochę smutno. ClanFintan niby jest moim mężem, ale co ja o nim wiem? Właściwie nic. Nawet nie wiem, gdzie się urodził...

Na szczęście nie zdążyłam pogrążyć się bez reszty w neurotycznych dywagacjach, bo zapobiegł temu cichutki szept:

– On urodził się po to, by cię kochać, Wybranko. I to jest najistotniejsze.

Zaskoczona, ale też i ogromnie wdzięczna, podziękowałam Bogini za to, że jak to się mówi, przywróciła mnie do pionu. Bo faktycznie ClanFintan kocha mnie. A to, skąd pochodzi, jest sprawą drugorzędną.

A teraz przede wszystkim należało odpowiedzieć Łowczyni, wiadomo, że pozytywnie:

– Zrobię to z największą przyjemnością, oczywiście kiedy już załatwimy nasze porachunki z Fomorianami.

– Dziękuję. To zrozumiałe, że kiedy będzie już po wszystkim. – Victoria zniżyła głos. – Czy to prawda, że porywają wasze kobiety i współżyją z nimi?

– Trudno nazwać to współżyciem, Victorio – powiedziałam z goryczą. – Po prostu je gwałcą, a kobiety zachodzą w ciążę.

Ale to nie wszystko. Podczas porodu, kiedy rodzą hybrydę, umierają.

– O nie... – szepnęła przerażona Łowczyni. – Diano, pomóż im...

– Diana, Epona i my wszyscy powinniśmy im jak najszybciej pomóc.

Nagle usłyszałam, że woła mnie jakaś kobieta z końca dziedzińca.

– Lady Rhiannon! Lady Rhiannon!

– Tu jestem! Tutaj!

Gdy pomachałam do niej, szybko przemierzyła dziedziniec.

Rozpoznałam ją. Była to jedna z pomocnic Carolana.

– Milady... – zaczęła zadyszany głosem, składając przede mną szybki, nerwowy ukłon. – Carolan prosi, żeby milady przyszła do pokoju chorych. Koniecznie musi z milady porozmawiać. Sprawa jest bardzo pilna.

Biedaczka sprawiała wrażenie kompletnie wykończonej.

– Już idę... Victorio, bardzo mi było miło cię poznać, także twoje Łowczyni. Mam nadzieję, że jeszcze nieraz się spotkamy i pogawędzimy. I dziękuję wam z całego serca za waszą pomoc.

– Milady jest bardzo łaskawa... – Piękne sprężyste ciało Victorii zgięło się w tym nieprawdopodobnie wdzięcznym i jednocześnie pełnym dostojeństwa ukłonie centaurzycy. – Nasza Bogini przypomina nam nieustannie, że my, kobiety, powinnyśmy sobie pomagać.

– Jak najbardziej jestem za, droga przyjaciółko! – rzuciłam przez ramię na odchodnym i w niebieskich oczach dostrzegłam błysk zdumienia, zaraz jednak twarz Victorii pojaśniała w uśmiechu.

A nie mówiłam? Świetny materiał na kumpelkę!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podążając za pomocnicą Carolana, cały czas myślałam o pięknej centaurzycy. W tym świecie nie było żadnych technologii, żadnych komputerów, samochodów, telewizji i tak dalej, a mimo to ten świat był bardzo ciekawy, bardzo zróżnicowany i zdecydowanie sprzężony z kulturą antyczną. Ja, Shannon Parker, w tym konglomeracie czułam się doskonale.

Jak w domu, co było jednak zaskakujące, skoro ja to ja, w sumie nic specjalnego. Zwyczajna białoskóra kobieta, już nie taka młoda (choć, podkreślam, jeszcze nie taka stara. A z tą zwyczajnością może trochę przesadziłam), pani Nauczycielka Ze Środkowej Części Stanów i zarejestrowany wyborca. I taka osoba jak ja całkiem przypadkowo zmieniła się w Wybrankę Bogini, została żoną centaura (który wcale nie jest białym facetem), poza tym przygotowuje się do walki z wampirami (absolutnie nie kojarzcie ich z Amerykanami, nawet tymi z Nowego Jorku), a przed chwilą nawiązała przyjaźń z Łowczynią, facetką, która w połowie jest klaczką.

Życie potrafi nas zaskakiwać. To ulubiony przerywnik mojej matki, był na jej ustach w sytuacjach typu: Kupić tę sukienkę z nowej serii u Ann Taylor czy odłożyć kasę. Ten przerywnik znakomicie pasuje do mojej obecnej sytuacji. (Dla uzupełnienia: jeśli chodzi o sprawę z serią Ann Taylor, to

bym optowała raczej za sukienką, a nie oszczędzaniem).

Po wyjściu z dziedzińca przeszliśmy przez sklepione łukowato odrzwia i skręciliśmy w lewo. Na moje oko był to już korytarz, którym wczoraj szłam do pokoju chorych. Nie myliłam się, bo niebawem poczułam ten, delikatnie mówiąc, charakterystyczny zapach. Zauważyłam też pewną zmianę.

Przed drzwiami do pokoju chorych stał na straży jakiś młody, nieznany mi centaur. Na mój widok skłonił się pięknie, jak to centaur, i otworzył przede mną drzwi.

A w środku było jeszcze gorzej niż wczoraj. Liczba chorych co najmniej się podwoiła, w rezultacie cały ten podział

na chorych w różnych stadiach wziął w łeb. Wszystko zlało się w jedną cierpiącą całość. Dotychczas starano się zapewnić każdemu choremu coś w rodzaju pryczy, teraz tych prycz nie starczało. Te, które już tu były, pozsuwano ze sobą i porobiono legowiska na podłodze. Co jakiś czas słyhać było słaby krzyk albo jęk, poza tym panowała cisza. Coś niebywałego przy tej liczbie osób. Cisza przytłaczała, wiało od niej grozą. Jakby ktoś nacisnął przycisk i wykasował wszystkie dźwięki.

Naliczyłam trzy pomocnice, co razem z tą, która przyprowadziła mnie tutaj, dawało cztery. Carolana zlokalizowałam dopiero po dłuższej chwili, bo był daleko, pod przeciwległą ścianą, nachylony nad małą pacjentką.

Nieruchomą. Po kilku minutach zobaczyłam, jak Carolan prostuje się i zakrywa prześcieradłem twarz dziecka.

Powoli odwrócił się, był przygarbiony jak stary, zmęczony życiem człowiek. Gdy mnie zauważył, lekko skinął głową i odwrócił się do pomocnicy. Kazał jej wynieść zmarłe dziecko, potem dał mi znak, żebym podeszła do prowizorycznego stanowiska do mycia rąk. Ruszyliśmy więc tam oboje z przeciwnych stron. Oczywiście co i rusz udzielałam krótkiego, lecz z głębi serca płynącego błogosławieństwa, gdy tylko usłyszałam pozdrowienie wypowiedziane słabiutkim, prawie niedosłyszalnym głosem.

– Nie wygląda to dobrze – szepnęłam, kiedy dotarłam do Carolana, który starannie mył ręce. – Strasznie ich dużo!

– Tak, i wciąż ktoś nowy łapie chorobę. W nocy zmarły dwie osoby. Rano cztery, troje dzieci i staruszka... – Carolan zamilkł na chwilę, przemknął spojrzeniem po pokoju i jeszcze bardziej ściszył głos. – Dziś spodziewam się co najmniej pięciu zgonów. W rezultacie jeden umiera, a na jego miejsce przybywa co najmniej trzech nowych pacjentów w różnych stadiach choroby. Stanowczo robi się za ciasno, sama widzisz.

– Trzeba temu jakoś zaradzić. Powiedz, Carolanie, co twoim zdaniem należałoby zrobić. I zrobi się to, innej opcji nie ma.

– W końcu korytarza jest wielka sala balowa. Rhiannon często wydawała bale, najchętniej kostiumowe. Lubiła się przebierać i bawić incognito.

– Była zdrowo szurnięta.

Niestety, choć tak bardzo się starałam, nadal zdarzało mi się zaserwować jakieś sympatyczne słówko używane tylko w moim starym świecie, ale inteligentny Carolan załapał

i skwapliwie pokiwał głową.

– W tej sali, Rheo, można by umieścić chorych w stadium początkowym i w drugim stadium choroby. A tu zostawić najciężej chorych.

– Wspaniały pomysł. Już się do tego zabieramy. W czym mogłabym ci pomóc?

– Do sali balowej trzeba przenieść ponad połowę chorych.

Moje pomocnice same nie dadzą rady, a nie chcę, żeby pomagali im ludzie zdrowi, którzy nie przechodzili jeszcze ospy. Jednym słowem, Rheo, czy mogłabyś namówić do pomocy kilku centaurów?

Przed moimi oczami natychmiast pojawiła się śliczna twarz mojej nowej kumpelki. Victoria. Oczywiście! Victoria i jej Łowczynie. Na pewno pomogą.

– Mogę, Carolanie. Znam kilka centaurzyc, które na pewno nie odmówią. Szykujcie chorych, ja zaraz wracam z ekipą ratunkową.

– Ekipą?

Ożeż ty! I tego nie znają?!

– Z grupą centaurzyc, które nam pomogą.

– Wspaniale. Bardzo dziękuję, Rheo.

– Nie ma za co... aha, i jeszcze coś... – Teraz, wiadomo, uśmiechnęłam się od ucha do ucha. – Spotkałam przypadkiem twoją żonę. Kazala cię ucałować. Nie wiem, czy w przerośni, czy mam rozumieć to dosłownie...

Oczy Carolana rozbłysły, dzięki czemu bardziej mi przypominał normalnego Carolana sprzed dwóch dni.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję. Słowa wystarczą. Czyn niepotrzebny.

– Chyba że...

Mój uśmiech najpewniej sięgał już daleko poza moje uszy.

– Oczywiście! – przytaknął domyślny Carolan. – Chyba że stałaby teraz przede mną moja żona. Wtedy pocałunek w naturze byłby niezbędnym.

– Rozumiem. To ja lecę po ekipę.

Wychodząc, kilkakrotnie zerknęłam jeszcze na Carolana.

Stał i uśmiechał się do siebie. Dopiero po chwili potrząsnął głową i ruszył z powrotem do akcji.

Kiedy wracałam na dziedziniec, nagle opadły mnie wątpliwości. Co będzie, jeśli dziewczyny z kopytami odmówią?

Roboty im nie brakuje. Poza tym co innego instruowanie, jak wystrugać strzałę, a co innego dźwiganie chorego, cuchnącego człowieka. Ale szłam dalej, nie miałam przecież wyboru.

ClanFintana w tym przypadku nie chciałam prosić o pomoc.

Absolutnie nie. Mój mąż miał wystarczająco dużo na głowie.

Poza tym... ClanFintan był kochany pod każdym względem, ale Carolan poprosił o pomoc mnie, a ja bardzo chciałam w tym moim nowym świecie wykazać się inwencją i samodzielnością. Nigdy nie byłam fujarą, a jak mogę się domyślać z różnych opowieści, wreduska Rhiannon również nie.

Nie będziemy więc tego zmieniać, prawda? Pomyślałam też, tak dla dodania sobie otuchy, że gdyby Łowczynie się opierały, wykorzystam autorytet Rhiannon – w końcu teraz mój. Mówiąc brzydko, wykorzystam swoje stanowisko. Ale niewątpliwie dla dobra sprawy.

ClanFintana zostawimy w spokoju z wymienionego już wyżej powodu, a także dlatego, że jednak nie chciałam rezygnować z niezależności. Taka sytuacja typu: Masz bardzo dobrego i hojnego męża, ale chcesz mieć też swoje pieniądze.

Tę potrzebę niezależności u współczesnej kobiety niektórzy ludzie uważają za destrukcyjną, lecz ja tłumaczę to bardzo prosto. Nie chcę być bluszczem, co oczywiście wcale nie znaczy, że jestem zdeklarowanym wrogiem mężczyzn.

Przeciwnie! Ale mam też swój rozum i lubię samodzielnie pooddychać. Czemu nie?

Na dziedzińcu sytuacja się nie zmieniła, to znaczy wszyscy w akcji. Łowczyni zlokalizowałam od razu, w końcu górowały nad wszystkimi swoim końskim wzrostem. Victoria akurat rozmawiała z Maraid. Wyglądało to na poważną dyskusję, dlatego poczekałam cierpliwie, aż skończą i wtedy wydałam z siebie charakterystyczne dźwięki, znane chyba na całym świecie (tym i tamtym):

– Ej... pst!

Victoria usłyszała, bo odszukała mnie wzrokiem, uśmiechnęła się i natychmiast podeszła.

– Lady Rheo... – odezwała się uprzejmie, odgarniając z twarzy srebrzysty wodospad włosów, który rzucił tam złośliwy wiatr. – Miło mi znowu widzieć milady.

– Niestety, chyba nie będzie ci już tak miło, Victorio, kiedy przedstawię ci moją prośbę!

– Tak, milady? – Rzecz oczywista, spojrzała na mnie bardzo pytająco.

– Victorio, słyszałaś zapewne, że mamy epidemię ospy?

– Oczywiście. ClanFintan mówił o tym wojownikom. Jako Wielka Łowczyni uczestniczyłam w naradzie. To straszna choroba, prawda? Słyszałam, że bardzo wielu ludzi padło jej ofiarą. ClanFintan powiedział nam też, że masz jakiś talizman, który cię przed nią chroni.

– No... coś w rodzaju. W każdym razie nigdy jej nie złapię. A teraz, Victorio, moja prośba.

Chociaż odizolowaliśmy chorych, choroba, jak wiesz, dalej się rozprzestrzenia, liczba chorych zwiększa się w zastraszającym tempie. Dlatego nasz Uzdrowiciel, Carolan, poprosił, żebym udostępniła mu salę balową. Tam przeniesie się lżej chorych, a ci w najcięższym stanie zostaną, gdzie są teraz, w pokoju, który kiedyś zajmowały moje pokojówki.

– To brzmi rozsądnie.

– Tak, tyle że mamy pewien problem. Lżej chorych, jak powiedziałam, trzeba przenieść do sali balowej, a Carolan ma do dyspozycji zaledwie kilka pomocnic. Słyszałam, że centaury nie zarażają się ospą. Victorio, zdaję sobie sprawę, że przenoszenie chorych ludzi wcale nie jest przyjemnym zajęciem, ale zrozum, to są ludzie, za których czuję się odpowiedzialna i...

– Rozumiem. Powiedz konkretnie, o co ci chodzi.

Powiedziała to tonem urzędowym. Victoria nadawałaby się na prezesa rady nadzorczej którejś z tych przerażająco bogatych korporacji, na przykład takiej, która buduje wieżowce o niezliczonej ilości pięter. (Oczywiście o ile Victoria zmieściłaby się w windzie).

– Na pewno już się domyślasz. Chciałam prosić, żebyś ty i twoje Łowczynie pomogły przetransportować chorych do sali balowej. Carolan będzie wam nieskończenie wdzięczny. Sam jest ledwie żywy, a jak zauważyłam, ma przy sobie już tylko cztery pomocnice. Reszta padła ze zmęczenia albo, co bardziej prawdopodobne, pochorowała się. Victorio... – Zajrzałam w niebieskie oczy. Jestem pewna, że patrzyłam prosząco, wręcz błagalnie. – Pomożecie nam? Ja wiem, że to zajęcie nie dla was, ale naprawdę jesteście ogromnie potrzebne...

Mój głos zamierał ze zdenerwowania, bo niebieskooka wcale nie śpieszyła się z odpowiedzią. Tylko patrzyła na mnie.

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– Przepraszam, lady Rheo. Nie ukrywam, że jestem zaskoczona. Jesteś całkiem inna, niż się spodziewałam.

Oczywiście, że inna! Teraz najchętniej wykrzyczałabym jej prosto w twarz, że ja to nie Rhiannon! Głupia, egoistyczna, pełna nienawiści Rhiannon! Oczywiście powstrzymałam się, a Victoria, świdrując niebieskim spojrzeniem moje oczy (gwoli informacji: zielone), wreszcie udzieliła mi zwięzłej odpowiedzi na pytanie zasadnicze:

– Tak. Łowczynie pomogą wam. Bo teraz, kiedy miałam przyjemność poznać cię osobiście, wiem, że na pewno w razie potrzeby wstawisz się za nami u Epony.

Pokiwałam skwapliwie głową.

– Ależ naturalnie! My, kobiety, powinnyśmy sobie pomagać!

– I pomagamy.

Victoria odwróciła się i skinęła na piękną gniadą panią centaurzycę (a może pannę centaurzanekę), która stała najbliżej.

– Elaine, zwołaj Łowczynie. Trzeba pomóc przy chorych.

Aha, i sprowadź tu Siłę. Nasza Uzdrowicielka też może się na coś przydać. Spotykamy się w...

– Dawnym pokoju moich pokojówek... – podpowiedziałam.

– W dawnym pokoju pokojówek – powtórzyła Victoria.

Elaine kiwnęła głową, odwróciła się i zaczęła zwoływać Łowczynie.

Victoria spojrzała znów na mnie.

– Lady Rheo, proszę więc mnie zaprowadzić do tego pokoju. Omówimy tam dokładnie, co i jak należy zrobić.

Łowczyńnię są do twojej dyspozycji.

Byłam u szczytu szczęścia.

– Bardzo ci dziękuję, Victorio. Proszę za mną.

Kiedy weszliśmy do korytarza, zgarnęła srebrzyste włosy i zaczęła splatać je w warkocz. Zauważyła, że jej się przyglądam, więc wyjaśniła:

– Skoro mam zajmować się chorymi, lepiej zrobić coś z włosami.

– Masz rację – powiedziałam z westchnieniem. – Niestety mam wielki problem. Moje nie zawsze chcą słuchać. – Wskazałam swoje krnąbrne loki.

W tym czasie weszliśmy już w strefę smrodu. Łowczyńnię zatrzymała się i podejrzliwie pociągnęła nosem. Jej mina mówiła sama za siebie.

– Victorio, też nie przepadam za pielęgowaniem chorych!

Wyraz jej twarzy błyskawicznie uległ zmianie. Roześmiała się, a potem wykrzywiła okropnie, jakby zjadła całą cytrynę.

– *Nie ukrywam, że wolę robić coś innego, Rheo.*

– *Ja też! Ja też! Bo niestety... śmierdzi.*

– *Prawda... Już wolałabym zapolować na starego dzika.*

– *No cóż, ja nie poluję, ale z dzikami miałam kiedyś małą przygodę. Gonily mnie, kilka sztuk, czego wcale miło nie wspominam. Niemniej i tak było to bardziej pociągające niż ta pieprzona zabawa w pielęgniarkę.*

– *Pie...przona?*

– *Przepraszam, ale to naprawdę dość łagodne określenie.*

Jakiś czas temu postanowiłam przestać kląć. Wcale nie jest to łatwe, ale zauważyłam, że przynajmniej nie używam już odruchowo tych naprawdę brzydkich wyrazów.

– *Rozumiem. Mnie niestety też czasami się wymknie coś...*

niestosownego.

– *Tobie?! Nie wierzę!*

Byłam w szoku. Brzydkie wyrazy? W ustach Barbie Centaurzy? Niemożliwe.

Podeszłyśmy do drzwi. Spojrzenie, jakim obdarzył moją towarzyszkę młody centaur stojący na straży, oczywiście nie umknęło mojej uwadze. Spojrzał wręcz z uwielbieniem.

Wyprężył się, po czym złożył ten ich piękny ukłon centaura.

Tak naprawdę przed Victorią, ja byłam tylko dodatkiem.

Słowa też były skierowane do niej:

– Cieszę się, że znów mam okazję spotkać panią, Victorio!

Wielka Łowczyni wyraźnie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie już się spotkali, więc młodzian szybko uzupełnił:

– Wczoraj wieczorem, na kolacji. Spożywaliśmy ją przy tym samym ognisku.

Bałam się, że jeśli chłopak nie przestanie tak wydymać klaty, to wreszcie go rozerwie. Dosłownie wylaził ze skóry, a piękna Victoria uśmiechnęła się łaskawie. Choć nie, to był

tylko taki wyrafinowany półuśmiech.

– No przecież... tak, teraz przypominam sobie... zaraz...

Willie? Tak, Willie! Oczywiście, że pamiętam, jak pewien szarmancki centaur ustąpił mi miejsca przy ognisku! – W swej łaskawości nawet dotknęła leciutko jego ramienia, potem odezwała się też tak mięciutko. – Willie... Czy mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić? Kiedy pojawią się tu Łowczynie, wprowadź je do środka, dobrze?

– Dla ciebie wszystko, pani!

To „pani” wyszło mu dyszkantem, jakby biedaczek jeszcze nie przeszedł mutacji.

Victoria natomiast zakończyła tę króciutką rozmowę jak rasowa uwodzicielka.

– Dziękuję, Willie... Będę pamiętać, że na tobie zawsze można polegać...

Kiedy drzwi (z ociąganiem) zamknęły się za nami, spojrzaliśmy na siebie roziskrzonymi oczami.

– Ludzie, trzymajcie mnie! – zapiałam, oczywiście nie za głośno. – Nie wytrzymam! Powiedz mi, kto to był? Centaur czy szczeniaczek?

– I to, i to – odparła ze śmiechem. – Te żrebaki są po prostu rozbijające!

Na tym koniec żartów, ponieważ zbliżał się do nas Carolan.

– Rheo! Widzę, że przyprowadziłaś ekipę.

No proszę, już przyswoił sobie nowy wyraz.

– Później ci powiem – mruknęłam szybko do Victorii (inaczej: ekipy), w której oczach pojawił się znak zapytania, i zwróciwszy się do Carolana, dokonałam prezentacji: – Wielka Łowczyni Victorio, pozwól, że przedstawię ci naszego Uzdrowiciela Carolana.

Uprzejmie skłonił głowę, Victoria również, a potem powiedziała:

– Jestem do twojej dyspozycji, Carolanie. Moje Łowczynie wkrótce tu będą. Powiedz, w czym możemy ci pomóc.

Jej energiczny głos świadczył, że Wielka Łowczyni poradzi sobie ze wszystkim. Carolan najpierw podziękował jej prostymi słowami płynącymi prosto z serca, a potem zaczął wyluszczać, czego oczekuje od niej i jej Łowczyń. A ja, ponieważ byłam naprawdę pod wielkim wrażeniem energii pani Niebieskookiej, zaczęłam nucić sobie w duchu „Jestem kobietą, usłysz mój krzyk...”, szybko przechodząc do innej, bardziej adekwatnej wersji: „Jestem centaurzycą, usłysz moje rżenie...”.

Może być tak? Bo ja wiem... jakoś tak jednak topornie...

– Lady Rhiannon?

Moje twórcze zapędy przerwał słabiutki głosik.

Rozejrzałam się i zauważyłam chudą rączkę, która machała wyraźnie do mnie. Któż to taki? Moja mała miłośniczka koni!

Natychmiast podeszłam do niej, uśmiechając się jak najcieplej.

– Cześć, Kristianno.

Wyglądała strasznie, ale najważniejsze, że żyła. Ogromne, wielkości ziarnka grochu krosty na twarzy poprzedniego dnia były wypełnione wodą. Dziś ropą. Wyglądało to bardzo groźnie.

Dziecko było rozpalone, wargi spierzchnięte, popękane.

– Cen...taury – wyszeptala z trudem mała Kristianna między jednym świszczącym oddechem a drugim. Jej oczy, błyszczące nienaturalnie od wysokiej gorączki, wlepione były w to miejsce koło drzwi, gdzie stał Carolan, a obok niego Victoria i kilka jej Łowczyń.

– Tak, centaury, Kristianno. A raczej kobiety centaurzyce.

Śliczne, prawda?

Spojrzałam wymownie na przechodzącą pomocnicę, która podała mi wilgotną ściereczkę, i zaraz ostrożnie przyłożyłam ją do rozpalonego czoła dziewczynki, starając się otrzeć je z potu.

Za każdym razem, kiedy ściereczka dotknęła krostki, aż mną skręcało. Bałam się, że zamiast przynieść chorej dziewczynce ulgę, sprawiam jej tylko dodatkowy ból. Ale Kristianna chyba nie bardzo zdawała sobie sprawę, co robię, pochłonięta była bowiem czymś innym.

Nie odrywała oczu od Łowczyń, a gdy poruszyła ustami, nachyliłam się i usłyszałam cichutki, zdyszany szept:

– Tak... są śliczne...

– Masz rację. A teraz zamknij oczka, skarbie i postaraj się zasnąć, a ja spróbuję zdobyć coś, dzięki czemu twoje gardziółko nie będzie tak bolało. A boli, prawda?

– Tak...

– Postaramy się jakoś temu zaradzić.

Wróciłam do drzwi zdecydowana zdobyć cokolwiek, by ulżyć cierpiącemu dziecku.

– Carolanie, nie macie nic na uśmierzenie bólu?

– Podaję im miksturę z kory wierzby i rumianku. Niestety, ci którzy najbardziej jej potrzebują, mają trudności z połykaniem, w rezultacie niewiele im to pomaga.

W tym momencie jedna z centaurzyc, dereszowata, wysunęła się trochę do przodu. Nie widziałam jej przedtem.

Była o wiele niższa niż pozostałe panie centaurzyce i bardzo drobna. Miała króciutkie, kasztanowate włosy z jednej strony zaczesane za ucho. Strój nosiła bardzo skromny, zwykły skórzany top bez żadnych ozdób, na pewno bardziej praktyczny niż bogato zdobione kamizelki pięknych Łowczyń.

– Można podać wywar z maku, wystarczy odrobina i już pomoże – powiedziała wyjątkowo miłym, łagodnym głosem. – Może gdyby dostawali mak od początku, łatwiej by im było przetykać twoją miksturę.

Victoria szybko dokonała prezentacji:

– Sila, nasza Uzdrowicielka.

– Tak, mak jest bardzo skuteczny – przyznał Carolan. – Ale się nam kończy, a o zdobyciu nowych zapasów nie ma co marzyć. Uprawiany jest w pobliżu Zamku Laragona, a wiemy przecież, co się tam teraz dzieje.

– Maku jest mnóstwo na Równinach Centaurów – powiedziała Sila. – Wzięłam go sporo ze sobą, zawsze też mogę kogoś posłać, by przywiózł nowy.

– Cudownie! – Carolan nie posiadał się z radości. – Nasze modlitwy zostały wysłuchane. Bardzo dziękujemy, będziemy waszymi dłużnikami.

– Podziękuj Eponie, to ona wysłuchała waszej modlitwy i jej należą się podziękowania.

Sila miała cudowny głos. Pomyślałam, że musi być nadzwyczajną Uzdrowicielką, skoro samo jej słuchanie tak cudownie koilo.

– Łowczyni... – Sila zwróciła się do Victorii. – Czy możesz posłać kogoś po moją torbę? Wtedy już dziś przynieśliśmy chorym ulgę.

Victoria, zanim udzieliła odpowiedzi, spojrzała na mnie, unosząc znacząco brwi.

– Owszem, znam pewnego centaura, który z największą ochotą pobiegnie wszędzie, gdzie tylko go pošlemy.

– Twój osobisty posłaniec – mruknęłam i tyle z tego miałam, że Victoria, odwracając się, machnęła ogonem tuż przed moim nosem.

Otworzyła drzwi i zaraz rozległ się jej uwodzicielski głos, gdy przyzywała Williego. Oczywiście pognął do niej na złamanie karku. Tętent kopyt omal nie rozsadził ścian świątyni.

Kiedy bardzo zadowolona z siebie Victoria znów dołączyła do naszego grona, nie mogłam powstrzymać się od uwagi, przekazanej oczywiście bardzo dyskretnie:

– Chłopak wykończy się przez ciebie. Na pewno będzie miał problemy z sercem.

– Bez obaw. Ma młode serce, nic mu nie będzie –zapewniła, ale jej pełen satysfakcji uśmiech świadczył, że dopuszcza taką możliwość. Po czym z Centaurzycy Barbie Flirciary przeistoczyła się w Centaurzycę Barbie Prezeskę Rady Nadzorczej. – Carolanie, pokaż nam, proszę, którzy pacjenci będą przeniesieni do sali balowej. Prycze posłużą nam jako nosze.

– Już mówię. Wszystkich chorych, którzy mają nadgarstki przewiązane żółtą wstążeczką, przenosimy do drugiej sali.

Reszta zostaje tutaj.

– Czyli ci najbardziej chorzy? – spytała Sila przyciszonym głosem.

– Tak.

– W takim razie zostaję tutaj i zaczynam pracę.

Od razu zabrała się do mycia rąk. Pozostałe damy z kopytami też od razu wzięły się do roboty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wszystko poszło zadziwiająco sprawnie. Łowczynie były nadzwyczaj szybkie, skuteczne i świetnie zorganizowane, a jeśli chodzi o samą Victorię, to wszędzie jej było pełno i była niezmordowana. Jej młodociany wielbiciel Willie spuchł o wiele wcześniej, na długo zanim obiekt jego uwielbienia zaczął

okazywać pierwsze oznaki zmęczenia.

Oczywiście starałam się być pomocna, jednak moja rola ograniczała się głównie do schodzenia im z drogi. W rezultacie skończyło się na tym, że zaczęłam pomagać Sili, która krzątała się wśród najciężej chorych. Była wspaniałą Uzdrowicielką.

Najlepszym na to dowodem był fakt, że Carolan, kiedy przyjrzał

się, jak Sila bada pacjentów, oznajmił, że idzie do sali balowej zająć się pacjentami, którzy zostali tam przetransportowani.

A ten pokój chorych powierzył Sili, dając jej do pomocy jedną ze swoich pomocnic oraz mnie jako szeregową pielęgniarkę.

Czyli świetnie.

Tak jak poprzedniego dnia, chorzy stali się całym moim światem. Sila, podobnie jak Victoria, była niezmordowana. Jej działania miały jeden podstawowy cel: uśmierzyć ból.

Pomagałam jej więc przy wlewaniu po kropelce gęstego naparu z maku do obłożonego gardła i za każdym razem, kiedy na umęczonej twarzy widać było wyraźną ulgę, czułam dziką radość. Po zaaplikowaniu maku podawałyśmy herbatkę ziołową.

Sila powiedziała mi, że kora wierzby uśmierza ból i dobra jest na stany zapalne (coś w rodzaju aspiryny w syropie).

O rumianku coś niecoś już wiedziałam. Dobrze go popić, kiedy boli brzuch, poza tym łagodzi stres. (Od moich uczniów dostawałam tony takich herbatek na Boże Narodzenie i na koniec roku szkolnego. Mieli nadzieję, że zrobię się łagodniejsza. O, słodka naiwności!).

Czarne prognozy Carolana sprawdziły się prawie w stu procentach. Na nasz prowizoryczny OIOM zgłosiło się pięciu pacjentów, a nastąpiły cztery zgony. Chłopczyk i trzy młode dziewczyny, jedna z nich była moją pokojówką.

Z zapracowania kompletnie straciłam poczucie czasu.

W pewnym momencie pomyślałam, że już wieczór, a potem skojarzyłam, że pochodnie i świece palą się od kilku godzin.

Kark i ramiona miałam sztywne, obolałe stopy nie mogły się doczekać, kiedy wyskoczą z sandałków.

Gdy usiadłam przy ciężko dyszącym chłopczyku, do pokoju weszła Victoria, a za nią sześć nieznanym mi jeszcze kobiet centaurzyc, które wyglądały na świeże i wypoczęte.

– Lady Rheo! Silo! Przyprowadziłam wam zmienniczki.

Całe szczęście, że udało mi się nie krzyknąć z radości.

Chociaż i tak na pewno krzyk by mi nie wyszedł. Człowiek tak strasznie wykończony nie ma przecież siły wrzeszczeć.

– Dziękujemy – powiedziałam. – Silo, chodź, umyjemy się i zjemy coś.

Uzdrowicielka zajęta była starszą kobietą. Stała pochylona nad nią i łagodnym głosem namawiała do wypicia jeszcze jednego łyżeczka herbaty. Sila była nadzwyczajna. Miała cudowny stosunek do chorych, tyle w niej było ciepła i współczucia.

Miała też niespożyte siły. Mimo wielogodzinnej morderczej pracy nie widać było u niej żadnych oznak zmęczenia, wygląd tak samo schludny jak na początku. Z tego powodu byłam trochę speszona, bo na pewno wyglądałam strasznie.

Podajrzewam, że jak jakaś wykończona menelka w łachmanach.

– Idź sama, lady Rheo. Ja zostanę i pokieruję młodymi –powiedziała, wskazując na pełne zapалу kandydatki na pielęgniarki.

Oczywiście dla przyzwoitości coś tam bąknęłam, że w takim razie ja też zostanę, na szczęście zagłuszyła mnie Victoria, swoją wypowiedzią bardzo ułatwiając mi sytuację:

– Lady Rheo, ClanFintan powiedział, że w razie oporu mam cię stąd wynieść. A ja, nie ukrywam, wolałabym już dzisiaj nikogo i niczego nie nosić.

– W porządku. Nie ma sprawy, już idę. Silo, powiem w kuchni, żeby przynieśli ci tu kolację!

– Już powiedziałam – zakomunikowała jakby trochę urażona Victoria. – Wiem przecież, że nasza Uzdrowicielka tak szybko nie odejdzie od chorych.

Tak szybko! Przecież od rana zwijamy się tu jak w ukropie!

W rezultacie dalej stałam jak słup soli, dopóki Sila mnie nie pogoniła:

– Lady Rheo, idź już do męża. Czeka na ciebie.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością, ale starając się jednak jakoś trzymać fason, na odchodnym rzuciłam:

– Rano jestem tutaj. Dobrze by jednak było, żeby ktoś mnie obudził.

Przed wyjściem poszłam jeszcze spojrzeć na małą Kristiannę. Dziewczynka nadal była rozpalona i oddychała z trudem. Teraz chyba zasnęła.

– *Niestety, nic już dla niej nie możesz zrobić – powiedziała cichutko Sila, stając obok mnie. – Wszystko w rękach waszej Bogini.*

– *Wezwij mnie, gdyby... gdyby...*

Dokończenie tego zdania było ponad moje siły, ale Sila oczywiście zrozumiała, o co mi chodzi.

– *Tak. Wezwę cię. – Popchnęła mnie lekko w stronę Victorii.*

Kiedy wychodziłam z pokoju, słyszałam, jak Sila już wydaje polecenia nowym pielęgniarkom.

Powoli przemierzałyśmy korytarz. Ja co chwilę zerkalam na Wielką Łowczynię, nie ukrywam, że z zadowoleniem. Była tak samo brudna i wykończona jak ja.

– *Victorio, co powiesz na kąpiel w moim baseniku z wodą ze źródeł mineralnych?*

– *A zmieszczę się?*

Szybko przemknęłam wzrokiem po jej powabnym, klaczokobiecym ciele, oceniając rozmiary, i skinęłam głową.

– *Tak. Bez obaw.*

– *To dobrze. Bo wiesz, ludzie bywają czasami...*

małostkowi, rozumiesz, w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu.

Nie, to absolutnie nie było napastliwe. Po prostu stwierdziła fakt.

– Lady Rhiannon, Wielka Kapłanka i Wybranka Epony nie wykazuje takich inklinacji – oświadczyłam, zadzierając swój brudny nos.

Na twarzy Victorii pojawił się zmęczony uśmiech.

– Och, przepraszam, milady. Jak mogłam o tym zapomnieć!

– Wcale ci się nie dziwię. Boginie zwykle nie chodzą ozdobione, pardon, rzygowinami!

Jedną podejrzaną grudkę zdrapałam z korony, drugą wygrzebałam spośród włosów. Victoria z taką samą odrazą zdrapała coś z policzka.

– Masz rację, życie Wielkiej Kapłanki powinno być po prostu bardziej eleganckie.

– Zgadza się. I pomyśleć, że zawsze chciałam być boginią...

Westchnęłam wyjątkowo głęboko, po czym obie z Victorią zaśmiałyśmy się. Oczywiście z siebie, miałyśmy przecież namacalny dowód, że zmęczenie zaczyna padać nam na mózg.

Kiedy zbliżyłyśmy się do drzwi pokoju kąpielowego, strażnik na mój widok dosłownie wytrzeszczył oczy. Głupek.

Oczywiście, że poczęstowałam go odpowiednio wyniosłym spojrzeniem, a na dodatek lodowatą uwagą:

– Niestety, mam zbyt wiele pracy, by wyglądać nieskazitelnie!

Wreszcie znalazłam się w środku, w całkiem innej, luksusowej rzeczywistości. Z rozkoszą wciągnęłam głęboko w płuca powietrze przesycone parą z gorącego źródła.

– Ładnie tu – powiedziała uprzejmie Victoria i od razu zaczęła się pozbywać jedynej części garderoby, jaką miała na sobie, czyli kamizelki.

– Dzięki, nawet lubię ten pokój – mruknęłam i idąc za przykładem Victorii, przystąpiłam do wypłatywania się tego, w co rano zawięła mnie Alanna. A do Victorii, już z obnażonym torsem (piersi idealnie okrągłe. Suka!) rzuciłam przez ramię:

– Wchodź do wody. Tylko uważaj, bo schodki są trochę strome.

Uff... wreszcie brudna tunika i cieniutkie stringi znalazły się na podłodze. Spojrzałam na basenik. Victoria, już w wodzie, ostrożnie przemieszczała się do najgłębszego miejsca, gdzie woda sięgała jej mniej więcej do połowy zgrabnego biustu. Ja usadowiłam się na mojej marmurowej półce, gdzie woda sięgała mi prawie po szyję. W tym czasie Victoria dotarła tam, dokąd chciała, zatrzymała się i musiała zrobić coś pod wodą ze swoimi nogami, bo nagle też zanurzyła się po szyję.

I westchnęła.

– Cudnie... Na Równinach Centaurów niestety nie ma gorących źródeł. Możesz umyć się tylko w zimnym strumieniu.

Przypomniałam sobie moje ablucje w strumyku razem z ClanFintanem. Teraz wiedziałam, dlaczego był tak dobrze obeznany z lodowatą wodą i kamieniem mydlanym.

– Tu możesz się porządnie wymoczyć. Proszę... – Rzuciłam jej jedną z buteleczek z moim ulubionym mydłem. Buteleczki stały na brzegu baseniku, w zasięgu ręki. Pamiętaj: podziękuj Alannie! – To mydło jest po prostu super!

Victoria wyjęła korek, powąchała zawartość butelki i zaskoczona powiedziała:

– Tylko zobacz! Pachnie jak kamień mydlany, choć zdecydowanie mocniej. Ale na pewno jest to... – jeszcze raz mocno pociągnęła nosem – tak, wanilia.

– Mhm. Jest rewelacyjne.

Chwyciłam drugą buteleczkę i zaczęłam się z zapalem namydlać.

– Super... – powtórzyła Victoria. – Super...

– Świetny – przetłumaczyłam. – Wspaniały, genialny i tak dalej.

– Dzięki, ale muszę przyznać, że używasz trochę dziwnych słów...

– A... to z powodu moich bliskich relacji z Eponą, rozumiesz.

Zadowolona, że udało mi się wyprodukować zręczną ripostę, zajęłam się głową. Rozplotłam warkocz, zaczęłam namydlać włosy, udając bardzo tym zaafetowaną. Wszystko dlatego, żeby droga Victoria nie drążyła tematu.

Do drzwi ktoś zapukał.

– Proszę wejść! – zawołałam, zerkając na gołą towarzyszkę kąpielii. – O ile nie jesteś mężczyzną!

Kumpelka nie kumpelka, nie miałam zamiaru pozwolić memu mężowi napawać się widokiem hożej i pięknej pani centaurzycy w stroju Ewy.

W końcu naprawdę jestem nauczycielką i pewne rzeczy są dla mnie nie do przyjęcia.

Do pokoju wpadła Alanna z całym naręczem ręczników i wielkim dzbanem, na który spojrzałam z rozpaczliwą nadzieją.

Czyżby wino? Czyżby spełnienie moich marzeń?

– Cześć, Alanno! – zawołałam, szczerze stęskniona za drogą przyjaciółką.

– Witaj, Rheo!

Alanna uśmiechnęła się do mnie tym swoim urzekającym uśmiechem, Victorii skinęła głową i zaczęła szybko kłaść i stawiać to, co ze sobą przyniosła.

– Poznajcie się, dziewczyny. Alanno, to Victoria, Wielka Łowczyni.

Alanna ponownie skłoniła głowę.

– Dla mnie to wielki zaszczyt poznać cię, pani.

– Victorio, to Alanna, moja najukochańsza przyjaciółka.

A najlepszym tego dowodem jest fakt, że w tym dzbanku jest moje ulubione czerwone wino. Bo o to gotowa jestem założyć się o swoją koronę.

Nie straciłam korony, bo w dzbanku oczywiście było wino.

Znalazłam się w siódmym niebie, kiedy Alanna nalała czerwony, czarodziejski płyn do mojego kielicha i postawiła go na marmurowej półce.

– Mocne i wytrawne – poinformowałam Victorię, wypijając szybko łyżek. – Mam swoje standardy.

Alanna oczywiście napełniła drugi kielich dla Wielkiej Łowczyni.

– Bardzo proszę, pani.

Victoria z wdzięcznym uśmiechem odebrała kielich, a Alanna nachyliła się i zaczęła zbierać z podłogi moje brudne ciuchy.

– Nie! – wrzasnęłam, zrywając się na równe nogi i przy okazji rozchlapując i wodę, i wino. – Nie dotykaj! Nie wolno!

Alanna natychmiast rzuciła wszystko z powrotem na podłogę, jakby się oparzyła. A podskoczyłam do niej jak żbik, złapałam ją za rękę i pociągnęłam za sobą do miejsca, gdzie tryskała do baseniku czysta woda. Wylałam jej na ręce chyba pół butelki mydła i rozkazałam:

– Myj. Myj jak najdłużej i jak najdokładniej.

– Przepraszam – zaszemrała Alanna. – Na śmierć zapomniałam...

A ja, mamrocząc pod nosem niepochlebne komentarze pod adresem blondynek i drogich przyjaciółek, do tego goła jak święty turecki, zgarnęłam z posadzki swoje ciuchy i wrzuciłam do

kominka, w którym na szczęście rozpalono ogień. Potem jednym susem wróciłam do wody. I po akcji. Kiedy znów rozsiadłam się na mojej marmurowej półce, zauważyłam, że Victoria gapi się na mnie tak, jakby nagle wyrosły mi skrzydła.

A co najmniej penis.

Znów wypiłam łyczek i zadowolona, że w kielichu jeszcze trochę wina się ostało, wyjaśniłam:

– Ospa jest nadzwyczaj zaraźliwa.

– Wiem. Dlatego istoty ludzkie nie powinny opiekować się chorymi.

– Zarazić się można nie tylko wtedy, gdy przebywa się z chorym. Choroba jest w wydzielinach z ciała chorego człowieka, wydzielinach każdego rodzaju – wyjaśniłam, staranie dobierając słowa. Przecież nie będę jej robiła wykładu o zarazkach! – Przenosi się na pościel, ubranie, naczynia, na wszystko, czego chory dotykał. Jeśli zdrowy człowiek potem tego dotknie, może się zarazić.

– A tego nie wiedziałam... – przyznała Victoria, przyglądając mi się badawczo. – A ty dowiedziałaś się tego od swojej Bogini, prawda?

– Tak – powiedziałam, zerkając na Alannę, która wciąż gorliwie szorowała ręce.

Droga przyjaciółka od razu się zorientowała, że potrzebuję wsparcia.

– Bogini ujawnia Rhei bardzo wiele – oznajmiła. – Dlatego też Rhea wie mnóstwo rzeczy, o których inni nie mają pojęcia.

Victoria, usatysfakcjonowana informacją o interwencji bogini, wróciła do mycia głowy.

– A słyszałam... – odezwała się po chwili – że kuszysz przywódcę Fomorian, żeby wpadli w pułapkę.

– Owszem – przytaknęłam, również ruszając do ataku na moje włosy. – Tyle że to wcale nie jest zabawne.

– Ale stykanie się ze złem jest w jakimś sensie pożyteczne.

Zawsze wyciąga się z tego jakąś nauzkę.

W głosie Victorii nagle pojawił się smutek. Oczywiście, że byłam bardzo ciekawa, jaką to okrutną nauzkę dało jej życie, wiadomo jednak, że trzymałam buzię na kłódkę. Mruknęłam tylko do siebie:

– Ciekawe, czego to ja się z tego nauczę...

Zapadła cisza, ale tylko na moment, bo przerwało ją pukanie do drzwi.

– Co jest? – wrzasnęłam moim najbardziej belferskim wrzaskiem, czyli wrzaskiem belfra maksymalnie wkurzonego.

– Rheo? – ClanFintan odezwał się niemal bojaźliwie.

Drzwi uchylił minimalnie, przez szparę widać było tylko jego oczy błyszczące w blasku świec. – Mogę wejść?

– Nie! Przecież Victoria też jest całkiem goła!

ClanFintan otworzył drzwi odrobinę szerzej i wyraźnie rozbawiony parsknął cicho.

– Przecież znam Victorię od dziecka, wychowywaliśmy się razem. Widziałem ją w kąpielni niezliczoną ilość razy.

– Dla mnie to nieistotne, ile razy przed naszym ślubem oglądałeś gołe centaurzyce! – Oczywiście, że dalej mówiłam podniesionym głosem, a określając to dokładniej, wrzasnęłam, wyskakując jak z procy z baseniku. Wykonałam krótki sprint po ręcznik, którym zaczęłam się wycierać, jednocześnie machając do ClanFintana, by przekazać mu dobitnie: *A kysz! A kysz!* – Ale po naszym ślubie sytuacja się zmieniła, mój drogi! Teraz jedyną nagą kobietą, którą oglądasz, jestem ja! Żadna inna! Pań centaurzyc i panien centaurzanek też to dotyczy! – Usłyszałam, jak zaśmiał się, więc sięgnęłam po naprawdę mocny argument: – Chyba że chcesz, żebym zaczęła podglądać moich strażników w kąpielni!

Drzwi zamknęły się natychmiast, i to bardzo głośno, a ja kontynuowałam wycieranie, wyladowując się w bardzo energicznym operowaniu ręcznikiem tudzież w wymamrotanym pod nosem komentarzu. No bo fakt. Nie jesteśmy przecież w rezydencji tego faceta od „Playboya”, nie jesteśmy jego króliczkami na pokaz. O nie.

Nagle zorientowałam się, że w pokoju kąpielowym zrobiło się bardzo głośno. Nic jednak dziwnego, skoro Victoria, zanosząc się śmiechem, wyskoczyła z baseniku, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Alanna natomiast (podobno moja najlepsza przyjaciółka) siedziała po prostu na podłodze i też się zarykiwała.

Wobec powyższego, robiąc efektowny turban z ręcznika, zażądałam wyjaśnień:

– Chwileczkę, a co w tym aż tak śmiesznego?!

– A ty i ClanFintan – poinformowała mnie Victoria między jednym napadem głupiego śmiechu a drugim.

– Dokładniej?

– *Oboje jesteście o siebie potwornie zazdrośni! Potwornie!*

– *Czyżby?*

W tym momencie Alanna, nadal po kretyńsku roześmiana, prychnęła jak koń, natychmiast więc poczęstowałam ją odpowiednim spojrzeniem oraz krótką uwagą:

– *Naprawdę nie rozumiem, skąd u pani taki szampański humor, pani Mężatko Od Wczoraj!*

Chciałam, żeby spoważniała, a skutek był odwrotny.

Alanna prawie popłakała się ze śmiechu. Na szczęście u Victorii śmiech przeszedł w czkawkę, niestety niezbyt długą, w związku z czym już po chwili była w stanie coś z siebie wydusić:

– *Lady Rheo, nie chciałabym cię urazić, ale to naprawdę coś niezwykłego, kiedy kobieta, o której...
– zamilkła, bez wątpienia zastanawiając się, jakich użyć słów – słyszało się różne rzeczy, wcale nie kryje się z gorącym uczuciem do męża.*

Przeciwnie, tak naprawdę okazuje je demonstracyjnie.

Demonstracyjnie? Hm... Tu sposepniałam, kontynuując energiczne wycieranie się ręcznikiem.

Victoria natomiast kontynuowała swoją mędrkowaną wypowiedź:

– *ClanFintan jest tak samo zazdrośny jak ty. Nigdy bym się tego nie spodziewała!*

– *Dlaczego? – spytałam niby obojętnie, ale wiadomo, że cała zamieniona w słuch.*

W tym czasie Alannie udało się w końcu opanować i powrócić do swoich obowiązków. Podskoczyła po ręcznik dla Łowczyni, a potem zaczęła nalewać wino całej naszej trójce (natychmiast wybaczyłam jej ten głupi śmiech). A Victoria, wycierając się równie energicznie jak ja, zaspokoila moją ciekawość:

– ClanFintan bardzo podoba się kobietom, i tym rodzaju ludzkiego, i centaurzycom. Zawsze uwodziły go na potęgę, a on traktował je bardzo obojętnie. Co wcale nie znaczy, że kobiety go nie pociągają. Po prostu... – śliczną twarz Victorii ozdobił

dodatkowo uroczy, ciepły uśmiech – czekał na miłość. Dopiero teraz oddał komuś swoje serce.

– Na swoją zgubę! – zapiszczała Alanna i z Victorią znów zaczęły chichotać.

Tym razem przyłączyłam się do nich. Głupi rechot zajął

nam dobrych kilka minut, po czym Victoria znów zabrała głos:

– Rheo, jeszcze raz chcę podkreślić, że wcale nie chciałam cię urazić moim śmiechem. Jest tylko i wyłącznie oznaką wielkiej radości. Od samego początku zauważyłam, że zależy wam na sobie, ale dziś miałam okazję przekonać się na własne oczy, jak wielkie i jak prawdziwe uczucie was łączy.

Alanna westchnęła bardzo sentymentalnie, a ja... cóż ja?

Wcale nie miałam zamiaru zaprzeczać.

– Tak. Kochamy się – wyznałam całkowicie pewna, że uśmiech, który zagościł na mojej twarzy, jest wyjątkowo kretyński.

– I to jest powód do wielkiej radości – powiedziała Victoria. – Życzę wam z całego serca jak najdłuższego szczęśliwego pożycia. ClanFintan jest wspaniałym centaurem.

Patrzyłyśmy sobie prosto w oczy. Ja, naturalnie, gorączkowo szukałam w prześlicznych, niebieskich oczach Victorii choć cienia fałszu, jednak na szczęście bezskutecznie.

Doszukałam się tylko szczerości.

– Dzięki, Vic.

I uśmiechnęłyśmy się do siebie cieplusieńko na znak, że nasza rodząca się przyjaźń obu daje wielką satysfakcję.

– Przyniosłam to dla pani, Wielka Łowczyni.

Przed nami pojawiła się Alanna, demonstrując kawałek pięknego niebieskiego jedwabiu. Victoria z wyraźną przyjemnością musnęła cieniusieńką tkaninę, po czym pytająco spojrzała na Alannę.

– Pokażę pani, co z tym zrobić – powiedziała Alanna z uśmiechem.

– Nie opieraj się! – wtrąciłam. – Ona jest prawdziwą mistrzynią w owijaniu!

– Ten jedwab jest precudowny – powiedziała rozmarzonym głosem Victoria, zdradzając tym samym, że dzielna Łowczyni lubi ładne ciuchy.

– Pani Victorio, muszę jednak prosić, by pani przyklęła.

Inaczej nie dosięgnę.

Łowczyni, zanim spełniła jej prośbę, spojrzała srogo.

– Pod warunkiem, że przestaniesz z tą „panią Victorią”.

Dla osób zaprzyjaźnionych jestem Victoria i koniec.

Alanna na znak zgody z uśmiechem kiwnęła głową. Wtedy Victoria z wielkim wdziękiem uklękała przed nią i Alanna mogła przystąpić do owijania. Dla mnie nadal ten proces był

fascynujący. Bo wyobraźcie sobie, że Alanna bierze coś, co wygląda jak długi jedwabny szal, owija, owija i na waszych oczach szal zmienia się w bardzo miłutki seksowny top odsłaniający dokładnie tyle, by nie było powodu do aresztowania za obrazę moralności, a jednocześnie wystarczająco, by przyciągać wzrok wszystkich facetów.

Victoria wstała z kolan i szybko i szybko pokłusowała (dosłownie!) do wielkiego lustra, tego od sufitu do podłogi.

– Cudo! Po prostu cudo! – zawołała, obracając się dookoła, zachwycona swoim odbiciem, moim skromnym zdaniem może jednak ciut za bardzo seksownym. – Uważaj, Rheo, bo kto wie, czy nie będziemy chciały podkraść ci Alanny. Kiedy Łowczynie mnie zobaczą w tym stroju, zrobią wszystko, żeby zwabić ją do nas!

Przełknęłam, przerażona taką perspektywą. Na szczęście moje obawy natychmiast zostały rozwiane.

– Victorio – odezwała się swoim słodkim głosem Alanna –przecież mogę was tego nauczyć, ciebie i twoje Łowczynie. To wcale nie jest takie trudne!

Jasne! Odetchnęłam. Pomysł był genialny, a ja natychmiast postanowiłam go rozbudować. Dziewczynononie po tych swoich równinach biegają w skórzanych kamizelkach, więc koniecznie trzeba im podesłać mnóstwo pięknych materiałów.

Aha, i pamiętaj: z tymi materiałami pojedzie do nich oczywiście Alanna!

– A to twoja koszula nocna, Rheo.

Alanna wręczyła mi żółciutką jak jaskry jedwabną koszulę.

Z przodu miała głębokie wycięcie w szpic, układała się w miękkie fałdki i była długa, do samej ziemi. Nie, nie była całkiem przezroczysta. Była... prawie przezroczysta i niesamowicie seksowna. Bez patrzenia w lustro wiedziałam, jak ta koszula podkreśla biust i biodra. Droga Alanna wiedziała, co robi.

– Jest prześliczna, dziękuję.

Uściskałam ją, włożyłam koszulę i zaczęłam przekopywać się przez ogromne zasoby grzebieni i szczotek. Przede wszystkim szukałam grzebienia o grubych, szeroko rozstawionych zębach, moim zdaniem najbardziej odpowiedniego dla platynowego bogactwa na głowie Victorii.

Znalazłam go po chwili, podałam Łowczyni i chwyciwszy swój grzebień, oznajmiłam drogim przyjaciółkom:

– Przepraszam was, ale chyba muszę... no, chyba pójdę już do swojego pokoju i tam powalczę z moimi włosami.

– Ale dlaczego, Rheo – zaprotestowała Alanna, spoglądając sceptycznie na turban z ręcznika, który nadal zdobił moją głowę.

– Przecież mogę cię uczesać.

– Dzięki, ale nie chcę, żebyś zawracała sobie tym głowę.

Jestem pewna, że niebawem zjawi się stęskniony za żoną Carolan. Lepiej pomyśl o dobrej kolacji dla niego. I o deserze!

„Deser”, wiadomo, wymówiony został z naciskiem, dodatkowo okraszony znaczącym spojrzeniem.

Alanna zarumieniła się, a Victoria również spojrzała znacząco, ale na mnie.

– A twój deser czeka na ciebie w twoim pokoju?

Wiadomo, że moje policzki też przybrały kolor piwonii.

Krzyknęłam więc już tylko:

– Dobranoc, dziewczyny!

I posunęłam w stronę drzwi, oczywiście przy akompaniamencie ich głupiego chichotu. Potem wykonałam króciutki przemarsz korytarzem do drzwi ozdobionych rozkosznymi chłoptasiami stojącymi na straży. Na mój widok wyprężyli się jak struny, a jeden z nich poinformował:

– *Milady! Lord ClanFintan czeka na milady w pani pokojach.*

– *Świetnie.*

Miałam wielką ochotę uszczypnąć go żartobliwie w ten jego miecz, ale powstrzymałam się. Przecież nie wypada.

Chłopak zasalutował i otworzył drzwi.

ClanFintan spoczywał na szezlongu, przed którym stał

stolik zastawiony szczelnie półmiskami rozsiewającymi upojne zapachy. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, na mój widok małżonek centaur rozpromienił się, a ja, jak głupia nastolatka, pofrunęłam w jego ramiona, by w nich utonąć. I nie tylko, bo w trakcie cudownego pocałunku, który zajął nam chwilę, cała w środku zaczęłam roztopiać się jak wosk.

Po cudownym pocałunku ClanFintan wystąpił z pytaniem:

– *Nadal masz ochotę podglądać swoją straż w kąpieli?*

Niby żartobliwie, ale wyczuwałam, że mimo wszystko ten problem go nurtuje.

– *Tylko wtedy, gdy ciebie najdzie ochota pogapić się na gołą Łowczynię. – Po tym oświadczeniu*

uszczyptałam wargami jego dolną wargę, i to nawet mocno.

– Nigdy! Nagą chcę oglądać tylko jedną jedyną kobietę – oświadczył z kolei ClanFintan, po czym nastąpił pocałunek numer dwa, oczywiście bardzo długi i namiętny.

Kiedy udało mi się wreszcie złapać oddech, na wydechu spytałam:

– Ile ona ma nóg?

– Tylko dwie.

– Dwie? A to bardzo mnie cieszy.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. I tak trwaliśmy zapatrzeni i rozanieleni, póki mój niepoprawny żołądek nie dał znać o sobie, i to w sposób skandaliczny. W moim brzuchu wcale nie zaburczało, lecz zagrzmiało.

ClanFintan zaśmiał się.

– Jedz!

Obróciłam się w jego ramionach, zwracając się twarzą do kuszącego stolika, i usiadłam. Wszystko wyglądało bardzo apetycznie, dlatego postanowiłam nie obżerać się jedną potrawą, tylko skosztować wszystkiego po trochu. Do realizacji tego planu przystąpiłam natychmiast, ClanFintan natomiast, również coś tam przegryzając, zaczął wypytywać mnie o chorych. Był

bardzo przybity ich ogromną liczbą, musieliśmy jednak przyznać ze smutkiem, że tego właśnie należało się spodziewać.

Po jakimś czasie, gdy głód zaspokoiliam do takiego stopnia, że żarcie przestało być dla mnie bezwzględny priorytetem, zadałam następne pytanie:

– ClanFintanie, a jaka jest sytuacja z wojownikami z zewnątrz?

– Niezła. Bez przerwy nadciągają nowi – odparł

z wyraźnym zadowoleniem. – Wygląda na to, że będziemy mogli ruszyć na Laragon wcześniej, niż planowaliśmy. Rheo, jak sądzisz, czy udałoby się również wcześniej skłonić Nuadę do wyruszenia na Świątynię Muz?

Nuada... Przed moimi oczyma pojawiła się odrażająca, obleśna twarz skrzydlatego stwora.

– Tak... – powiedziałam bardzo cichutko.

ClanFintan nie odezwał się, tylko lekko i bardzo czule ścisnął mnie za ramię, a ja nagle poczułam, jak wraca to okropne znużenie. Głowa stawiała się ciężka, niczego więcej nie chciałam, tylko rozczesać włosy, a potem spać, spać, spać.

Cmoknęłam męża w policzek i wstałam, ściągając ręcznik z prawie suchych już włosów. Usiadłam po turecku na naszym łóżku (starannie pościłanym, nadal jednak na podłodze!) i zabrałam się do rozczesywania niepokornych loków.

– Daj mi grzebień. Ja to zrobię – powiedział ClanFintan, przyklękając obok mnie. – Oprzyj się o poduszki i zamknij oczy.

– Mmm...

Było cudnie. Mąż czesał mnie i czesał, a z każdym dotknięciem grzebienia ciężar mojego ciała

coraz bardziej zbliżał się do ciężaru ołowiu.

– Masz najcudowniejsze ręce pod słońcem...

Opierałam się o poduszki coraz mocniej, zsuwałam, w rezultacie po chwili leżałam już na boku. ClanFintan dalej mnie cesał. Prawdziwa rozkosz, nic więc dziwnego, że starałam się usilnie nie zasnąć. Pomyślałam nawet, czy kochany mąż nie dalby się namówić na zmianę postaci. Niestety, zmęczenie wzięło górę. Po kilku minutach spałam już jak kamień snem strudzonego człowieka.

Tom Selleck i ja byliśmy w cudownej meksykańskiej restauracji, gdzie podawali owoce morza, z tym że restauracja była gdzieś w północnych Włoszech. Margarita była zrobiona z prawdziwego soku z limonek i złocistej tequili, a maczanka z białym serem podobno nie zawierała żadnych kalorii. W chwili, gdy Tom wyjaśniał mi, dlaczego pociągają go wyłącznie kobiety po trzydziestce o zdecydowanych kształtach, restauracja nagle rozplynęła się w nicość, a ja zostałam wchłonięta przez sufit, a następnie wypluta w bezchmurną noc nad Partholonem.

Tej nocy zdecydowanie nie miałam ochoty na oglądanie widoków z lotu ptaka. Pragnęłam najgoręcej, by cały ten przelot odbył się błyskawicznie i w takim tempie, żebym nie miała czasu myśleć o tym, co (kto) czeka na mnie u celu mojej powietrznej podróży.

– W porządku, jestem gotowa do akcji – powiedziałam tak przed siebie, w powietrze, i moje eteryczne ciało od razu zaczęło posuwać się do przodu. Nie, wcale nie posuwać. Prułam jak pocisk, tak prędko, że wszystko w dole zlewało się w jedną całość. Ani się obejrzałam, a góry miałam już za sobą i znalazłam się nad Warownią.

Zatrzymałam się gwałtownie nad wewnętrznym dziedzińcem, gdzie od zeszłej nocy nic się nie zmieniło.

Ogniska, wokół nich skulone kobiety owinięte w koce. I cisza, przerażająca cisza.

Poczułam, jak narasta we mnie gniew.

– Zabierz mnie od razu do niego – szepnęłam przez zaciśnięte zęby.

Natychmiast poleciałam w kierunku tej części zamku, którą odwiedziłam zeszłej nocy. Okna pokoi na najwyższym piętrze były rzęsiście rozświetlone. A tam czekał on...

W głowie usłyszałam znajomy szept:

– Przygotuj się, Wybranko.

– Jestem gotowa – oznajmiłam stanowczo. – Tak, jestem gotowa.

Dach pode mną natychmiast zniknął. Przeniknęłam przez strop i znalazłam się w pokoju Nuady.

Pomieszczenie zalane było światłem, dla mnie, przybyłej z mroku, oślepiającym. Musiałam odczekać chwilę, by mój wzrok przyzwyczaił się do tego światła. Kiedy znów widziałam wszystko normalnie, od razu spojrzałam na łóżko. Było puste, nie zdążyłam jednak poczuć ulgi, bo zauważyłam coś, co wzbudziło we mnie największe obrzydzenie. Aż mną wstrząsnęło. Nuada był w pokoju nie sam, tylko z nagą dziewczyną, którą obejmował jak w tańcu. Chociaż nie, z pozoru bardziej czule. Taka parodia uścisku kochanków.

Dziewczyna odchylona była lekko w tył, głowę nienaturalnie przekrzywiła na bok. Nuada przyciskał usta do jej szyi. Kiedy podfrunęłam bliżej, zobaczyłam, że szczęki stwora poruszają się. Właśnie przegryzał skórę dziewczyny, a po niej spłynęła strużka ciemnej krwi, która dotarła aż na podłogę.

Nuada przyssał się do rany. Pił, a jego podniecone skrzydła zaszeleściły, zaczęły napinać się, rozkładać i składać jak skrzydła wielkiego ptaka drapieżnego.

Dziewczyna zaczęła dygotać i jęczeć z bólu, a ja zauważyłam coś jeszcze. Kiedy Nuada pił krew, z podniecenia napinały się i prężyły nie tylko jego skrzydła.

– Fuj! To po prostu obrzydliwe! – wyrzuciłam z siebie gwałtownie.

Nuada natychmiast poderwał głowę.

– Jesteś tam, samiczko? – wysyczał.

Przesunęłam się do przodu i ponownie poczułam to dziwne drżenie, które świadczyło, że stałam się na wpół widzialna.

– Jestem tutaj!

Mój głos ducha o mocy nadprzyrodzonej odbił się od ścian głośnym echem.

Nuada pchnął brutalnie dziewczynę.

– Wynoś się!

Nieszczęsna istota upadła ciężko na podłogę. Z wielkim trudem udało jej się stanąć na czworakach i w taki to żalospny, poniżający sposób uciec do drzwi.

Nuada otarł usta ręką, przykucnął i zaczął mi się przyglądać.

– A więc znowu tu jesteś! – stwierdził z wyraźnym zadowoleniem.

A mnie, kiedy patrzyłam na niego, robiło się po prostu niedobrze.

Ustyszałam w głowie znajomy szept:

– Prowokuj go, Wybranko. Kuś go, żeby koniecznie chciał cię dotknąć.

Objęłam dłonią pierś.

– A cóż miałam robić? Musiałam tu przybyć, bo jesteś zbyt słaby, żeby przyjść do mnie! – Jego skrzydła zadrżały. Zmrużył

oczy, a ja przesunęłam powoli dłoń na drugą pierś. – Ty, Nuado, potrafisz wykorzystywać tylko bezbronne dziewczynki.

Nie, nie obraził się, bo był zbyt zajęty gapieniem się na mnie. Nie odrywając obleśnego wzroku od moich piersi, oblizał

się, wtedy ja zaczęłam powoli przesuwając dłonie w dół po moim nagim ciele, kreśląc palcami kółeczka i inne wzorki na żebrach, w talii i na brzuchu. Pożądliwe spojrzenie stworza podążało za moimi rękoma. Słyszałam, jak jego oddech przyśpieszył.

– Tak mi się zdaje, że potrafisz zabawić się tylko z młodziutką, niedoświadczoną dziewczyną...

Jedną dłonią pieściłam udo, drugą objęłam kość łonową, robiąc to dokładnie tak samo jak Nuada poprzedniej nocy, kiedy ścisnął kość łonową tamtej biednej zgwałconej dziewczyny.

A on patrzył, jego oddech był coraz szybszy, świszczący.

W pewnym momencie zerwał się na równe nogi i podskoczył, wyciągając wysoko przed siebie

zakrwawione ręce zakończone szponami.

Tej nocy Bogini nie musiała mnie ponaglać. Mój szyderczy śmiech omal nie rozsadził ścian starego zamku.

A stwora rozjuszył. Nuada zaczął miotać się po pokoju, warczeć i syczeć.

– Gdybym wiedział, gdzie cię znaleźć, gdybym wiedział...

dopiero byś się przekonała, na co naprawdę mnie stać!

– Chcesz wiedzieć, gdzie można mnie zastać? – Gdy zatrzymał się, jakby wryło go w podłogę, i wlepił we mnie oczy, powiedziałam to, co najważniejsze: – Jestem Wcieleniem Bogini. Mieszkam w Świątyni Muz. Spytaj którejs z tych biednych kobiet, które trzymasz w niewoli, to ci powie, jak trafić do tej świątyni.

Na twarzy stwora pojawił się zły uśmieszek.

– A zapytam... i sam przybędę po ciebie. A wtedy w tym pokoju będzie słycać nie twój śmiech, lecz twoje krzyki.

Znów roześmiałam się szyderczo, a rozdrażniony stwór ponownie zaczął przemierzać pokój.

– Wcale nie jest trudno mnie odnaleźć, Nuado, ale osiąść mnie na pewno nie jest łatwo! Tak mnie, jak i moich sióstr Bogiń strzeże potężna armia wojowników centaurów –poinformowałam go, jednocześnie uruchamiając dłonie, które zaczęły pieścić piersi. – Prawie żałuję, że nigdy nie zdołasz ich pokonać. Bo tak sobie myślę, że trochę pieszczotek z tobą...

może i byłoby zabawnie...

Kredowobiała twarz stwora nagle spurpurowiała z gniewu.

– Zabawnie?! – ryknął.

Zrobił kilka długich i bardzo szybkich kroków, biegł

właściwie. Jego mięśnie naprężyły się i podskoczył wysoko, znów wyciągnął ku mnie te obrzydliwe łapska, jednak tym razem sięgnął o wiele dalej. Poczulałam piekący ból w podeszwie mojej przeźroczystej stopy i...

I już mnie tam nie było. Umknęłam jak gruby chłopczyk grający w zbijaka.

– A niech to... O nie!

Usiadłam, łapiąc się za obolałą stopę.

– Co, kochanie? Co się stało?

W kominku ledwie się tliło. Kiedy spałam, ClanFintan pogasił wszystkie świece i lampy. Było mroczno, ale i tak zauważyłam na lewej stopie trzy czerwone szramy. Wyglądały okropne, bolały i piekły, a im dłużej im się przyglądałam, tym bardziej wydawały się groźne i bardziej zaognione.

– Zranił mnie – powiedziałam, pocierając stopę, żeby przeszło to nieznośne pieczenie.

– Pokaż.

Ułożyłam się na plecach, to znaczy podpierałam się na łokciach, żeby dobrze widzieć, co dzieje się z przodu.

ClanFintan z miną bardzo posępną obejrzał feralną stopę, wstał

i podszedł do drzwi.

– Dokąd idziesz? – spytałam z niepokojem.

– Nigdzie nie idę. – Otworzył drzwi i polecił strażnikowi: –Znajdź Uzdrowiciela i powiedz mu, że potrzebuję jakiś kojący środek, jakby kogoś coś pogryzło albo pocięły owady.

Zamknął drzwi i nalał wina do dwóch kieliszków. Ja, wiadomo, mimo problemu z nogą od razu się uśmiechnęłam.

– Dzięki.

– Jak to się stało, Rheo?

– Nuada podskoczył, chciał mnie złapać i drasnął

szponami, więc Epona natychmiast mnie stamtąd zabrała.

Zauważyłam, jak szczęki ClanFintana na moment zacisnęły się.

– A gdyby nie zdążyła? Spóźniła się o mgnienie? To staje się zbyt niebezpieczne, Rheo – powiedział po chwili. –Dzisiejsza wyprawa powinna być ostatnią. Jak sądzisz, czy Nuada jest już gotów ruszyć na Świątynię Muz?

– Myślę, że tak. Oczywiście zyskamy pewność, kiedy wyjdą z Warowni, ale moim zdaniem jest gotów. Wiesz, udało mi się go maksymalnie wkurzyć.

– Wku...?

– Jak ktoś jest wkurzony, to znaczy że jest zły, a maksymalnie wkurzony, no, sam już wiesz.

– Tak, wiem. – Nachylił się nade mną, pogłaskał po policzku i jak zwykle odgarnął mi włosy z czoła. – Drogo zapłaci za to, że śmiał cię tknąć – powiedział cicho, ale przez to strasznie groźnie.

Pomyślałam, jakie to cudowne mieć kogoś takiego u swego boku.

A potem ktoś zapukał i ClanFintan podszedł do drzwi, za którymi, jak można się było spodziewać, stał strażnik.

– Przyniosłem maść, milordzie. Carolan kazał powiedzieć, że w każdej chwili może tu się zjawić.

– Podziękuj mu i powiedz, że nie ma takiej potrzeby.

Wracając do mnie, zapalił lampę olejną, postawił ją we wnęce tuż za nami i przystąpił do ponownych oględzin mojej nogi.

– Nie jest tak źle – oznajmiłam. – Po prostu piecze.

Szczerze mówiąc, piekło, jakbym wlaźła w gniazdo os, ale nie miałam zamiaru zachowywać się jak mięczak.

ClanFintan, który z uwagą przyglądał się mojej stopie, minę wciąż miał niewesołą.

– Rheo, czy zdajesz sobie sprawę, że rany odniesione przez ducha są o wiele groźniejsze niż rany na ciele?

– Naprawdę? – Wzruszyłam ramionami. – Przyznam się, że jeśli chodzi o tego rodzaju sprawy, wiem bardzo niewiele.

– Słuchaj wewnętrznego głosu, Rheo. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak dużo wiesz. A teraz proszę, leż spokojnie i skup się. Skup się na jednym życzeniu. Niech twój duch wyzwoli się spod wpływu złych mocy.

Zrobiłam, co kazał. Cholerna stopa bolała okropnie, sto razy bardziej niż powinna przy takich draśnięciach. Kiedy ClanFintan zaczął ostrożnie wcierać balsam, prawie zwinęłam się z bólu.

– Rheo, proszę, skup się i myśl tylko o jednym. O swoim duchu. O tym, że chcesz być cała i zdrowa. I powtarzaj za mną...

– Zaczął cicho nucić w tym swoim niezrozumiałym dla mnie języku.

Nucił niskim hipnotyzującym głosem, a ja kilkakrotnie powtórzyłam za nim słowo w słowo:

– Cuimhnich, tha mi gle mhath... Cuimhnich, tha mi gle mhath... Cuimhnich, tha mi gle mhath...

Nucił, jednocześnie wcierając mi w stopę chłodny balsam.

Zamknęłam oczy, już nie powtarzałam niezrozumiałych słów, słuchałam ich tylko, koncentrując się maksymalnie na tym, że mam być zdrowa. Zdrowa na ciele i na duszy. Uświadomiłam sobie bowiem, że ClanFintan ma rację. Chodzi nie tylko o draśnięcia. Spotkanie z Nuadą w jakimś stopniu mnie zbrukało. Ukazałam mu się naga, przyzywałam go do siebie, kusiłam, z własnej nieprzymuszonej woli wykonując obleśne gesty. Teraz miałam poczucie, że część tego najgorszego, najbardziej obrzydliwego zła, którego uosobieniem jest Nuada, wniknęła do mojej duszy.

Trzeba ją stamtąd wygonić.

Chwila, kiedy autentycznie z całego serca zapragnęłam, by całe to zło uleciało ze mnie, była początkiem wyzwolenia.

Czułam, po prostu czułam, jak zło zaczyna zanikać we mnie, jak znika całkowicie. Moja dusza jest czysta i szczęśliwa, a żaden stwór nie będzie przerabiał jej na swoją modłę.

Pieczenie w stopie też ustało. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam rozpogodzoną twarz ClanFintana.

– Obejrzyj swoją nogę, Rheo.

Pomógł mi usiąść tak, bym mogła podwinąć nogę i obejrzeć stopę od spodu. Spojrzałam i doznałam szoku, bo po draśnięciach nie pozostało ani śladu.

Znikły tak samo jak ból.

Byłam zachwycona.

– ClanFintanie, co znaczyły te słowa, które nuciłeś, a ja powtarzałam?

– Jestem zdrowa. Nie zapominam o tym.

– To wszystko?! A ja myślałam, że to jakieś kunsztowne zaklęcia!

Zaśmiał się, przyciągnął mnie i pocałował bardzo mocno.

– To tylko kilka słów w Starym Języku, a cała magia była w tobie, Rheo.

– We mnie? Trudno uwierzyć – zaprotestowałam, rozsiadając się wygodnie wtulona w jego pierś. – Byłam pewna, że rzucasz na mnie jakieś czary.

Znów się roześmiał i żartobliwie szturchnął palcem czubek mojego nosa.

– Dziś na pewno nie. A tak w ogóle, to uważam, że powinnaś już spać.

– Jesteś pewien?

Skubnęłam wargami jego szyję. ClanFintan błyskawicznie pochylił głowę i odszukał moje usta. Miałam wrażenie, że w pokoju robi się zdecydowanie cieplej, a mi osobiście bardzo, ale to bardzo przyjemnie. Tak rozkosznie, że po wydaniu z siebie cichutkiego jęku szepnęłam do ust męża:

– A nie mógłbyś odprawić tych swoich czarów, no wiesz, o co mi chodzi...

– O zmianę postaci? – odszepnął, a jego ręce nieustrudzenie głaskały moją talię i pośladki. – Tej nocy nie mogę.

Wykręciłam się i przycisnęłam się z całej siły do jego szerokiej piersi, bo wtedy mogłam ustami dotrzeć do jego ucha.

– Dlaczego?

ClanFintan, zanim odpowiedział, najpierw odsunął mnie od siebie, a potem bezceremonialnie wsunął sobie pod pachę, ściślej wetknął mnie tam. Zapewne w ten sposób chciał mnie unieszkodliwić. Ale ja i tak miałam odrobinę satysfakcji, bo jego oddech zdecydowanie przyśpieszył, a policzki podejrzenie zmieniły barwę.

– *Jutro wyruszamy do Świątyni Muz, Rheo, więc nie wolno mi dziś tracić sił na zmianę postaci – powiedział, odgarniając z mojego czoła loki.*

Tak szybko?! Byłam przerażona.

– *Ale dlaczego już jutro, ClanFintanie? Na Eponę, dlaczego?!*

– *Po tym, co wydarzyło się tej nocy, jestem pewien, że Nuada podjął decyzję, by jak najszybciej wyjść z Warowni.*

Z kolei ja zebrałem już cały legion centaurów. Moi wojownicy są gotowi do wymarszu.

– *Kiedy wyrusza moja straż?*

– *Też jutro, wczesnym rankiem. Idą w stronę jeziora.*

– *A jak z posiłkami? Mieliliśmy otrzymać wsparcie podczas ataku od strony zachodniej.*

– *I McNamara, i Woulff przysłali wiadomość, że ich oddziały dołączą do nas. Wysłąłem tam kilku centaurów pod dowództwem Connora, by objęli komendę nad ich wojownikami.*

– *Jak to dobrze, że nam pomogą! Ale w końcu argument był nie do zbiccia, prawda? Nikt normalny nie będzie czekał*

z założonymi rękami na stwora, żeby uprowadził mu kobietę i zgwałcił!

– *Oczywiście. Połtaniec mówił, że obaj, i McNamara, i Woulff wpadli w gniew. Czyli... zaraz, jak ty to mówisz? Aha.*

Byli wkurzeni maksymalnie!

Mimo że rozmawialiśmy o bardzo poważnych sprawach, nie mogłam się nie roześmiać.

– Możesz jeszcze, kochany, dodać: totalnie.

– A więc totalnie. McNamara owdowiał zeszłej zimy i już wziął sobie nową żonę, młodą i piękną. A ta, kiedy usłyszała o okrucieństwie Fomorian, od razu go pogniła. Powiedziała mu, że jeśli chce, by mu tej zimy grzała łóżko, musi przyłączyć się do walki z tymi stworami.

– Mądra dziewczynka... – powiedziałam bardzo sennym już głosem. – Trzeba jej będzie kiedyś podziękować.

– Najpierw się wyśpij. Wyruszamy w południe.

Wtuliłam się w ciepłego męża i po chwili, ukotłyszana tym ciepłem i czułością ręki, niestrudzenie głaszczącej mnie po głowie, zapadłam w sen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Nadal uważam, że powinnam jechać z tobą!

Alanna prawie jęczała, ja natomiast wzdychałam z powodu jej lamentu, a także, nie ma co ukrywać, z zachwyty nad rewelacyjnymi bryczesami z mięciutkiej skóry, które właśnie wkładałam.

– Alanno, bardzo bym chciała, żebyś jechała razem z nami, ale zrozum, nie wolno ci stykać się z chorymi na ospę.

– A tutaj mogę?!

– Rozmawialiśmy już o tym. Tutaj mamy wszystko pod kontrolą, natomiast nie wiadomo, co się dzieje w Świątyni Muz.

Najprawdopodobniej wszystko jest zainfekowane.

– Wiem, ale i tak mi się nie podoba, że jedziesz beze mnie!

– Też nie jestem tym zachwycona, ale wiem, że na pewno bardzo by mi się nie podobało, gdybyś umierała na ospę, Alanno.

Podła mi jeden z moich butów. Spojrzałam na podeszwę i musnęłam palcami gwiazdę wyżłobioną w obcasie.

Uśmiechnęłam się rozczulona i wzruszona faktem, że gdziekolwiek pójdę, zawsze zostawię za sobą gwiazdy.

Podniosłam głowę i spojrzałam na przyjaciółkę, która wciąż miała tę swoją jednoznaczną minę pod tytułem: Zaraz się rozryczę.

Alanna spojrzała na obcas.

– Rhiannon nigdy nie zauważyła tych gwiazd – powiedziała z goryczą.

– A ja uważam, że są wspaniałe. – Uśmiechnęłam się, starając się zrobić to jak najcieplej. Skutek był pozytywny, choć na razie minimalny, w każdym razie kąciki ust przyjaciółki leciutko drgnęły. –

A co do Rhiannon, droga Alanno, to ustaliłyśmy już raz na zawsze. Była wyjątkowo wredna. – Nareszcie. Alanna, słysząc jeden z naszych ulubionych przerywników, uśmiechnęła się. – A ty jesteś moją przyjaciółką!

– dokończyłam, chwytając ją za rękę, i zmusiłam, żeby przysiadła obok mnie. Dopiero wtedy wysunęłam ostateczny argument: – Alanno, gdyby stało ci się coś złego, bo uważałaś, że musisz być przy mnie i opiekować się mną... O nie, ja bym tego nie przeżyła!

– Będę wciąż o tobie myśleć – zaszemrała zbolatym głosem. – Martwić się o ciebie...

– Niepotrzebnie, kochanie. Doskonale wiesz, że ClanFintan nie dopuści, by coś złego mi się przytrafiło. Zamiast martwić się o mnie, pilnuj lepiej swojego Carolana, żeby nie padł ze zmęczenia. Sila jedzie przecież z nami, a twój mąż znów będzie miał za mało pomocnic i za dużo chorych na głowie.

– Masz rację. Carolan mnie potrzebuje.

Jej głos z drżącego niepokojem natychmiast zmienił się w rozmarzony, wiadomo, jak to u świeżo upieczonej mężatki.

– I nie zapominaj, Alanno, że w świątyni wszystko zostaje na twojej głowie. Przecież ty tym wszystkim zarządzasz.

Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybyś pojechała z nami?

– No... może rzeczywiście nie byłoby najlepiej.

– A więc widzisz. A kiedy ta cała historia z Fomorianami się skończy, trzeba będzie wyszkolić jakąś bystrą kobietę na twoją zastępczynię i wreszcie będziecie mogli z Carolanem wyjechać gdzieś na dłużej. Wypoczniecie, nacieszycie się sobą.

Może... – trąciłam ją żartobliwie głową w ramię – może pomyślicie o dzidziusiu? O ile już nie zrobiliście czegoś w tym kierunku...

– Rheo!

Teraz trąciła mnie Alanna, oczywiście rozpromieniona.

Pośmiałyśmy się jeszcze trochę, po czym z przykrością musiałam zarządzić koniec żartów.

– *Idziemy, Alanno. – Wstałam i potupałam trochę, żeby stopy dobrze się ułożyły w nowych butach.*
– *Pośpieszmy się.*

ClanFintan był już trochę zły, że tak długo żegnałam się z chorymi.

Może i faktycznie za dużo czasu spędziłam w pokoju chorych, nie spodziewałam się jednak, że rozstanie z nimi będzie aż tak trudne, choć przecież nie żegnałam się z nimi na zawsze. Ale ci biedni ludzie tak strasznie cierpieli. Znowu zmarło kilka osób, a nowi chorzy napływali nieustannie, wielu w początkowym stadium choroby, niestety wielu też w stanie krytycznym. Carolan twierdził co prawda, że epidemia osiągnęła już swoje apogeum i zaczyna wygasać, jednak jakoś nie bardzo w to mogłam uwierzyć. Przekazał mi też nadzwyczaj pomyslną wiadomość. Kristianna, moja mała miłośniczka koni, będzie żyła, tak samo jak Tarah. Jeśli o nią chodzi, to Sila mówiła mi już wcześniej, że jej zdaniem Tarah, choć umieszczono ją w sali najciężej chorych, na pewno pokona chorobę.

Wyszłyśmy na zadziwiająco pusty korytarz. Jeszcze godzinę temu, kiedy po wyjściu od chorych szłam do siebie, żeby wykapać się przed podróżą i ubrać odpowiednio, kłębił się tu dziki tłum i ludzi, i centaurów. Naprawdę dziki tłum, dlatego pomyślałam sobie, że miło będzie, gdy ten korytarz wreszcie przestanie być miejscem publicznym i znowu stanie się korytarzem do mojego prywatnego użytku.

Kiedy strażnik otworzył przede mną drzwi na dziedziniec, natychmiast rozległy się głośnie okrzyki:

– *Bogini!*

– *Błogosławiona Epony!*

– *Oby szczęście nigdy cię nie opuściło, lady Rhiannon!*

– *Nasza miłość będzie razem z tobą, Wybranko Epony!*

Dziedziniec wypełniony był szczelnie ludźmi i centaurami.

Wszyscy wznosili radosne okrzyki i machali do mnie.

Wyprostowałam się więc, uniosłam głowę i chwyciwszy za rękę Alannę – nie daj Boże, żeby mi się teraz gdzieś zawieruszyła! – ruszyłam przed siebie wąskim chodnikiem przez rozstępujący się tłum. Nie ukrywam, że szłam z duszą na ramieniu. Staralam się jednak trzymać fason. Też machałam, też pokrzykiwałam, co moim zdaniem w takiej sytuacji powinno pokrzykiwać Wcielenie Bogini:

– *Dziękuję! Bardzo sobie cenię waszą przychylność!*

Będzie mi was bardzo brakowało! Dziękuję!

W taki więc sposób przeszliśmy z Alanną przez dziedziniec, wyszliśmy przez drzwi, które zidentyfikowałam jako frontowe wejście do świątyni, te, przed którymi była fontanna z koniem. Kawalek dalej widać było zewnętrzny mur obronny, a w nim Wielką Bramę usytuowaną vis-a-vis frontowych drzwi świątyni.

Poszliśmy więc przed siebie, przeszliśmy przez Wielką Bramę i tu z wrażenia dosłownie zabrakło mi tchu. Bo to, co zobaczyłam za murami, było po prostu nieprawdopodobne.

Przede mną rozpościerało się prawdziwe morze głów centaurów.

Centaurów, istot zjawiskowych, ludzi stopionych z siłą i pięknem konia. Porażali swoją urodą i mocą, swoją niezwykłością.

Na mój widok wydały z siebie jeden przepotężny okrzyk:

– Sławmy Eponę!

A ja od razu dostałam gęsiej skórki, i to nie tylko na ramionach. Na całej długości swoich rąk. Przypomniałam też sobie, co twierdził Owidiusz. Uroda to dar bogów. Jeśli tak, to tych wojowników bogowie obdarowali wyjątkowo szczerze.

Najpiękniejszy z nich (przynajmniej moim zdaniem) zbliżył się do mnie, skłonił pięknie i podniósł moją rękę do ust.

I znów zewsząd rozległy się okrzyki na moją cześć, wznoszone i przez ludzi, i przez centaury.

– Jesteś gotowa, milady? – spytał ClanFintan.

– Tak.

Po raz ostatni uściskałam Alannę, po czym odwróciłam się do ludzi, którzy tłumnie wylegli ze świątyni, i przemówiłam, starając się bardzo, by mój belferski głos osiągnął najwyższy pułap swoich możliwości i docierał jak najdalej, od uszu wszystkich.

– Na czas mojej nieobecności władzę w świątyni przejmuje lady Alanna!

Przez tłum przeszedł szmer oczywistej aprobaty, wiele osób uśmiechnęło się z zadowoleniem. Na Alannę nie musiałam patrzeć, i tak wiedziałam, że jest czerwona jak piwonia.

– Kiedy będę daleko, proszę, wspomnijcie o mnie w waszych modlitwach. – Uśmiechałam się, czując jednocześnie, że z wielkiego wzruszenia łzy zaczynają napływać mi do oczu. – Bo ja o was nigdy nie zapomnę. Zawsze będziecie ze mną, w moich myślach i w moim sercu. A z wami zostaje błogosławieństwo Epony. Będzie tu zawsze i wszędzie, jak powietrze dookoła, które wciągacie do płuc!

Jeszcze jeden uśmiech przez łzy i odwróciłam się do męża, wyciągnęłam do niego rękę, a ClanFintan wsadził mnie na swój grzbiet i zagrzmiał, dając sygnał do wymarszu. Żegnana okrzykami ludzi armia centaurów ruszyła klusem. Dzieci biegły za nami, krzyczały głośno i sypały kwiatki.

Nagle, wśród tego rejuwachu, usłyszałam głośne, znajome rżenie i autentycznie omal się nie rozryczałam. Przecież to Epi!

Moja Epi! Pędzi do mnie! Z rozwianą srebrzystą grzywą pędzi do mnie jak wichur!

Zatrzymała się tuż przede mną. ClanFintan dał ręką znak i cała armia centaurów karnie znieruchomiała. Epi trąciła mnie pyskiem, a ja, połykając łzy, pocałowałam wielki, ciepłusienki policzek i wyszeptalam, jak bardzo jestem szczęśliwa, że wreszcie ją widzę. Tak piękną, zdrową i tak kochaną. Cudnie, że przyszła się ze mną pożegnać.

Na horyzoncie pojawiło się kilka nimfetek wyraźnie podążających za klaczką.

– Kochana moja, musisz zostać – wyszeptalam, głaszcząc Epi po aksamitnych chrapach. – Gdyby stało ci się coś złego, po prostu bym umarła. Dlatego musisz zostać, skarbie, nie ma innej opcji.

Epi dmuchnęła na mnie i szczypnęła leciutko w brodę. Taki buziaczek na pożegnanie. Potem cofnęła się kilka kroków, zadarła łeb i przysiadając leciutko na tylnych nogach, wykonała półobrót. A potem z efektownie odsadzonym ogonem pogalopowała z powrotem do stajni, ponownie zostawiając daleko w tyle sfrustrowane nimfетки, które pędziły co sił

w nogach.

– Bardzo mądra klacz. – ClanFintan był wyraźnie pod wrażeniem. Dał znak, żeby ruszać dalej.

Słyszałam, jak podążające za nami centaury też wychwalają moją Epi.

Po chwili zorientowałam się, że podążamy ku rzece. Na moje oko kroczyliśmy tą samą drogą, którą pokonałam kilka dni temu, kiedy udzielałam porannego błogosławieństwa.

Nachyliłam się do przodu i oparłam brodą o ramię męża, dzięki czemu mogłam mówić wprost do jego ucha:

– ClanFintanie, czy będziemy jechać na północ wzdłuż rzeki?

Lekko przekręcił ku mnie głowę, żebym go lepiej słyszała.

– Tak, ale przekroczymy ją i pojedziemy wzdłuż wschodniego brzegu przez las Doire nan Each. Trochę nadłożymy drogi, co w sumie wyjdzie nam na dobre. Droga przez Bagna Ufasach jest krótsza, jednak podmokły teren sprawia dużo trudności centaurom. Musielibyśmy zwolnić tempo, a przecież zależy nam na tym, by jak najszybciej dotrzeć do celu.

– Wszystko jasne – powiedziała i w dowód uznania pocałowała go w ucho. – Doire nan Each... Jak to ładnie brzmi. Co to znaczy?

– W naszym Starym Języku znaczy to Zagajnik Koni.

Prawdopodobnie tak nazwano ten las, ponieważ oddziela Partholon od Równin Centaurów. Ale ta nazwa jest myląca, bo to żaden zagajnik, tylko stary bór pełen olbrzymich dębów. Poza tym nigdy w życiu nie widziałem tam ani jednego konia.

Pokiwałam głową, jednak myślami byłam już nieobecna.

Bo zaraz, chwileczkę, ClanFintan wspomniał o przejściu przez rzekę! Tę rzekę już widziałam tamtego poranka, kiedy udzielałam błogosławieństwa. Bardzo piękna rzeka, bardzo było przyjemnie na nią spojrzeć. Ale absolutnie nie miałam ochoty pokonywać jej wpraw.

– ClanFintanie, czyli jak? Będziemy musieli przez rzekę przepłynąć?!

– Ależ nie! – zaprzeczył ze śmiechem. – Na północ od świątyni na rzece jest most. To ten stary most, o którym opowiadał Carolan. Owszem, jest zniszczony, ale damy radę go sforsować.

– Całe szczęście! Przecież te moje skórzane spodnie nigdy by nie wyschły!

– Chyba tak – ClanFintan spojrział na mnie z uśmiechem przez ramię – a ja nigdy bym sobie nie wybaczył, że to przeze mnie musisz chodzić w mokrych portkach!

Żartobliwie uszczypnęłam go wargami w szyję.

– Wiesz co? Może już nie mówmy o moich spodniach, bo jeszcze czegoś ci się zachce, a słyszałam, że nie wolno ci marnować sił!

– Oczywiście!

– I wielka szkoda! Bo nie mam nic przeciwko temu, żeby pan się nimi zainteresował. Nie tylko nimi. – Chrząknęłam znacząco. – Ale tylko wtedy, kiedy pan zmieni postać i stanie się ciut mniejszy, panie Za Duży Do Mojego Łóżka!

ClanFintan znów spojrział przez ramię, w jego oczach widać było nietrudny do rozszyfrowania błysk, niestety kontynuacji naszego małżeńskiego flirciku nie było, ponieważ docieraliśmy już do miejsca, gdzie rzeka po skręceniu w lewo płynęła na zachód. I tam właśnie, w niewielkiej odległości od zakola, stał ów sławny most. Dla kogoś takiego jak ja konstrukcja wyglądała bardzo osobliwie. Była to po prostu monstrualnej wielkości kładka z grubo ciosanych bali powiązanych powrozami, która leżała na bardzo wysokich, też oczywiście drewnianych przęsłach.

Ta kładka wcale nie wyglądała na bezpieczną.

– ClanFintanie, a czemu ten cholerny most jest taki wysoki?

– Żeby mogły pod nim przepływać barki. Rzeka Geal jest bardzo ważną drogą wodną.

Zgadza się. Podczas pierwszej nocnej wyprawy w roli ducha widziałam na rzece łodzie i barki. Ale co tam łodzie, co tam barki. Teraz najbardziej istotną sprawą była ta kładka, tam, w górze...

Spokojnie, dziewczyno, tylko bez paniki. Najlepiej wymyśl sobie coś, co doda ci odwagi. Na przykład: przechodzenie przez most jest bez wątpienia bezpieczniejsze niż jazda samochodem.

Most, niby gigant, w sumie nie był szeroki. Ramię w ramię mogły przejść po nim tylko dwa centaury, dlatego ClanFintan zaczął wykrzykiwać całą serię rozkazów powtarzanych przez kilku starych, niedźwiedziowatych podwładnych (przypominających mi Johna Wayne'a w „Zielonych Beretach”), rozstawionych między szeregami.

To, co wyrzucał z siebie ClanFintan, a oni powtarzali, brzmiało mniej więcej tak:

– KOLUMNASTAĆ! BACZNOŚĆ!

CODRUGIRÓWNAJWPRAWO! RUSZAĆSIĘRUSZAĆ!

NAPRZÓDMARSZ!

Ci wojskowi mają jednak coś w sobie. Przynajmniej dla mnie.

Po przegrupowaniu kolumna znów ruszyła żwawym klusem. Jak powiedziałam, teraz centaury biegły parami, a tych par były dziesiątki, setki, po prostu gigantyczny wąż. ClanFintan galopował na samym początku, nieuchronnie zbliżając się do mostu.

– Trzymaj się mocno, Rheo. Podejście jest bardzo strome.

Zamknęłam oczy i chwyciłam się męża bardzo mocno, po prostu kurczowo. ClanFintan wspiął się po brzegu, wszedł na most i natychmiast się poślizgnął, a mój żołądek natychmiast znalazł się gdzieś na poziomie kostek u nóg. Ale mój mąż błyskawicznie odzyskał równowagę i parł do przodu. Za nim centaury. Na starym moście zadudniło, a w mojej głowie natychmiast ożyło wspomnienie o tym, jak próbowałam przekroczyć Royal Gorge Bridge w Kolorado. Nawet kumpelka wymachująca butelką mojego ulubionego wina nie zdołała mnie skłonić, żebym doszła chociaż do połowy mostu.

Powieki miałam zaciśnięte, a w duchu, składając coś w rodzaju neurotycznego hołdu dla „Francuskiego pocałunku”

(jeden z moich ukochanych filmów) zaczęłam nucić bezgłośnie.

Melodia pochodziła z „Kocham Paryż wiosną”, a tekst był już mój:

Nienawidzę mostów wiosną.

– Rheo, jak tam z tobą?

Głuchy tętent setek kopyt prawie zagłuszał ClanFintana.

– W porządku – odparłam, oczy wciąż mając zamknięte. – Powiedz mi, kiedy ten cholerny most się skończy.

Skończył się. Wreszcie nadszedł ten upragniony moment, kiedy kopyta męża zaczęły znów uderzać o twardą ziemię.

ClanFintan zatrzymał się i chyba ustawił się gdzieś z boku.

Chyba, bo oczy nadal miałam zamknięte.

W każdym razie stanął i zawołał:

– Dougal! Ty i ClanCullen poprowadzicie kolumnę drugim szlakiem na północ!

Ja w tym czasie doszłam już do siebie na tyle, że byłam w stanie leciusiętko unieść powieki i zobaczyłam, jak Dougal oraz jakiś wyjątkowo umięśniony dereszowaty centaur ustawiają się na czele kolumny. Dougal – co za ulga – wyglądał już o wiele lepiej, przede wszystkim z twarzy znikła bladość.

Gdy mój mąż dał znak, kolumna ruszyła, a my nadal staliśmy z boku i patrzyliśmy na przeciągające przed nami centaury.

– Dougal wygląda już nieźle – rzuciłam półgłosem.

ClanFintan, wiadomo, od razu spojrzał na mnie przez ramię.

– Na pewno lepiej niż ty! Jesteś blada jak ściana. Aha, byłbym zapomniał! Przekroczyliśmy już most.

– Och, nie żartuj sobie ze mnie.

Spojrzałam trwożliwie na most, który dla mnie, jak każdy most, przede wszystkim niósł ze sobą możliwość przez duże „M” najstraszliwszego wypadku.

– Ja po prostu bardzo nie lubię mostów – wyszeptałam mężowi do ucha.

Mąż, jak to mąż, przede wszystkim się zaśmiał, skutkiem czego mijające nas centaury elegancko odwzajemniły uśmiech.

– Ty, Rheo? Ty, która narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, potrafisz kusić przywódcę hordy demonów?

Ty boisz się mostu?!

– Tak. A bo co?

– A to... – chwycił mnie za rękę i ucałował moją dłoń – że wciąż jesteś dla mnie zagadką.

– Owszem, potrafię zaskakiwać. Dobrze, żebyś o tym pamiętał.

ClanFintan dalej się śmiał, czyli spodobało mu się, że w tym momencie wierna jestem kanonom współczesnej Amerykanki, która wypisała sobie na sztandarze: Powab i Tajemniczość. (On, oczywiście, nie miał o tym bladego pojęcia). Albo też i pomyślał, że jestem okropnie głupia. Tak czy inaczej, o nic już nie pytałam. W każdym małżeństwie czasami lepiej to i owo przemilczeć.

– Lady Rheo!

Uśmiechnęłam się i pomachałam gorliwie do ślicznej Victorii, która właśnie z grupą (stadkiem? sforą?) Łowczyń przechodziła przez most.

– Tak, Vic?

– Spotykamy się wieczorem przy ognisku?! – wrzasnęła.

– Jasne! Umowa stoi! – odkrzyknęłam równie głośno.

I dalej trwaliśmy z mężem na poboczu szlaku, wpatrzeni w przeciągających majestatycznym klusem centaurów. Wciąż nowych i nowych...

– ClanFintanie, ile jest centaurów w legionie?

– Okrągły tysiąc! – odparł z dumą.

A ja pomyślałam sobie: Daj Boże... Bogini Epono...

Błagam, by ten tysiąc wystarczył do pokonania potworów...

– Hagan!

Donośny głos ClanFintana przebił się przez dudnienie kopyt i z kolumny odłączył wielki, kary centaur. Podbiegł do nas. Z ClanFintanem wymienił słowa powitania, przede mną skłonił głowę z wielkim szacunkiem, a ja po prostu wlepiłam w niego oczy. Gapiałam się bez żenady, było to silniejsze ode mnie. Bo jeszcze nigdy nie widziałam tak wielkiego konia i tak czarnego. Był tak czarny, że jego sierść połyskiwała na niebiesko jak skrzydło kruka. Włosy na głowie też kruczoczarne, czarna też była skóra na ludzkiej części ciała.

W tej absolutnej czerni jedyne jasnymi akcentami były śnieżnobiałe zęby i posiwiałe skronie. W sumie istota niezwykła. Taki trochę lotrzyk w stylu Zorro. Facet czarny i tak słodki, że aż chciało go się go polizać. (Och, tylko przypadkiem nie bierzcie tego dosłownie! Nic z tych rzeczy, jestem przecież szczęśliwą mężatką! A ten czarny facetokoń gigant wyglądał po prostu niesamowicie uwodzicielsko. Ciacho przez naprawdę bardzo duże „C”).

Po krótkiej wymianie zdań Hagan z powrotem dołączył do kolumny, ClanFintan również. Pogalopował na czoło oddziału.

Dougal i Cullen zasalutowali mu i wrócili na swoje miejsca.

ClanFintan, po wysunięciu się na czoło kolumny, nakazał

przegrupowanie. Centaury znów ustawiły się czwórkami, po czym na rozkaz ClanFintana ruszyły galopem tym swoim niezmordowanym galopem, z którym miałam okazję się już zapoznać podczas

jazdy do Zamku MacCallana i z powrotem.

Oczywiście, że był to świetny sposób przemieszczania się z miejsca na miejsce, niemniej konwersacja była utrudniona.

Dlatego chwilowo skupiłam się na podziwianiu widoków.

Szlak, który pokonywaliśmy, ciągnął się między brzegiem rzeki a skrajem lasu. Rzeka była po prostu urzekająca. Piękna, szeroka i dzika, pachniała czystą wodą i kamieniami. Ten cudny zapach znałam już, urzekł mnie tamtej nocy, kiedy razem z Epi ruszyliśmy na samotną wyprawę. Ale teraz to nie rzeka przyciągała mój wzrok, tylko las. ClanFintan miał rację. Doire nan Each nie było skromnym zagajnikiem, lecz bardzo starym lasem, właściwie puszczą. Dęby były niebotycznie ogromne, tak wysokie, że ja, która przecież siedziałam na grzbiecie męża, ledwie sięgałam dolnych gałęzi. Ziemia między drzewami zasłana była grubą warstwą rudych zeschniętych liści, gałęziami i konarami.

Przeciągające wojsko zakłóciło mieszkańcom lasu spokój, co zresztą głośno zostało nam oznajmione. Ptaki wściekle pomstowały na swój sposób, rozkrzyczały się też wiewiórki.

Między drzewami mignęła sarna z sarniątkiem, umykające przed nami.

Suche liście szeleściły pod kopytami i szeleściły, a moja głowa była coraz cięższa i cięższa...

Jak zawsze czujny ClanFintan wyciągnął za siebie rękę i objął mnie w pól.

– Oprzyj się na mnie i postaraj się zasnąć. Stanowczo brakuje ci snu.

Ziewnęłam szeroko i ukryłam twarz w jego plecach, wciągając mocno w płuca ten jedyne, niepowtarzalny zapach mojego męża. Miałam już tylko siłę wymamrotać:

– Wciąż każesz mi spać...

Odpowiedź doleciała z przodu, razem z wiatrem:

– Lubię się tobą opiekować.

– To dobrze... – Znow ziewnęłam. – Proszę, pilnuj, żebym nie spadła.

– Ze mnie nigdy nie spadniesz – zapewnił, obejmując mocniej.

Zamknęłam oczy, po chwili spałam już ukołysana szelestem lasu i miarowym postukiwaniem kopyt.

Byłam na statku wycieczkowym, który kołysał się leniwie na błękitnym Morzu Karaibskim. Obok mnie, na leżaku w kolorze fuksji, leżał Sean Connery, a raczej 007. W basenie przed nami pluskała się cała ławica delfinów, które próbowały mnie namówić, bym dała sobie spokój z tym 007 i weszła do wody pobawić się z nimi. Delfiny bawiły się czymś, co podobne było do piłki. Podrzucały to coś nosami, głośno bijąc ogonami o wodę. Przyjrzałam się temu czemuś lepiej i zorientowałam się, że jest to głowa mojego byłego męża...

Zaśmiałam się i tak roześmiana, w formie już niematerialnej, uleciałam z grzbietu ClanFintana i na moment zawisłam nad wielkimi dębami. Tę chwilkę wykorzystałam na przynajmniej mentalne otrząśnięcie się w celu pozbycia się odrętwienia, niewątpliwego skutku długiej jazdy.

Jednocześnie spojrzałam w dół, na długi sznur centaurów.

Spojrzałam z dumą. Było ich tak wielu, wszyscy piękni, silni i odważni. Na pewno nie do pokonania.

– No dobrze – powiedziałam głosem naprawdę wykończonego, ledwie żywego czło... ducha. – Jestem gotowa, z tym że mam jedno pytanie: Jak często będziemy to robić dwa razy na dobę...?

Zostałam wystrzelona jak z katapulty, czyli tak jak poprzednim razem. Najpierw niosło mnie nad rzeką, która zlała się w wielką srebrzystą wstęgę, potem skierowano mnie na zachód. Tak, ku zachodzącemu już słońcu. A to oznaczało, że spałam długo, na pewno dłużej, niż myślałam. Aż zobaczyłam w dole jezioro. Wyteżyłam wzrok, ciekawa, czy nie dojrzę swoich wojowników, którzy rano wyruszyli ze świątyni. Mieli dojść do jeziora, przepłynąć je i w ustalonym miejscu czekać na centaurów. Niestety, nawet jeśli gdzieś tam byli, nie udało mi się ich wypatrzeć, bo leciałam zbyt szybko.

Przemknęłam nad gładką ciemnoniebieską taflą jeziora oraz nad Zamkiem Laragona, koło którego kręciły się wielkie czarne ptaki, i poleciałam w stronę gór. Wielkich, potężnych gór, budzących we mnie strach, co było dziwne, przecież ja kocham góry. (Nie, nie, na nartach jeżdżę raczej kiepsko, ale za to jestem absolutną mistrzynią w wysiadywaniu w swojej kwaterze i raczeniu się grzonym winem).

Tych gór bałam się. Na początku może nie była to jeszcze panika, raczej takie bardzo nieprzyjemne uczucie, kiedy podczas samotnego nocnego spaceru słyszysz za sobą czyjeś kroki.

Bardzo szybko jednak zrodził się z tego zwyczajny strach. Nie, to było coś więcej. Przeczucie, jak tamtej strasznej nocy, kiedy byłam w Zamku MacCallana. Wyczuwałam zło, zło monstrualne, którego uosobieniem byli Fomorianie.

Serce waliło mi jak młot. Starłam się je choć trochę uspokoić, koncentrując się maksymalnie na rozglądaniu się dookoła. Warowni nie widziałam, bo była za daleko, unosiłam się przecież nad pierwszym łańcuchem gór. Tylko unosiłam, wcale nie leciałam dalej, na północ. W pewnym momencie zniżyłam nieco lot i znów zawisłam wpatrzona w czarne, groźne sylwety gór. Po chwili przysunęłam się bliżej do jednej z nich, bardzo wysokiej i...

I moje rozszalałe serce nagle znieruchomiało. W ogóle przestało bić.

Zobaczyłam ich. Wylewali się zza tej właśnie góry do małej kotliny, parli do przodu. Całe mrowie obrzydliwych stworów. Szli w kompletnej ciszy i bardzo szybko. Dzięki skrzydłom nierówny, skalisty teren nie był dla nich żadnym problemem.

W szarości zmierzchu wyglądali jak gady.

– Odszukaj go – szepnęła Bogini.

Wykręciłam się w powietrzu i znów zesłam trochę niżej.

Teraz leciałam tuż nad głowami przywódców podążających na czele pochodu. Który z nich to Nuada? Niestety, dla mnie wszyscy wyglądali identycznie. Skrzydła na wpół rozłożone, głowy pochylone, jakby po prostu patrzyli pod nogi. Wszyscy bardzo wysocy, potwornie chudzi, prawie szkielety. Nie, za nic nie mogłam znaleźć tego cholernego Nuady.

Byłam wściekła, dlatego niewiele myśląc, nabrałam głęboko powietrza i wrzasnęłam:

– Hej, Nuado! Gdzie jesteś, mój słodziaku?

Jeden z Fomorian na czele pochodu wydał z siebie ten okropny, znany mi już dobrze syk, i zatrzymał się, przez co załamał się szyk. Maszerujący za nim w rzędzie Fomorianie zaczęli wpadać jeden na drugiego, w rezultacie też musieli się zatrzymać. Nuada, nie zwracając na nich uwagi, stał z zadartą głową i szukał mnie wzrokiem, a ja unosiłam się teraz dokładnie nad nim, i to w odległości naprawdę niewielkiej. Dlatego szybko pomodliłam się w duchu do Epony: Błagam Cię, Bogini, jeśli znów będzie próbował mnie złapać, zabierz mnie stąd natychmiast.

Nie lękaj się, Wybranko.

Ale i tak się bałam, po prostu okropnie. Niemniej pomna celu mojej misji, nachyliłam się i głosem ducha zaszeptałam wprost do ucha Nuady:

– Szukasz mnie?

Kiedy zaczynałam szeptać, moje niematerialne ciało praktycznie już leciało w górę. Na szczęście, bo Nuada wykonał

błyskawiczny obrót i podskoczył, ale jego ręka z rozcapierzonymi palcami sięgnęła tylko powietrznej pustki.

– Wyżej, chłopcze! Skacz, skacz!

Nagle poczułam znajomy dreszcz, znak, że stałam się półwidzialna. Nuada zobaczył mnie i zmrużył oczy. Jego towarzysze też musieli mnie dostrzec. Dowodem na to była ich... reakcja. Skrzydła i tak dalej.

Spojrzałam po sobie. No cóż, w sumie reakcja normalna, skoro jestem goła. Tak, kompletnie goła. Ale zacisnęłam zęby.

Trudno, czasami cel uświęca środki. Poza tym choć jestem widzialna, to zarazem i przeźroczysta. A to wielka różnica.

– Idziemy do ciebie, samiczko! – wypluł z siebie Nuada.

– Dobrze! – Posłałam ręką całusa jego uśmiechającym się po kretyńsku towarzyszom. Nuada warknął, a ja dalej, słodziutko: – Centaury nie mogą się doczekać, kiedy zetrą was w puch. Ja zresztą też.

Ulatywałam w górę coraz dalej, a mój szyderczy śmiech odbijał się szerokim echem od zbocza. Jeszcze raz, na moment, Epona zmieniła mnie znów w widzialną, ale przeźroczystą, potem już leciałam z powrotem...

– Ojej!

Siadłam prosto jak świeca i zamrugałam, zaskoczona blaskiem zachodzącego słońca.

– Rheo?

Odchrząknęłam.

– *Oni są już w drodze, ClanFintanie.*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, ClanFintan zarządził

postój. Powiedział, że kiedy wzejdzie księżyc, to oczywiście zrobi się jaśniej, niemniej noc to nie dzień, więc ryzyko złamania nogi przez centaura jest zbyt wielkie. Poza tym Świątynia Muz oddalona była już tylko o jeden dzień marszu, a przy założeniu, że do bitwy najprawdopodobniej dojdzie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, ta konkretnie noc jest ostatnią szansą na prawdziwy wypoczynek przed walną rozprawą z Fomorianami.

Już na samą myśl o bitwie z potworami skóra mi cierpła, jednocześnie jednak, kiedy wokół mnie były tysiące silnych, odważnych i dobrze uzbrojonych centaurów, wprost nie potrafiłam sobie wyobrazić, by ktoś mógł ich pokonać. Nawet takie demony wampiry jak Fomorianie.

Niebawem po zatrzymaniu się kolumny zapłonęły ogniska.

Łowczynie znikły w głębi lasu, jednak ze swym zadaniem uporały się błyskawicznie i wróciły ze świeżym mięsem, które nadziewano na patyki i pieczono nad ogniskiem. Ja, wiadomo, przede wszystkim przeprosiłam na chwilę i udałam się po prostu w krzaki. Potem miałam zamiar pójść wzdłuż rzeki i poszukać odpowiedniego miejsca, gdzie mogłabym choćby jako tako się odświeżyć. Oczywiście, kiedy ruszałam we wspomniane krzaki, ClanFintan, Dougal i cała chmara naprawdę ładniutkich centaurów proponowała mi bardzo głośno swoje towarzystwo.

Ale ja grzecznie odmówiłam (to znaczy każdemu po kolei powiedziałam, żeby pilnował swojego nosa).

Brzeg rzeki był bardziej stromy, niż się spodziewałam, miał

jednak jeden wielki plus, a mianowicie rosło tu całe mnóstwo dużych gęstych krzewów o odpowiednio dużych, miękkich liściach. Czyli kibel już znalazłam.

Po wyjściu z kibelka zesłam nad wodę i stanęłam tam, gdzie ziemia była porządnie wydeptana, prawdopodobnie przez spragnionych mieszkańców lasu. Spojrzałam na rzekę Geal, teraz, w srebrzystym świetle księżycy, po prostu zjawiskową.

Skrzyła się, jakby ktoś rozbił gigantyczny termometr i kropelki rtęci osiadły na powierzchni wody. Była niezmiennie piękna, ale jednak inna. Koło świątyni płynęła dość leniwie, a tu nurt był rwący, woda burzyła się i pieniała na kamieniach i skałach.

Spokojna rzeka zmieniła się w rzekę dziką, nieujarzmioną.

Takiej rzeki nie widziałam w moim starym świecie, choć zdarzyło mi się być nad Colorado River, Red River, także Rio Grande i Missisipi. Wszystkie są piękne i malownicze, zrobiły na mnie wielkie wrażenie, ale ta rzeka miała w sobie to, czego one już w sobie nie miały. Była autentycznie nieujarzmiona.

Zero komercjalizacji, dostosowywania się do potrzeb turystów.

Nadal była pulsem tej krainy.

Zanurzyłam ręce w lodowatej wilgoci i umyłam twarz, a potem piłam i piłam, wyczuwając w krystalicznej wodzie o niepowtarzalnym smaku jej siłę. Pierwotną siłę natury. Co wcale mnie nie przytłoczyło, tylko wręcz przeciwnie. Kiedy piłam, czułam, jak z każdym łykiem wstępują we mnie nowe siły.

Nagle w głowie zadźwięczały słowa wypowiedziane bardzo wyraźnie, niemal dobitnie:

– Tu jest twoje miejsce, Wybranko.

– Czy to możliwe? – na głos spytałam Boginię. – Chyba chciałabym w to uwierzyć... Tak, na pewno

chcę, ale zrozum, ja to tylko... och, ja to naprawdę nic szczególnego.

Na pewno osoba za mało szczególna, by zostać wybranką starożytnej bogini.

– A co podpowiada ci serce, Wybranko?

Tym razem głos był nieskończenie łagodny, kojący.

A moje serce... zaskoczyło mnie, i to bardzo, bo bez wahania oświadczyło, że właśnie tu jest mój dom. Tylko tu, nigdzie indziej.

– Pamiętaj, Wybranko, idź zawsze za głosem serca.

Zawsze...

Słodki głos zanikał, oddalał się jak liście unoszone przez wiatr.

Jeszcze przez dłuższą chwilę siedziałam nad głośną, rwącą rzeką, starając się przyswoić koncepcję swojej przynależności do tego innego świata i innego umiejscowienia w czasie.

Przyswoić fakt, że Bogini nazywa mnie swoją Wybranką.

Co tak do końca mi się jednak nie udało, bo nadal czułam się tym wszystkim przytłoczona, i to w niemałym stopniu. Ale cóż, nie poradzisz... Wstałam i zaczęłam wspinać się po stromym zboczu. Coraz bardziej stromym, w rezultacie już gdzieś w połowie wspinaczki zaczęłam dyszeć jak parowóz, a kiedy upragniony kres wspinaczki był prawie w zasięgu ręki, straciłam równowagę. Gdyby nie czyjeś usłużne – i bardzo silne! – ramię, na pewno poleciałabym w dół.

– Zaczęłam się niepokoić o ciebie – powiedział ClanFintan, spoglądając posepnym wzrokiem na

trasę, którą przed chwilą pokonałam (przy jego wydatnej pomocy). – Tu jest zbyt stromo, nie powinnaś była tu wchodzić. Mogłaś wpaść do rzeki!

– Teraz już wiem – mruknęłam, gorliwie otrzepując bryczesy.

– Chciałem przyjść wcześniej, ale wiem, że lubisz pobyć sama. Dlatego trochę odczekałem.

– Cholernie miło z twojej strony.

W bardzo kiepskim nastroju ruszyłam w stronę ogniska. Na szczęście ClanFintan błyskawicznie zrównał ze mną krok i objął

mnie ramieniem, a jego obecność zawsze wpływała na mnie stabilizująco. Teraz też. Stąd błyskawiczna decyzja. Koniec rozmyślań, koniec wątpliwości. Trzeba po prostu zaakceptować istniejący stan rzeczy. Bo chcę czy nie chcę, i tak jestem Wybranką Bogini, a moim mężem jest ClanFintan.

Od razu zrobiło mi się na duszy lżej, tym bardziej że zapachy unoszące się nad ogniskiem były po prostu zniewalające. Na mój nos to, co tam skwierczało, był to Bambi.

Smakowity Bambi, nie mogłam się po prostu doczekać, kiedy zatopię w jelonku (przepraszam, Bambi) zęby. Przy naszym ognisku zauważyłam Silę, z którą przywitałam się bardzo serdecznie, a zaraz potem podbiegł do nas nasz ładniutki Dougal.

– Milady! Proszę, położyłem kłodę koło ogniska, żeby milady miała na czym usiąść.

Kłoda leżała w idealnym miejscu. Uśmiechnęłam się do Dougala cieplutko i poklepałam go leciutko po ramieniu, jak to się robi z nastolatkiem albo ze szczeniakiem.

– Dziękuję, że o tym pomyślałeś. – Dougal, jak to Dougal, natychmiast poczerwieniał, ale nadal się uśmiechał, co prawda, jak to on, bardzo nieśmiało. – A dałbyś może radę zdobyć dla mnie

bukłak, najlepiej z czerwonym winem?

– Tak jest, milady!

I odkłusował.

– Młodzik... – mruknął zjadliwie mój małżonek.

Na co ja:

– Jest uroczy! Pamiętaj, niech ci tylko nie przyjdzie do głowy śmiać się z niego. Ty w jego wieku na pewno też byłeś rozbrajający!

ClanFintan tylko prychnął, a kilka centaurów, podsłuchujących bezczelnie, raptem zakasłało. Wiadomo, by stłumić śmiech.

Dougal wrócił po chwili z bukłakiem wina i siedmioma innymi i bardzo młodymi centaurami. Każdy z nich po kolei składał przede mną nerwowy ukłon, a ClanFintan dokonywał

prezentacji. Dwóch z nich znałam, bo brali udział w wyprawie do Zamku MacCallana. Pozostali też wydali mi się znajomi, przypuszczałam, że są z osobistej straży ClanFintana.

W chwili gdy Dougal podawał mi kawałek skwierczącego mięska nadzianego na patyk, do naszego ogniska podeszła Victoria, natychmiast wywołując wśród młodych centaurów wielkie poruszenie.

– Łowczyni, proszę, tu jest wolne miejsce! – zawołał jeden z nich, bardzo ładny kasztanek.

– Ale niedobre! – zaprotestował muskularny gniadosz. – W tamtą stronę leci dym z ogniska! Proszę

tutaj, Łowczyni, tu dym nie dolatuje!

Zauważyłam, że kilku jeszcze młodzików otworzyło usta, ale Victoria zamknęła je wszystkim, oświadczając:

– Bardzo wam dziękuję za uprzejmość, ale koniecznie muszę porozmawiać z lady Rhiannon.

Odebrała od Dougala kawałek mięsa (na moje oko wyjątkowo soczysty), nagradzając uroczego centaury miłym uśmiechem (byłam pewna, że Dougal zaraz zemdleje). Z gracją usiadła obok mnie, czyli koło mojej kłody, i robiąc odpowiednio zde gustowaną minę, wymamrotała coś bardzo niepo chlebnego o głupich źrebakach.

– Przecież to twoi wielbiciele... – szepnęłam do niej. – Czy ty tego nie rozumiesz?

Victoria wzruszyła lekceważąco ramionami i wbiła zęby w Bambi-na-patyku. Odgryzła, przeżuła, przełknęła i szepnęła:

– Och, młodym zawsze się marzy oswojenie Łowczyni...

I był to szept bardzo lekceważący, dający do zrozumienia, że te marzenia młodych tak naprawdę są marzeniami ściętej głowy.

A ja, zerknąwszy dookoła, stwierdziłam z zadowoleniem, że centaury zajęte były teraz rozmową z ClanFintanem, mogłyśmy więc z przyjaciółką pogadać swobodnie.

– Victorio... czy ty masz męża?

– Ja? – Prychnęła jak koń, przez nos. – Pewnie, że nie!

Mężczyźnie trzeba poświęcić bardzo dużo czasu. Stanowczo za dużo.

Roześmiałam się, mimo woli spoglądając na mojego małżonka. Dokładniej na jego profil, ponieważ stał bokiem.

Profil ClanFintana, jak i cała reszta, był po prostu idealny.

Musiał wyczuć mój wzrok, bo odwrócił się do mnie i uśmiechnął bardzo ciepłutko, po czym powrócił do rozmowy z chłopakami.

– Victorio, przecież to nie jest strata czasu! – zaoponowałam entuzjastycznie. – Cudownie mieć przy sobie męża!

Zdawałam sobie sprawę, że mówię jak zakochana idiotka, ale co tam! Przecież tak było. Wpadłam na amen.

– Dla ciebie nie jest to strata czasu, bo go kochasz, a ja jeszcze nie znalazłam miłości, więc jestem sama – odparła spokojnie, bez emocji, jakby ten stan absolutnie nie był dla niej powodem do zmartwienia. – Sporo Łowczyń nigdy nie wychodzi za mąż.

– Podejrzewam, że macie zawsze pełne ręce roboty.

– Ja na pewno. Jako Wielka Łowczyni mam obowiązek jeździć od stada do stada i uczyć młode Łowczynie, w rezultacie na inne sprawy pozostaje mi bardzo niewiele czasu. A już na głupie zaloty na pewno.

– Więc może ktoś powinien im to uświadomić? Rozumiesz, żeby w tych swoich podchodach byli śmielsi? – szepnęłam, dyskretnie wskazując na młodych centaurów, którzy już skończyli rozmowę z ClanFintanem. Teraz jedli, a każdy z nich co chwilę tęsknie popatrywał na piękną Łowczynię.

Victoria zaśmiała się i mrugnęła wesoło do jednego z gapiących się młodzików. Ten z wrażenia zgłupiał. Kawalek mięsa, który właśnie brał znad ogniska, wysunął mu się z rąk i wpadł w płomień. Młodzik starał się gorączkowo wydobyć mięso z ognia, czym rozbawił Silę, która

spoczywała wygodnie po drugiej stronie ogniska.

– Uważaj, co robisz, żrebaku! Poparzysz się, a ja nie mam zamiaru leczyć czegoś, co powstało w wyniku głupoty!

Młodzi wojownicy, chłopcy naprawdę dobrodusznymi, zaśmiali się, ale co całkiem oczywiste, nie przestali popatrywać na Victorię.

– Rheo, chodzi przede wszystkim o to, że ich intryguje Łowczyńni, rozumiesz? – powiedziała półgłosem Victoria. – Gdyby któryś z nich zainteresował się tak na poważnie nie Wielką Łowczyńnią, ale po prostu mną, Victorią, to może i znalazłabym dla niego trochę czasu. A tak to mnie po prostu śmieszka, i tyle jest tu do gadania.

Miałam ogromną ochotę podpytać ją o seks centaurów, niestety mój mąż musiał właśnie teraz przyłączyć się do nas.

Czyli klops. Bo kiedy dwie przyjaciółki gadają o seksie, osobom trzecim wstęp wzbroniony. (To, że jedna z przyjaciółek do połowy jest koniem, nie robi żadnej różnicy).

– Wyjątkowo dobra dziczyzna, Łowczyńni. Wprost nie można się nachwalić.

No proszę, czyli miałam rację, że jemy Bambi!

– Och, w tych lasach bardzo łatwo coś upolować. Jest tu mnóstwo zwierzyny – powiedziała Victoria niby lekceważąco, na pewno jednak była zadowolona z pochwały.

Miałam zamiar również ją pochwalić, nie zdążyłam jednak, bo usłyszałam ciche chrząknięcie.

To Dougal próbował zwrócić na siebie uwagę.

– Lady Rhiannon – zaczął nieśmiało – proszono mnie, żebym spytał, czy dziś będziemy mieli przyjemność wysłuchania jakiejś opowieści.

Ożeż ty! Znowu to samo...

– O tak! Prosimy, Rheo! – poparła go entuzjastycznie Victoria. – Słyszałam, że potrafisz cudownie opowiadać.

Nauczyłaś się tego w Świątyni Muz, prawda?

Nie, kochana, ale jestem nauczycielką angielskiego obdarzoną niezłą pamięcią, z której udaje mi się czasami coś wydobyć, a w razie potrzeby wyprodukować mały plagiacik.

Zauważyłam, że ClanFintan nerwowo przestąpił z nogi (nóg?) na nogę. Bał się, oczywiście, czy Shannon dorówna okrzykniętej mistrzynią Rhiannon.

Też coś! Przecież miał już wystarczająco dużo czasu, by przekonać się, że Shannon Parker jest niezawodna!

Wytarłam ręce o spodnie, odrzuciłam włosy w tył, wstałam i uśmiechnęłam się do Dougala.

– Opowiem wam coś z największą przyjemnością.

Centaury zgromadzone przy naszym ognisku, chyba jednak trochę zaskoczone, wydały radosne okrzyki. Wieść o tym, że lady Rhiannon będzie opowiadać, rozeszła się błyskawicznie i do naszego ogniska zaczęły przysiadać się pozostałe centaury.

Krótko mówiąc, po kilku minutach wokół naszego ogniska zebrał się tłum.

Dla nauczyciela to dobry znak.

Odchrząknęłam i włączyłam głos, jakiego zwykle używam, gdy opowiadam jakąś historię. Taka mieszanka głosu belfra, aktorki i syreny. Dziś zdecydowanie miał przeważać głos syreny, jako że postanowiłam zaszerwować historię bardzo wzruszającą. Mój umysł w błyskawicznym tempie wyciągał

z pamięci i produkował dostosowaną do tutejszej rzeczywistości wersję romantycznej opowieści „Upiór w operze”.

– Dawno, dawno temu narodziło się dziecko, chłopczyk, o potwornie zniekształconej twarzy. Jedno oko większe od drugiego, zdeformowane usta, skóra żółtawa, cieniutka jak pergamin. A tam, gdzie normalnie jest nos, była tylko groteskowa dziura... – Po widowni przeszedł szmer, słuchacze dawali wyraz swemu przerażeniu. – Matka zaraz po porodzie porzuciła dziecko, ale pewna muza o złotym sercu... – Jaka muza?! Jaka!!! O Jezu, przecież wiadomo! – Piękna i dobra Muza Muzyki zlitowała się nad chłopczykiem i zabrała go do swojej świątyni. Zamieszkał w podziemiach, a Muza, pragnąc w jakiś sposób zrekompensować okropną deformację twarzy, obdarzyła go wielkim talentem muzycznym. Nadzwyczajnym, wręcz magicznym i wszechstronnym. Obdarowała go wspaniałym głosem i słuchem, a także umiejętnością komponowania i gry na wielu instrumentach. Chłopiec żył więc w ukryciu w podziemiach świątyni i tam też pozostał, kiedy wyrósł na mężczyznę. Nadal żył schowany przed wszystkimi, doskonalił swoje umiejętności wokalne i komponował cudowne utwory. Jego jedyną miłością była muzyka, a jedyną rozrywką słuchanie, jak jego Bogini uczy śpiewu młodzieńki adeptki, które pobierały nauki w świątyni.

Cisza, wszyscy zasłuchani. Naprawdę dobra klasa.

Przymknęłam na moment oczy, po czym mówiłam dalej:

– Żył w ukryciu, bał się jednak, że ktoś przypadkiem go wypatrzy i zobaczy jego przerażającą twarz. Dlatego zrobił

sobie maskę, która była biała jak śnieg w poświacie księżyca.

Zawsze ją wkładał, chociaż on, żyjący z dala od ludzi, tak naprawdę ukrywał twarz tylko przed duchami, swymi jedynymi towarzyszami. Myślał, że sam też jest duchem, dlatego nazywał

siebie „Upiorem... w świątyni”. – Chwała Bogu, jakoś mi idzie.

– Wmawiał sobie, że jest ze swego życia bardzo zadowolony, przecież do pełni szczęścia

potrzebował tylko muzyki, to ona wypełnia mu mroczne dni i dłużące się noce. Ale pewnego dnia, kiedy słuchał śpiewu pewnej adeptki, popełnił błąd. Spojrzał na nią przez ukryte okno, które z drugiej strony wygląda jak lustro.

Spojrzał na dziewczynę i zakochał się bez pamięci. Na imię miała Christine...

Wolnym krokiem obeszłam ognisko, dalej snując swoją opowieść, czyli barbarzyńską przeróbkę nieśmiertelnego dzieła, które uwielbiałam omawiać z dziewiątą klasą. Co roku uczniowie najpierw mieli przeczytać w domu oryginalne dzieło Gastona Leroux, potem podczas lekcji czytałam im na głos romantyczną wersję Susan Kay z 1990 roku, a na koniec słuchaliśmy z płyty cudownego musicalu Andrew Lloyda Webera. Zanim doszło do sceny finałowej, prawie wszystkie oczy w klasie lśniły podejrzeniem.

Dla moich wojowników dokonałam fuzji trzech powyższych wersji, produkując opowieść, której słuchali zafascynowani:

– ...i kiedy w końcu miał Christine już tylko dla siebie.

Kiedy wreszcie znalazła się w jego pokoju w podziemiach, wiedział, że jest tylko jedna droga do jej serca. Jego muzyka.

Tylko muzyka może ją poruszyć, tak bardzo chwycić za serce, że zapomni o jego straszliwej twarzy. I zaśpiewał jej „Melodię Nocy”.

– I co? I co postanowiła Christine? – spytał z wielkim przejęciem mój mąż.

Spojrzałam mu w oczy, na moment zapominając o całym świecie. Był tylko on, mój mąż centaur, oraz ja.

Potem uśmiechnęłam się przez łzy i bez najmniejszego wysiłku zaserwowałam wierutne kłamstwo:

– Christine przezwyciężyła swój lęk. Przestała bać się strasznej twarzy Upiora, wybrała piękno jego duszy. I żyli potem razem długo i szczęśliwie.

Koniec. Moi słuchacze wydali jeden gremialny okrzyk radości, po czym rozległy się burzliwe oklaski połączone z biciem kopytami o ziemię. A w centrum tego entuzjazmu byliśmy ja i ClanFintan, który pochwyił mnie w objęcia i pocałował długo i namiętnie, na oczach wszystkich, co również zostało przyjęte entuzjastycznie. Znow okrzyki, oklaski i bicie kopytami o ziemię. A potem zostałam przez męża porwana na ręce i przy akompaniamencie już trochę rubasznych okrzyków ClanFintan zaczął nieść mnie w las z intencją oczywistą: Jak najdalej od ogniska.

Spoglądając ponad jego ramieniem, zauważyłam, że Sila ma twarz mokrą od łez, a oczy rozmarzone, natomiast Victoria jedną ręką ociera łzy, a drugą macha do mnie.

Czyli trafiłam w dziesiątkę.

– A ty nie wierzyłeś we mnie... – wysyczałam mężowi do ucha, potem pocałowałam go w umięśnione ramię, a następnie, po chwili zastanowienia, ugryzłam go w to ramię. I wcale nie zrobiłam tego delikatnie.

– Nie wiem, czy wiesz, ale ja też gryzę – powiedział

ClanFintan, spoglądając na mnie ze śmiertelną powagą.

– Ojej, to cudownie! – zapiszczałam i szybko pocałowałam tam, gdzie przedtem ugryzłam.

Okazało się jednak, że ClanFintan wcale nie ma ochoty do żartów. Przeciwnie, był śmiertelnie poważny.

– Rheo, nie chodzi o to, że zwątpiłem w ciebie, tylko o to, że cała ta sytuacja wydała mi się bardzo trudna. Miałaś zrobić coś, co przedtem robiła Rhiannon, która wypadła w tej roli znakomicie. A ty zrobiłaś to równie znakomicie. Dla nich wszystkich jest to jeszcze jedna opowieść lady Rhiannon, a przecież doskonale wiem, że nie lubisz być brana za nią...

Jego głos zamierał. Mój biedny mąż się denerwował, dlatego doszłam do wniosku, że najlepiej będzie nie wałkować tego tematu.

– Trudno, ClanFintanie. Moje życie i życie Rhiannon nałożyły się na siebie, a ja na to nic nie poradzę. Mogę zrobić tylko jedno. To, co było jej, uczynić moim.

Swoją drogą ciekawe, jak sobie radzi nasza Rhiannon z moim życiem. Czy bardzo narozrabiała? Byłam pewna na sto procent, że zdążyła już zranić wszystkich, całą moją rodzinę i przyjaciół. Ale nad tym też nie było sensu się zastanawiać.

Jeśli będę wciąż o tym rozmyślać, nieustannie wałkować coś, na co nie mam najmniejszego wpływu, po prostu oszaleję z rozpacz.

Spojrzałam w górę na pięknie wyrzeźbiony profil mego męża i pomyślałam, że nawet gdyby istniała możliwość powrotu do mej dawnej rzeczywistości, już bym tam nie wróciła. Może i przemawiał przeze mnie egoizm, ale trudno. ClanFintan był

moją miłością, wybrałam życie razem z nim. Koniec, kropka.

Oparłam głowę o jego pierś i zamknęłam oczy, dumając o tym, że bywa też i tak, że problem niespodziewanie rozwiązuje się sam. Na przykład... autobus. Przecież czasami się zdarza, że ktoś pod niego wpadnie, prawda? A więc wyobraźmy sobie, że niejaka Rhiannon przechodzi przez ulicę...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Śpisz?

– Już nie!

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się dookoła. ClanFintan wychodził z obozu. Na moment zatrzymał się przed salutującym wartownikiem i pobiegł dalej, na moje wyczucie na północ. Po jakimś czasie skręcił w prawo, zagłębiając się w gęsty, spowity mrokiem las, rozjaśniony jedynie księżycową poświatą przenikającą przez korony starych dębów.

– Dokąd mnie wiesz, ClanFintanie?

– Nie powiem. To ma być niespodzianka.

– Naprawdę?!

Szybko zaczęłam obmacywać jego kamizelkę.

– Czego szukasz, Rheo?

– Kieszeni, a w niej pudełeczka z biżuterią.

– To niespodzianka innego rodzaju – odparł rozbawiony, rozglądając się przy tym bacznie. Spojrzał w lewo, potem w prawo, wyraźnie czegoś szukał. Po chwili usłyszałam ciche chrząknięcie, niewątpliwie oznaka zadowolenia, i ClanFintan podszedł do starego, przewalonego drzewa, zapewne ofiary pioruna, bo pień był rozłupany na dwie części.

Ostrożnie zdjął mnie ze swojego grzbietu i postawił na zdecydowanie większej części rozwalonego pnia.

– Stój.

Pień, choć tak zdewastowany, był twardy i szeroki, nie miałam więc żadnego problemu z utrzymaniem równowagi.

Stałam pewnie, patrzyłam na ClanFintana i uśmiechałam się bardzo zadowolona.

– Hej! Jesteśmy teraz prawie tego samego wzrostu!

Fakt. Moje oczy były na wysokości jego brody ozdobionej słodkim dołkiem, który zawsze mnie rozczulał. Teraz też, dlatego objęłam męża za szyję i pocałowałam go właśnie w ten dołek. Reakcja ClanFintana była natychmiastowa. Objął mnie wpeł i pocałował, tyle że trochę inaczej, a mianowicie w usta i bardzo, ale to bardzo namiętnie. Był to tego rodzaju pocałunek, któremu człowiek poddaje się bez reszty. Po prostu odlot. Moje nogi bardzo szybko zaczęły odmawiać posłuszeństwa, dobrze, że ClanFintan trzymał mnie mocno.

Na pocałunku w usta się nie skończyło. Gorące wargi ClanFintana zaczęły przesuwać się po mojej szyi, natomiast moje ręce ruszyły pieszczotliwie po twardych mięśniach ramion i pleców męża. Jednocześnie jego palce szybko rozwiązały troczki i ściągnęły ze mnie skórzany top. Wargi ClanFintana zaczęły pieścić moje piersi. Poszczypywał, ssał, całował, po chwili jego palce sięgnęły do troczków przy spodniach.

Rozwiązał je, a ja, jak to się mówi, wyszłam ze spodni.

W rezultacie miałam na sobie tylko cieniutkie stringi.

– A już myślałam, że teraz nie jest odpowiednia pora na zmianę postaci – szepnęłam leciutko zadyszana z podniecenia.

ClanFintan objął dłońmi moje pośladki i przycisnął mnie do siebie. Zrobił to bardzo mocno, można nawet powiedzieć, że trochę brutalnie.

– Nie mam zamiaru zmieniać postaci – szepnął wprost do moich ust, po czym chwycił zębami moją dolną wargę i leciutko ją pociągnął.

– *W takim razie...*

– *To niespodzianka.*

– *Ale jaka?! Powiedźże wreszcie!*

– *Już mówię.*

I faktycznie, w końcu zaczął głosem cichym i uwodzicielskim wyluszczać mi, na czym ma polegać ta niespodzianka. Jednocześnie jedną ręką mnie obejmował, drugą delikatnie pieścił moje piersi.

– *Rozmawiałem z Carolanem o budowie kobiecego ciała.*

– *Co?! – Byłam pewna, że się przestyszałam. – O czym?*

Nie rozumiem...

Ręka ClanFintana pożegnała się z moimi piersiami i przemieściła się na brzuch.

– *Zaraz zrozumiesz...*

Jego palce wsunęły się między moje nogi. Wiadomo, że w tym momencie odetchnęłam szybko, a moja ręka bezwiednie wsunęła się za kamizelkę ClanFintana.

– *Spytałem Carolana wprost, jak sprawić ci przyjemność, nie zmieniając postaci. Carolan powiedział mi to i owo...*

Przywarł ustami do moich ust, a jego palce między moimi nogami przez cały czas były bardzo aktywne, wykonując erotyczny taniec.

Kiedy długi pocałunek dobiegł końca, ClanFintan szepnął:

– Po tej rozmowie wpadłem na pewien pomysł. Jestem pewien, że będziesz zadowolona.

– Ale ja... ja już jestem zadowolona!

Przecież kręciło mi się w głowie, brakowało powietrza i tak w ogóle...

– Będziesz jeszcze bardziej zadowolona:

W tym momencie byłam w stanie już tylko cicho jęknąć:

– O matko...

ClanFintan uśmiechnął się.

– Zaraz cię wsadzę na mój grzbiet. Usiądź jak najbardziej z przodu i obejmij mnie bardzo mocno, przyciskając się do moich pleców. A potem poruszaj się w zgodnym rytmie ze mną, rozumiesz?

I znów mnie pocałował.

Kiedy jego palce wysunęły się (dopiero teraz!) spomiędzy moich ud, autentycznie miauknęłam, a ClanFintan, przytrzymując mnie jedną ręką, szybko zdjął kamizelkę, obnażając wspaniałą klatkę. Potem wziął mnie pod boki i posadził na swoim grzbiecie. Następnie zrobiłam wszystko zgodnie z instrukcją. Przesunęłam się maksymalnie do przodu i przywarłam do gorących pleców męża. Och, byłam zachwycona, przywarłam przecież do nich gołym biustem.

Objęłam ClanFintana, moje dłonie przesunęły się pieszczotliwie po jego piersi i brzuchu, jednocześnie wargi szczypały i całowały ten wspaniały dół między łopatkami.

– Kiedy zacznę się poruszać, przyciśnij się do mnie z całej siły.

Jego głos był zachrypnięty z podniecenia. Nic dziwnego, że ja, również z podniecenia, zadrżałam, a dokładniej moje uda.

Kiedy ClanFintan ruszył nieśpiesznym, miękkim galopem, moja miednica zaczęła się poruszać. Do przodu i w tył, do przodu i w tył, jakby ręka ClanFintana dalej pieściła najbardziej intymny zakątek mego ciała. Oczywiście jęknęłam i ukryłam twarz w tej przełęcz między jego łopatkami, ClanFintan natomiast położył ręce na moich rękach i zaczął przyspieszać stopniowo, ale konsekwentnie. W związku z czym moja miednica poruszała się coraz szybciej, coraz szybciej, coraz szybciej, aż wreszcie poczułam...

Wiadomo co. I było cudownie. Tak cudownie, że aż rozbolały mnie zęby. Przysięgam.

ClanFintan okrążył pień i zatrzymał się w miejscu, z którego wystartował. Ja, po przeżyciu takiego orgazmu, byłam kompletnie sflaczała. Jednocześnie, wiadomo, wniebowzięta.

– Rheo, zaraz wrócisz na pień. – Pokiwałam tylko sennie głową, nie otwierając oczu, a ClanFintan ostrożnie postawił

mnie na tej większej części rozłupanego i przewalonego drzewa.

– Rheo, otwórz oczy, bo jeszcze spadniesz. Chcę pozbierać nasze ubrania.

Otworzyłam oczy i przeciągnęłam się jak zadowolona kotka.

Mąż patrzył na mnie z wyraźną przyjemnością.

– Podobala ci się niespodzianka?

– Bardzo. Bardzo! (Nie zapomnij podziękować Carolanowi!)

Spojrzałam na ClanFintana – jestem pewna, że wciąż półprzytomnym wzrokiem – i spytałam:

– A co z tobą?

– Ze mną?

Już włożył kamizelkę, teraz podnosił z ziemi moją bluzkę i spodnie.

– Tak, z tobą. Może mogę zrobić coś, żeby było ci przyjemnie?

Spytałam tak z dobrego serca, prawda? A on, wyobraźcie sobie, ryknął śmiechem, i to takim bardzo tubalnym, jakby wydobywał się nie z ludzkiego, lecz z tego wielkiego, końskiego brzucha.

– Nie, ko...chanie – wykrztusił po chwili i dalej zaśmiewając się, wręczył mi moje ubranie.

W rezultacie ja, wkładając top, a potem walcząc z troczkami na plecach, czułam się trochę speszona.

– Ja to zrobię – powiedział.

Zaprzestałam więc walki, odgarnęłam tylko z tyłu włosy i przytrzymałam, żeby ClanFintan miał łatwiejszy dostęp do troczków. Kiedy kończył je zawiązywać, musiało dotrzeć do niego, że jestem dziwnie milcząca, bo poczułam, że intensywnie mi się przygląda. I fakt, bo kiedy ostrożnie podniosłam głowę, napotkałam jego pełen powagi wzrok.

*– Przepraszam, Rheo. Głupio, że tak się śmiałem, ale to wcale nie znaczy, że śmiałem się z ciebie. Tylko z sytuacji, uwierz. I naprawdę mi miło, że wystąpiłaś z taką propozycją, ale problem w tym...
– uśmiechnął się, rozjaśniając tym uśmiechem mrok nocy, i skłaniając mnie oczywiście też do uśmiechu – że ty jesteś małym człowieczkiem, niedużą kobietką...*

Nie wytrzymał i znowu się zaśmiał, ale zaraz potem mnie pocałował bardzo słodko, a potem wziął na ręce. Objęłam go za szyję, położyłam głowę na jego ramieniu i ruszyliśmy z powrotem do obozowiska.

– Ale to niesprawiedliwe – stwierdziłam po chwili. – Też chciałabym sprawić ci przyjemność.

Tym bardziej że uważa mnie za małego człowieczka!

Niedużą kobietkę! Byłam zachwycona.

– Twoja przyjemność jest moją przyjemnością, Rheo. – Pocałował mnie w czubek głowy. – Wiesz przecież, że urodziłem się po to, by cię kochać.

A zaraz potem usłyszałam słodki głos Bogini:

– Należycie do siebie, Wybranko.

– Tak, wiem – powiedziałam cicho bardzo wzruszona i zerknęłam na niego, na jego wyrazisty profil srebrzony poświatą księżyca. Zauważyłam tam uśmiech pełen satysfakcji.

I to właśnie była ta chwila, kiedy złożyłam sobie w duchu przysięgę. Nigdy się z nim nie rozstanę.

Nigdy, przenigdy...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z głębokiego snu wyrwał mnie głośny szelest suchych liści poruszanych wieloma kopytami. Zaraz potem nos wyczuł

bardzo sympatyczne zapachy. Ktoś na pewno smażył jajecznicę i mięsko, niemniej miałam zamiar jeszcze trochę pospać.

Przekręciłam się na brzuch, starając się wygodniej ułożyć na twardej ziemi i zasnąć. Niestety, powrót w objęcia Morfeusza skutecznie uniemożliwiały donośnie wykrzykiwane rozkazy.

Powoli uniosłam powieki. Nadal było ciemno, ale niebo już leciutko poszarzało, szykując się do pożegnania z nocą.

I w tym momencie zaatakował mnie radosny, pełen energii (o świcie!) głos Sili:

– Dzień dobry, lady Rheo!

– Dzień dobry... – mruknęłam, przecierając zaspane oczy.

– Victoria znalazła pełne jaj gniazdo kuropatwy. Prawda, że pachną cudownie?

Uśmiechnięta od ucha do ucha (powtarzam – o świcie!) podeszła do ogniska i zamieszała w żelaznym kociołku ustawionym na dwóch dużych kamieniach.

– Tak, pachnie wspaniale – przyznałam, chociaż wcale nie było mi rozkosznie. Bolały mnie wszystkie mięśnie i każda, nawet najmniejsza kosteczka. Niestety, tym właśnie płaci się za wielogodzinną jazdę na grzbiecie centaury. Wstałam więc powolutku, czując się tak, jakby moich trzydzieści pięć (z małym dodatkiem) lat pomnożono przez dziesięć. Poza tym na głowie zrobiło mi się coś w rodzaju gniazda, a oddech... Oddech miałam pewnie równie śmierdzący jak czyjeś od bardzo dawna niemyte nogi.

Nienawidzę życia na łonie natury.

Niemniej starałam się odwzajemnić uśmiech Sili (miło poznać kolejnego centaury rannego ptaszka).

– *Idę... odświeżyć się.*

– *Świetnie! Kiedy wrócisz, jajka już będą gotowe.*

Nie, naprawdę nie jestem w stanie pojąć, jak ktoś może być promienny i radosny jak szczygiełek jeszcze przed wschodem słońca!

– *Dobrze, dobrze... – wymamrotałam i pokuśtykałam ku rzece przy akompaniamencie radosnego „dzień dobry” z ust innych centaurów. Oczywiście, że starałam się być jak najbardziej uprzejma, odpowiadałam więc grzecznie, tym bardziej że kilka centaurów oprócz powitania pozwoliło sobie wyrazić się bardzo pochlebnie o moim wczorajszym popisie z „Upiorem w świątyni”. W końcu udało mi się dotrzeć do krzaków, wśród których zabawiłam chwilę, po czym jakoś zeszłam nad wodę. Umyłam ręce i twarz, wyczyściłam zęby palcem i z powrotem wgramoliłam się na wysoki brzeg.*

Cudowne życie na łonie natury. Niech je szlag!

Kiedy przywlokłam się z powrotem do obozowiska, jedzenie było już gotowe. Jajecznicą została

usmażona na resztkach Bambi. ClanFintan i dwóch młodych centaurów zajęło się już konsumpcją. Vic nie było nigdzie w pobliżu, co mnie trochę zaniepokoiło, ale zdrowy rozsądek szybko podpowiedział, że panna Łowczyni prawdopodobnie kręci się gdzieś tu po okolicy w poszukiwaniu delikatnego mięska, które warto zabić.

– Dzień dobry, milady!

ClanFintan z uśmiechem podał mi szeroki liść, na którym leżało parujące jajko i kawałek mięsa.

– Dzień dobry – wymamrotałam, bezskutecznie starając się uśmiechnąć. Usiadłam na kłodzie, ostrożnie wzięłam w palce część tego, co leżało na liściu talerzu, i włożyłam sobie do ust.

Jednocześnie zauważyłam, że moje posłanie znikło już z ziemi, a wszyscy sprawiają wrażenie, że nie mogą się doczekać, kiedy ruszymy w drogę.

– Czy dziś dojdziemy do świątyni? – spytałam ClanFintana, robiąc króciutką przerwę w przeżuwaniu czegoś, co, choć nie wyglądało na to, okazało się zdumiewająco smaczne.

– Tak. Zanim zapadnie zmierzch, powinniśmy już tam być.

– A w świątyni wiedzą, że idziemy do nich?

– Tak. Wysłaliśmy posłańców, a także gołębie pocztowe.

– A czy wiadomo coś na temat zdrowia kobiet przebywających w świątyni?

– Nie. Centaury otrzymały rozkaz, że po przybyciu do świątyni mają tam zaczekać na nas, a gołębie wróciły bez żadnych wiadomości.

– A... te szcurki ze skrzydłami – mruknęłam do następnego kawałka jajka a la Bambi. Gdy ClanFintan spojrział

na mnie pytająco, wyjaśniłam: – Najlepiej nie zwracać na mnie uwagi. Rano zawsze jestem nie do życia, a już zwłaszcza... –spojrzałam w niebo – o świcie.

ClanFintan roześmiał się.

– Nie przejmuj się. Jak tylko ruszymy, możesz znowu się przespać. – Jak zwykle odgarnął mi włosy z czoła i dokończył

kwestię, zniżając głos: – O ile dobrze pamiętam, na moim grzbiecie jest ci całkiem przyjemnie.

Ja, oczywiście żartem, uderzyłam go lekko po rękę, żeby ją sobie zabrał. No i uśmiechnęłam się do niego znad parującego jajka.

– A ty rano jesteś świeżusieńki!

– Trudno, tak już mam. Ruszamy! Dokończysz śniadanie podczas jazdy.

Ani się obejrzałam, a już siedziałam na nim.

– Tak, tak, oczywiście – mamrotałam, teraz ja odgarniając jego gęste czarne włosy. Z mojego talerza liścia ze śniadaniem.

Niby dobrym, czegoś mi jednak brakowało. No tak. Kawy!

Centaury zwinęły obóz błyskawicznie i wkrótce wojsko już maszerowało. Mimo mojej porannej neurastenii musiałam przyznać, że ranek był piękny. Tak, nawet ja byłam w stanie dostrzec, ileż to wspaniałości demonstruje nam natura o tej porze dnia. Chociażby słońce, które już weszło nad

koronami drzew, poranne słońeczko z tym swoim trochę jeszcze nieśmiałym blaskiem.

Tego dnia podążaliśmy bliżej rzeki. Wzdłuż jej coraz bardziej stromego brzegu rosły piękne drzewa. Wierzby płaczące, topole, czasami udało mi się wyłowić wzrokiem dziką wiśnię. Samej rzeki nie było słychać, bo kopyta tysiąca centaurów zagłuszały ją skutecznie. Ale było ją widać. Co jakiś czas pojawiała się między gałęziami drzew, niezmiennie piękna i dzika, a ja niezmiennie byłam pod wrażeniem jej rwącego nurtu.

Gdzieś koło południa zatrzymaliśmy się na popas. Rozdano suchary i suszone mięso. ClanFintan zestawił mnie na ziemię, żebym trochę się rozprostowała. Kazał mi się poruszać, zaczęłam więc podskakiwać, machać to jedną, to drugą nogą, a w trakcie tej gimnastyki zauważyłam, że wiatr powiał z innej strony. Do tej chwili wiał ze wschodu, byłam tego pewna, a teraz z zachodu, i to zdecydowanie mocniej.

Ustawiłam się pod wiatr, który natychmiast poderwał moje rozpuszczone włosy. Uniosły się nad moimi ramionami. Było mi tak przyjemnie. Odetchnęłam głęboko i...

– O matko! A co to za smród?

ClanFintan zmarszczył nos.

– Bagna Ufasach.

– Okropność! Śmierdzi jak kompost w ogródku mojej babci!

– Pewnie tak, ale ludzie, którzy mieszkają koło bagien, nie narzekają. Twierdzą, że bagna też mają swój urok.

– A niech sobie twierdzą... Gdzie są te bagna? Daleko stąd?

Stałam tuż nad stromym zboczem, prawie urwiskiem, w które zdążył się już zmienić brzeg rzeki, i osłaniając oczy przed słońcem, spojrzałam w dal. Rzeka była bardzo szeroka, przeciwległy brzeg daleko. Zauważyłam jednak, że po tamtej stronie rośnie jeszcze więcej wierzb, ale wcale nie są omszałe, nie zauważyłam też ani węży, ani aligatorów.

– Z tego, co mi mówiono, wynika, że bagna zaczynają się w odległości dwudziestu pięciu długości centaury od zachodniego brzegu rzeki – poinformował mnie ClanFintan. – Ciągną się na zachód aż do jeziora Selkie. Od strony południowej graniczą z ziemiami należącymi do Świątyni Epony. Nigdy jednak nie przechodziłem przez bagna, bo centaury unikają podmokłych terenów.

– W takim razie pod tym względem niczym się od was nie różnię. Kiedy pomyślę o tych węzach, pijawkach, śmierdzącej wodzie... O nie! Nigdy!

W tym momencie zauważyliśmy, że legion zbiera się już do drogi. Przeciągnęłam się jeszcze raz i podałam rękę ClanFintanowi, który wsadził mnie na grzbiet i ustawił się na czele kolumny. Tego dnia podążaliśmy dalej na północ, przez las. A im dalej w las, tym więcej drzew. I faktycznie był coraz bardziej gęsty, dlatego centaury, początkowo podążając czwórkami, dokonały przegrupowania i ustawiły się parami.

Wcale jednak nie zwolniły. Cały czas ten niezmordowany galop.

Widziałam to już nieraz, ale i tak nieodmiennie byłam pod wrażeniem. Wytrwałość centaurów była zadziwiająca.

Wyruszyliśmy w drogę o brzasku, a oddech ClanFintana nadal był spokojny i miarowy, ani cienia zadyszki. Mówię wam, centaury byłyby super w aerobiku...

Poderwałam głowę, uzmysławiając sobie, że ją poderwałam, bo opadła. Czyli znów morzy mnie sen.

ClanFintan spojrzał na mnie przez ramię, ale uprzedziłam go:

– Wiem, wiem... – Wtuliłam się w plecy męża, a on objął

mnie ramieniem. – Z ciebie nigdy nie spadnę.

– Nigdy – powtórzył.

W nagrodę dostał ode mnie ciepłutki uśmiech. I zaraz potem zasnęłam.

Byłam na wywiadówce, na której obecny był również jeden z naszych szkolnych doradców oraz wicedyrektor szkoły odpowiedzialny za dyscyplinę. Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stołu, siedzieli uczeń i jego Mamuśka. Chociaż to sen, nie podaję nazwiska. Nie pozwala mi na to moja etyka pedagoga. Umówmy się, że ten uczeń to replika Brakującego Ogniwa. Replika zaprzyjaźniona z marihuaną, a z wyglądu przypominająca do złudzenia neandertalczyka. Mamuśka –bardzo energiczna blondynka, ubrana super – sama się prosiła, by zadać jej to właśnie pytanie:

– Ile skonsumowała pani alkoholu względnie prochów, kiedy tego dzieciaka nosiła pani w brzuchu?

I w chwili, gdy gorąco popierana przez doradcę i wicedyrektora (którego zresztą grał Pierce) tłumaczyłam Mamuśce, że jej szesnastoletni chłopczyk wcale nie jest za mało motywowany, tak samo jak jego poziom intelektualny wcale nie jest, jak twierdzi Mamuśka, zbyt wysoki, by interesował go angielski na poziomie klasy dziesiątej. Chłopczyk jest po prostu leniem patentowanym i ćpunem, co w amerykańskich szkołach publicznych powinno karać się chłostą...

W tej właśnie chwili zostałam odessana od grzbietu mojego męża i zawisłam nad samym środkiem wzburzonej rzeki.

– Nie chciałam cię urazić, ale tym razem przerwałaś mi jeden z dziesięciu moich ulubionych snów – powiedziałam do powietrza wokół mnie. – I to właśnie w chwili, gdy przerabiałam taki sympatyczny fragment, stuprocentową fikcję, kiedy wicedyrektor szkoły staje po stronie nauczyciela.

Cisza. Żadnej odpowiedzi, natomiast moje niematerialne ciało zaczęło przesuwać wzdłuż rzeki na

północ.

– Jak myślisz, czy nadejdzie kiedyś taki dzień lub noc, kiedy będę mogła sobie pospać bez tych... wycieczek? – spytałam znów na głos.

– Cierpliwości, Wybranko...

– Niestety, akurat jej nie ma w wykazie moich zalet – mruknęłam pod nosem, a zaraz potem zauważyłam ciemną bryłę ogromnej budowli z wielką kopułą i marmurowymi kolumnami.

Kiedy znalazłam się jeszcze bliżej, zorientowałam się, że to, co wydawało się jedną zwartą budowlą, jest w istocie zlepkiem kilku budynków wśród ogrodów poprzecinanych ślicznymi chodnikami. Najokazalsza budowla stała w środku, pozostałe otaczały ją, tworząc idealny krąg. Połączone były pięknie wykonanymi chodnikami, w rezultacie z góry wyglądało to jak gigantyczne koło ze szprychami.

Byłam już wystarczająco blisko, by dostrzec kobiety w powiewnych sukniach przechadzające się po chodnikach. Na ogół po dwie z twarzami zwróconymi ku sobie, czyli były zajęte ożywioną rozmową.

Wszystkie budynki były bardzo piękne, ale ten centralny, w samym środku, swoją urodą bił je na głowę. Koło wejścia zauważyłam posągi, wyglądały jak żywe, prawdziwe dzieło mistrza, a w ogrodzie od frontu dostrzegłam kobietę z grupką dziewcząt, które siedziały na trawie wokół niej, ona zaś stała i rozprawiła o czymś, żywo gestykulując jedną ręką. W drugiej trzymała rzeźbioną laseczkę z kości słoniowej. Kobieta ta była niezwykle urodziwa, jej ruchy nadzwyczaj wdzięczne. Gdyby stała nieruchomo, można by pomyśleć, że to kolejny marmurowy posąg o idealnych proporcjach.

Kiedy znalazłam się jeszcze niżej, kobieta nagle zamilkła i nieznacznie przechyliła głowę, jakby kogoś słuchała. Na pewno żadnej z dziewcząt. A więc kogo? Czyżby w jej głowie też odzywał się głos Bogini?

Minęła chwila i twarz kobiety pojaśniała w uśmiechu.

Jeszcze bardziej uniosła głowę, zwracając twarz w moją stronę.

– Witaj, Wybranko Epony!

Dziewczęta wokół niej (teraz zauważyłam, że też są niezwykle urodziwe) poderwały głowy i bardzo podekscytowane wbiły wzrok w powietrze.

A głos Bogini w mojej głowie dokonał prezentacji:

– Talia, Wcielenie Muzy Komedii.

– Witaj, Talio – powiedziałam uprzejmie, uruchamiając swój głos ducha.

Muza przechyliła głowę. Oczywiście słyszała mnie, ale nie widziała, byłam tego pewna.

– Witaj, Wybranko! Czy ty i centaury jesteście już blisko?

– Będziemy tu o zmierzchu.

Uśmiech na twarzy Talii stał się jeszcze bardziej promienny. Odwróciła się do dziewcząt i siedzącej najbliższej poleciała:

– Fiono, biegnij do głównej świątyni i powiedz, że centaury będą tutaj już o zmierzchu.

Dziewczęta zaczęły się śmiać i pokrzykiwać wesoło, co dla mnie było powodem do wielkiej radości. Bo to oznaczało, że są zdrowe. Pomyślałam też, czy aby nie pośpieszyliśmy się z tym odcinaniem świątyni od reszty świata.

– To dla nas wielkie szczęście, że będziemy mogły dziś wieczorem cię powitać, lady Rheo! – powiedziała Talia, ponownie kierując twarz w moją stronę. Twarz uniesioną, teraz widziałam jej oczy i uświadomiłam sobie, że te oczy nie mogą zobaczyć ani mego ducha, ani mojej całkowicie zmaterializowanej osoby. Były zmętniałe, źrenice w ogóle niewidoczne. Ta kobieta była ślepa.

Zdążyłam jeszcze tylko krzyknąć:

– Do widzenia! – i znów ruszyłam w powietrzną podróż, unoszona magiczną siłą. Tym razem zmierzałam w stronę zachodzącego słońca, czyli, co oczywiste, na zachód.

Cała okolica była adekwatna do urody mieszkańek Świątyni Muz. Było tu po prostu pięknie. Po stronie północnej pyszniły się malownicze góry, przed nimi rozciągała się dolina jak z bajki zasłana dywanami dzikich kwiatów, wszędzie szmerzące strumyki... Uroczo. Byłam zafascynowana cudownym widokiem, dlatego też i bardzo zaskoczona, kiedy nagle, ni stąd, ni zowąd, przed moimi oczami pojawił się Zamek Laragona.

Oświetlony był jasno pochodniami. Płonęły wszędzie, na blankach, w komnatach i salach zamkowych, na dziedzińcach.

Dlatego widziałam wyraźnie uskrzydłone stwory płoszące całe chmary wielkich czarnych ptaków, które żerowały na makabrycznym stosie w pobliżu zamku. Ptaki odlatywały, a każdy z nich unosił w dziobie kawałek martwego ciała, dzięki czemu stos się pomniejszał. I o to na pewno tym stworom chodziło.

Zamknęłam oczy.

– Proszę, proszę – szepnęłam – nie każ mi tam lecieć.

– Odwagi, Wybranko. Pamiętaj, jestem z tobą.

Na szczęście nie zatrzymałam się nad zwłokami, tylko przemknęłam nad nimi i poleciałam nad zamek, po czym przeniknęłam przez strop do jednej z sal zamkowych, oświetlonej mnóstwem pochodni, świec i ogniem z kominków.

Epona nie uprzedziła mnie, kogo tu zastanę. Teraz go zobaczyłam. Był sam. Siedział przed kominkiem na pięknie rzeźbionym krześle podobnym do tronu. Jego nienormalnie długie palce koloru kości słoniowej obejmowały puchar z czerwonym płynem. Czyżby merlot?

– Nuado, czyżbyś się martwił o rezultat bitwy, do której niedługo dojdzie? – spytałam swoim upiornym głosem.

Nuada, o dziwo, wcale nie zasyczał ani nie podskoczył

z wyciągniętymi szponami, tylko siedział spokojnie, popijał

wino i uśmiechał się do mnie, spoglądając przez ramię.

– O to mnie głowa nie boli, samiczko. Nie mogę się tylko doczekać, kiedy będziesz moja.

– Karmisz się złudzeniami, Nuado.

Wreszcie wstał powoli, w takim samym tempie, jak rozwija się wąż. Stanął przodem do mnie, jedną rękę oparł o krzesło, w drugiej trzymał puchar.

– Postanowiłem, samiczko, że nie zabiję cię. Pożyjesz sobie jeszcze, i to nawet długo, i zyskasz szansę dostarczenia mi wielu uciech.

– Naprawdę? – Zaśmiałam się, czując jednocześnie, że moje eteryczne ciało staje się widzialne. – Obawiam się, że mój mąż centaur nie wyrazi na to zgody.

– Mąż! – syknął Nuada. – Zerwij te więzy, samiczko!

Należysz do mnie!

Do niego?! Nigdy w życiu! Czułam, jak narasta we mnie gniew.

– Ty wstrętna kreaturo! – wyrzuciłam z siebie gwałtownie.

– ClanFintan strąca cię kopytami jak karalucha! Wyśle cię z powrotem do piekła, tam, gdzie twoje miejsce, żebyś smażył

się w ogniu piekielnym po wsze czasy! A teraz popatrz na mnie, ty stworze, póki jeszcze masz okazję! Popatrz sobie z daleka, bo bliżej mnie nigdy się nie znajdziesz! ClanFintan na to nie pozwoli!

Skrzydła Nuady zaszeleściły złowrogo.

– Jutro wieczorem, samiczko – zaskrzeczał. – Jutro wieczorem należęć będziesz do mnie!

Rzucił we mnie pucharem, nie mógł jednak trafić, ponieważ Epona postanowiła zakończyć tę żenującą scenę.

Błyskawicznie przeniknęłam przez stropy i zaczęłam oddalać się od zamku. Oczy miałam cały czas zamknięte. Nie otwierałam ich, dopóki nie poczułam, że moja dusza powróciła do ciała.

Oddychając głęboko, mocniej objęłam męża. ClanFintan w odpowiedzi lekko ścisnął mnie za ramię, a ja przekazałam mu:

– Fomorianie są w Zamku Laragona. – Gdy w milczeniu pocałował mnie w rękę, dodałam: – ClanFintanie, jutro wieczorem zamierzają napaść na Świątynię Muz.

– Czyli tak, jak zakładał nasz plan. Wyjdą z Zamku Laragona i dopadniemy ich w polu.

– Tak... Ale się boję. Jestem pewna, że Nuada przede wszystkim będzie chciał dopaść ciebie.

– I bardzo dobrze. Niech mnie znajdzie jak najszybciej.

Przynajmniej nie będę musiał go szukać – powiedział

ClanFintan niebezpiecznie cichym głosem, który zaraz zmienił

się w donośny, gdyż mój mąż wydał rozkaz znajdującemu się najbliżej centaurowi. – Powiedz Dougalowi, żeby gołębice pocztowe zaniósły wiadomość do wojowników ludzi. Dziś wieczorem ruszamy na Zamek Laragona.

Centaur odbiegł, a ja wiadomo, jak każda szalejąca z niepokoju żona, zaczęłam klarować mężowi, że ma być nadzwyczaj ostrożny i ani na moment nie zapominać, jak bardzo niebezpieczny jest Nuada. To moje gadanie nie trwało jednak zbyt długo, ponieważ gdy tylko objechaliśmy zakole rzeki, usłyszeliśmy radosne okrzyki ślicznych dziewczyn, które czekały na drugim brzegu. W tle za nimi wznosiła się przepiękna Świątynia Muz skąpana w blasku zachodzącego słońca. Czyli była to prawdziwa uczta dla oczu.

Centaury zaczęły machać do dziewcząt i pokrzykiwać, natomiast ClanFintan wydał rozkaz i cały legion ruszył idealnie zsynchronizowanym galopem. Wyglądało to niezwykle imponująco. Niestety, nie mogłam się spokojnie tym pozachwycać, ponieważ zauważyłam, że legion zmierza w kierunku... mostu! Kolejnego mostu, równie podejrzanego jak poprzedni! Ten konkretnie wydał mi się konstrukcją wyjątkowo kruchą i delikatną, niestety był również najprawdopodobniej jedyną konstrukcją, po której można było przejść nad rwącą rzeką.

– Ja się chyba zabiję... – mruknęłam, czując, że jestem niebezpiecznie bliska dna rozpaczy.

– Zamknij oczy! – zawołał ClanFintan, starając się przekrzyczeć okrzyki kobiet, i powtórzył swoją mantrę: –Dobrze wiesz, że ze mnie nie spadniesz!

Zamknęłam więc oczy i wtuliłam twarz w czarny gąszcz jego włosów, dalej mamrocząc pod nosem:

– A, rozumiem. Jeśli ten cholerny mostek się załamie, polecimy oboje. Jak papużki nierozłączki.

Ramiona ClanFintana zatrzęsły się, czyli roześmiał się.

I taki cały radosny wkroczył na mostek.

– Mam nadzieję, że nie zwymiotuję...

– Rheo! Jeśli już koniecznie będziesz musiała, to proszę, nie w moje włosy. I zrób to dyskretnie, dobrze? Przecież ten tłum przybył tutaj również powitać Wybrankę Epony!

– Tak?... O nie! Ratunku!

Kiedy za ClanFintanem zaczęły sukcesywnie wstępować na most pozostałe centaury, cholerny mostek zakołysał się niebezpiecznie. W rezultacie ja, chyba już na dnie rozpaczy, zwróciłam się do Bogini z krótkim zapytaniem:

– A nie mogłaś właśnie teraz zabrać mnie na jakąś krótką wycieczkę?

– Zaufaj mi, Wybranko. On nigdy nie dopuści, żebyś z niego spadła.

Słodki głos jak zwykle przemknął przez mój umysł, tym razem jednak, przysięgam, ten głos był troszkę inny. Słysząc było w nim śmiech. Oczywiście inny niż zwyczajnych śmiertelników, ale uwierzcie mi, na pewno był to śmiech.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Świątynia Muz wyglądała jeszcze piękniej, jeszcze bardziej imponująco niż oglądana z lotu ptaka. Kiedy podjeżdżaliśmy do niej posypanym płatkami kwiatów chodnikiem, po prostu nie mogłam oderwać oczu od kompleksu przepięknych budynków w urokliwym otoczeniu. Zatrzymaliśmy się i ClanFintan zarządził przegrupowanie. Autentyczne, to znaczy centaury dzieliły się na grupy, każdą taką grupę brała pod opiekę jedna z rozchichotanych dziewcząt i prowadziła na kwaterę.

Na schodach prowadzących do świątyni czekała na nas Talia. Była ubrana w długą srebrzystą suknię, skrzącą się, jakby wyszyto ją milionami maciupeńkich diamentów. Piękne, gęste włosy koloru miodu, spływające po plecach, ozdobione były pachnącymi gardeniami.

– Witaj ponownie, Wybranko Epony! – powiedziała, uśmiechając się do mnie serdecznie. – Witaj, ClanFintanie.

Zawsze miło gościć cię pod naszym dachem.

Mój mąż skłonił głowę i podszedł do Talii, a kiedy podała mu dłoń, nie uścisnął jej na powitanie, tylko złożył krótki, pełen szacunku pocałunek.

– Witaj, Talio! Wyglądasz pięknie. Czas omija cię szerokim łukiem.

– Och! – Roześmiała się perliście. – Komplementy zachowaj dla swojej żony, mój drogi! Ale dziękuję... – powiedziała, nie kryjąc się z tym, że miło jej było to usłyszeć. – Lady Rheo, nie mogłam się doczekać, kiedy cię powitam.

Lady Rheo... Miałam niepokojące przeczucie, że Talia wie, kim naprawdę jestem. Pomyślałam jednak, że nie powinnam się niepokoić, skoro mam przed sobą osobę, której dusza na pewno jest tak samo piękna jak ciało.

Zsunęłam się z ClanFintana, podeszłam do Talii i serdecznie uścisnęłam jej dłoń.

– Dziękuję, Talio. Mnie również miło cię poznać, naprawdę bardzo miło.

Z bliska zauważyłam na przepięknej twarzy oprócz zmarszczek mimicznych także inne, związane z wiekiem. Talia istotnie nie była już tak młoda, na jaką wyglądała w pierwszej chwili.

Również uścisnęła moją dłoń.

– Bardzo proszę, chodźmy. Pokojówki wskażą drogę do waszych pokoi. Będziecie mogli odświeżyć się po podróży, potem zapraszam na wspólny wieczorny posiłek.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Piękna suknia w ruchu roziskrzyła się jeszcze bardziej, kiedy Talia pewnym krokiem pokonywała kolejne stopnie, tylko od czasu do czasu badając kościaną laseczką przestrzeń przed sobą. Była to jedyna oznaka ślepoty.

– Ona widzi więcej niż większość istot... – szepnęła Epona.

Mówiąc szczerze, wcale mnie to nie zaskoczyło.

Zaskoczyło mnie natomiast wewnątrz świątyni. Westybul i korytarze były bardzo skromne, tylko wysokie sufity zostały ozdobione pięknymi sztukateriami. Artysta wyrzeźbił bardzo realistycznie kapłanki i ich uczennice. Uroczym akcentem były ptaki. Żywe małe ptaki o barwnym upierzeniu, które fruwały swobodnie po korytarzach i wyśpiewywały swoje trele. Pokój, który mieliśmy zająć, był bardzo duży, z łazienką, to znaczy pokojem kąpielowym z parującym basenikiem we wgłębieniu posadzki. Na wielkim łóżku zauważyłam starannie rozłożoną suknię z cieniutkiego materiału, podobną do tej, którą miała na sobie Talia.

Czyli miałam tu wszystko, co w chwili obecnej było mi absolutnie niezbędne. Zachwycona od razu przystąpiłam do zdzierania z siebie brudnych szmat, w które po długiej jeździe zmieniło się moje eleganckie przeciwieństwo ubranie.

– Wreszcie się wykąpię. Wreszcie! – zawołałam rozradowana, maszerując na golasa do baseniku. –

Kochanie, umyjesz mi plecki?

– Chyba nie. O ile znam Talię i pozostałe Muzy, nie dadzą nam czasu na długą małżeńską kąpiel.

Wyraźny żal w jego głosie, a także fakt, że nie odrywał

oczu od moich obnażonych wdzięków, były dla mnie, w końcu żony, niezmiernie satysfakcjonujące.

– W takim razie trzeba się pośpieszyć... – Spojrzałam na męża, potem na basenik. – Nie, nie zmieścisz się, ale umyć cię trzeba. Chodź tu.

Błyskawicznie zdjął kamizelkę, stanął na samym brzegu i łobuzersko uśmiechnął się do mnie.

A ja walnęłam go po rękę mokrą gąbką.

– O nie! Żadnych figli-migli, sam powiedziałeś, że czas nagli. Myjemy się, i to szybko, ale porządnie. Zresztą przede wszystkim ty, bo czuję od ciebie konia. Dziwne, prawda?

Ryknęliśmy śmiechem i tak wśród śmichów-chichów i pryskania wodą dokonaliśmy ablucji. Kiedy orzekliśmy, że jesteśmy już czyści, mój mąż owinął mnie w gruby ręcznik, a ja trzymałam męża mocno za ramię, żeby się nie poślizgnął i nie wpaść do baseniku.

– Strasznie nachlapaliśmy. – Osuszając głowę końcem ręcznika, podeszłam do łóżka, żeby pogłaskać leżące na nim cudo.

ClanFintan stanął za mną i karnie dołączył się do osuszania mojej głowy, używając swego ręcznika, jednak po chwili nie wytrzymał i pocałował mnie w bardzo wrażliwe miejsce na szyi.

– *W tej sukni będziesz wyglądać bardzo apetycznie –mruknął.*

Zadrżałam, oczywiście z przyjemności, bo spotkały mnie i pocałunek, i komplement, a potem wykręciłam się w ramionach męża, żeby spojrzeć mu w twarz.

– *ClanFintanie, błagam, bądź jutro bardzo ostrożny. Ten Nuada jest... – Jaki? Jakimi słowami określić tak idealne zło? –Jest tak okropny, że brak mi słów.*

– *Nie pozwolę, żeby cię tknął.*

– *Wiem.*

Gdy objął mnie mocniej, zapukano do drzwi.

– *Milordzie, milady! Uczta zaczyna się niebawem!*

– *Dziękujemy! – zawołałam.*

Jeszcze chwilę postaliśmy czule objęci, potem ClanFintan pocałował mnie i po prostu powiedział:

– *Kocham cię.*

Moja odpowiedź również nie była skomplikowana:

– *Też cię kocham, ClanFintanie, dlatego tak boję się o ciebie.*

Żartobliwie trącił palcem czubek mojego nosa.

– Nie trzeba, Rheo.

Uśmiechnęłam się do niego najpiękniej, jak umiałam, po czym odwróciłam do tej fantastycznej sukni rozłożonej na łóżku. A zarazem czułam w sobie dziwną pustkę.

Po chwili, trzymając się za ręce, wyszliśmy z pokoju na korytarz pełen ludzi i centaurów. Wszyscy podążali na ucztę.

Uśmiechnięte od ucha do ucha potężne centaury szły grzeczniutko grupkami, a każda z tych grupek karnie podążała za opiekującą się nią śliczną panną. Uroczy obrazek, prawda?

Serce się krajało, kiedy człowiek pomyślał, że za dwadzieścia cztery godziny te szczęśliwe centaury wezmą udział w krwawej walce na śmierć i życie.

Kiedy weszliśmy do wielkiej sali, totalnie mnie przytknęło.

Zgodnie z nazwą sala była ogromna i cała zastawiona stołami i szezlongami, wszędzie było pełno półmisek i wina, ale nie to wprawiło mnie w tak wielkie uniesienie. Wprost niesamowicie zachwyciły mnie kryształowe żyrandole, było ich co najmniej z tuzin, które zwisały pod kopułą z namalowanym nocnym niebem. Granatowym, usianym konstelacjami gwiazd ze skrzęcych się drogich kamieni.

– Tu jest po prostu magicznie – szepnęłam do męża, kiedy podążaliśmy do stołu ustawionego na poczesnym miejscu. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tego.

– W Świątyni Muz zawsze wyczuwa się magię – odszepnął

ClanFintan i pocałował mnie w czubek głowy. – A magiczne dary, tak jak dary życia, sprawiają największe wrażenie, kiedy są niespodzianką.

– Lady Rheo! ClanFintanie! Proszę tutaj! – zawołała Talia, wskazując wielki szezlong ustawiony między jej krzesłem podobnym do tronu a drugim krzesłem, też ładnym, ale już nie tak królewskim.

Z wielkim zadowoleniem zauważyłam, że po drugiej stronie Talii spoczywa Victoria.

Nasz szezlong został tak ustawiony, żebyśmy mogli wygodnie spożywać posiłek. ClanFintan spoczywał na centaury modłę (opisywałam to już kiedyś dokładnie), a ja siedziałam przed nim.

Skąd nasza gospodyni wiedziała, że tak właśnie sobie razem siadamy?

W tym momencie Talia, jakby odgadując moje myśli, powiedziała półgłosem:

– Wiem nie tylko to, Shannon.

Shannon?! Szok, kompletny szok. Zamrugalam oczami, w których był jeden wielki znak zapytania. Jak? Skąd?

Natychmiast jednak zdałam sobie sprawę, że Talii, skoro jest ślepa, nie można przekazać niczego bez słów, zaczęłam więc coś tam belkotać:

– Ale... ja... nie...

Zagłuszył mnie zaraźliwy śmiech Talii, która po chwili oznajmiła:

– Nie martw się! Jestem szczęśliwa, tak samo jak zresztą wszyscy, że wreszcie zawitała do nas prawdziwa Wybranka Epony!

Uff! Co za ulga! Czyli już po szoku. Chociaż wcale nie było jeszcze idealnie, bo wciąż czułam się zbita z tropu.

– Nie martw się, Rheo – powtórzyła Talia, wyraźnie wyczuwając, jak bardzo jestem speszona. – Nie należy się bać czegoś tylko dlatego, że w pierwszej chwili wydaje się niezrozumiałe. Poza tym pamiętaj, że twoja Bogini jest zawsze z tobą, a to jest najważniejsze.

Pogłaskała mnie po rękę, potem po policzku... i nagle przypomniała mi się moja matka.

Mama... Dziwicie się, że w tym momencie okropnie zachciało mi się ryczeć?

– Co się z tobą dzieje, dziecko? – spytała cicho Talia.

– Och, nic... W każdym razie nic złego, tylko wręcz przeciwnie. Bardzo się cieszę, że przyjechaliśmy tutaj.

A Talia znów czule pogłaskała mnie po policzku w taki sam sposób, w jaki robiła to moja matka.

– Najedz się i od razu poczujesz się raźniej. Na pewno jesteś głodna.

Klasnęła w ręce i po sali zaczęli krążyć służący z pełnymi jadła i napitków tacami.

Kiedy pożerałam pyszną nadziewaną przepiórkę, nie mogłam sobie darować i puściłam oczko do pięknej Victorii.

– Twoja ofiara?

– Nie. Proponowałam im, że przyniosę coś na stół, ale podziękowali. Powiedzieli, że przygotowali się na nasze przybycie. Dlatego mogłam spokojnie posiedzieć, napić się wina i poczekać, aż ty i ten pan – ze znaczącą miną wskazała głową ClanFintana – skończycie się przebierać.

– Jesteś okropna! – krzyknęłam cała roześmiana, po czym zrobiłam równie znaczącą minę. – Rozumiesz, kochana, on jest bardzo duży, więc nie umyjesz go w sekundę.

Chichotałyśmy jak głupie, Talia też się roześmiała, natomiast dyplomata ClanFintan udawał, że niczego nie słyszy.

Kiedy podano następne danie, do sali weszła Sila. Na jej widok natychmiast przypomniałam sobie o ospie i mój dobry nastrój znikł.

Uzdrowicielkę podprowadzono do naszego stołu. Zanim zajęła miejsce na szeszlunku koło Victorii, zamieniła kilka słów z Talią, która w widoczny sposób darzyła Silę ogromnym szacunkiem.

– Moim zdaniem panujecie nad chorobą, Talio – powiedziała. – Melpomena prosiła, by ci przekazać, że stan młodych dziewcząt nie pogorszył się, a ludzie z bagien wkrótce będą mogli wracać do siebie. Niestety, zachorowała Terpsychora, więc nie będzie mogła uczestniczyć w tej uczcie.

– Dziękuję, Silo. Usiądź, proszę, i częstuj się.

Nachyliłam się ku mojemu mężowi.

– Czy Terpsychora to przypadkiem nie ta muza, która tańczyła w dniu naszych zaślubin?

– Tak, to ona – przytaknął, też ścisząc głos.

– A Melpomena to Muza Tragedii – wtrąciła Talia, zwracając się ku nam. – Gdy pojawia się jakaś choroba, zawsze czuwa nad chorymi. Uważa to za swój obowiązek.

– Czy z ospą zetknęliście się już wcześniej? – spytałam.

– Niestety tak. Z bagien przychodzą tu różne choroby i ospę mamy tu nie po raz pierwszy. Bardzo zasmuciła nas wiadomość, że choroba dotarła do Świątyni Epony.

– Ale szybko odizolowaliśmy chorych, a nasz Uzdrowiciel twierdzi, że panujemy nad chorobą.

– Wspaniale... – Talia wypła łyk wina z kryształowego kielicha, po czym mówiła dalej zniżonym głosem: – Rheo, na pewno chciałabyś wiedzieć, z kim spożywasz posiłek. Obok twojego męża siedzi Kaliope, Muza Poezji, a obok niej Klio, Muza Historii. – Talia na moment przechyliła głowę, wyraźnie nasłuchując. – Tak, już poznaję. Przy następnym stole, na jego szczycie, siedzi Erato, Muza Poezji Miłosnej. Zabawia młodego Dougalu, który niedawno stracił brata.

Moje spojrzenie przemykało po twarzach wymienianych przez Talię osób, teraz więc spoczęło na Dougalu.

Z przyjemnością zauważyłam, że młodziutki centaur ma twarz pogodną. Właśnie z wielką uwagą słuchał tego, co opowiadała mu z ożywieniem śliczna Erato.

– Przy stole, gdzie siedzą przywódcy wojowników, jest też Polihymnia, Muza Świętej Pieśni, a także Retoryki i Geometrii – informowała mnie dalej Talia. – Na pewno ma na sobie fioletową suknię. Obok niej Urania, Muza Astronomii i Astrologii, ta z kolei musi mieć na sobie aksamitną suknię w kolorze nocnego nieba...

– Jest dokładnie tak, jak mówisz.

– Terpsychory, Muzy Tańca, nie ma. Słyszałaś, że jest chora. Niestety, chora jest też Euterpe, Muza Poezji Lirycznej.

Zachorowała dwa dni temu.

– *Bardzo nad tym boję, Talio. Terpsychora tańczyła na naszych zaślubinach. Wyglądała tak pięknie...*

– *I znów będzie piękna, jeśli taka wola Bogini.*

– *Dziękuję, Talio, że mi to wszystko powiedziałaś. I...*

dziękuję, że mnie zaakceptowałaś.

– *Oczywiście! Czekałam na ciebie, dziecko, z wielką niecierpliwością! – Talia, uśmiechając się do mnie ciepło, dwukrotnie głośno klasnęła i w ogromnej sali zapanowała cisza.*

A Talia, uśmiechając się teraz promiennie do wszystkich, powiedziała donośnym głosem: – Jesteśmy szczęśliwi, że możemy przyjmować u siebie męnych centaurów! Proszę, jedzcie, pijcie, bawcie się! A jutro niech Bogini ma was w swojej opiece!

Potem zaczęła się część artystyczna. Pierwsza wystąpiła Muza Erato. Zaśpiewała wzruszającą pieśń o młodej wieśniaczce, która skradła serce synowi przywódcy klanu, i o przeszkodach, które młody człowiek musiał pokonać, by ojciec zezwolił mu na małżeństwo z ukochaną.

Zastłuchana w rzewne dźwięki, nie zapomniałam o napełnianiu żołądka. Kiedy był już napchany do granic możliwości, oparłam się o ciepłą pierś męża i ograniczyłam do podziwiania talentów Muz oraz degustacji wspaniałego czerwonego wina.

Po Erato wystąpiła Kaliope, która przepięknie wyrecytowała podniosły poemat o pierwszym Wielkim Szamanie. Jej występ spotkał się z wyjątkowo burzliwym, wręcz ogłuszającym aplauzem centaurów. Następnie Polihymnia zaprezentowała wspaniałą balladę, troszkę podobną do jednego z utworów wykonywanych przez Enyę. Aż wreszcie, kiedy do sali wbiegło kilka tancerek, które przy pulsujących dźwiękach bębnów rozpoczęły swój zmysłowy taniec, moje powieki zrobiły się bardzo ciężkie.

Na próżno starałam się przewyciężyć ogarniającą mnie senność. Przestałam zresztą z nią walczyć, kiedy ClanFintan objął mnie ramieniem, a do moich uszu dotarł łagodny głos Talii:

– Śpij, dziecko, śpij. Wzywa cię twoja Bogini.

I ogarnęła mnie ciemność.

Tym razem moja dusza nie uwolniła się z ciała w trakcie miłego snu. Żadnych wstępów, usłyszała tylko krótki rozkaz:

– Chodź!

I od razu wyprysnęła z ciała. Przeniknęła przez ozdobiony diamentowymi gwiazdami sufit i zawisała nad olbrzymią świątynią. W pierwszej chwili byłam trochę zdezorientowana, bowiem świątynia spowita była w mgłę... nie, to nie była mgła, tylko chmury, które wiatr przygnał wieczorem. Zawisły nisko nad świątynią, górami i rzeką. Ale noc, chociaż pochmurna, była pogodna, a rozświetlona świątynia rozbrzmiewała śmiechem, muzyką, wesołymi okrzykami. Czyli, jak to się mówi, duch w narodzie nie zaginął.

Moje niematerialne ciało zaczęło przesuwać się w kierunku zachodnim. Co jakiś czas udawało mi się dostrzec między chmurami zielone pola, które ciągnęły się od Świątyni Muz aż do Zamku Laragona. Leciałam tak i leciałam, aż nagle poczułam znany mi już ucisk w dołku. Wyjątkowo znamienny i wyjątkowo nieprzyjemny.

Zwalniałam coraz bardziej, aż zatrzymałam się z oczyma wbitymi w ziemię.

Nagle moje serce zabiło jak dzwon, a krew zaczęła pulsować w skroniach w zawrotnym tempie.

Bo tam, w dole, pola ożyły. Zieleń znikła przesłonięta przez armię stworów. Szły jak to one, w kompletnym milczeniu, niezmordowane, dzięki skrzydłom wykonując te swoje nieprawdopodobne

skoki.

Setki, tysiące gigantycznych insektów.

Nie! Nie! Zamknęłam oczy, błagając Eponę, by jak najszybciej pozwoliła mi powrócić do mojego ciała.

– Nie!

Mój przeraźliwy krzyk zelektryzował wszystkich. Szmer rozmów ucichł, umilkła muzyka, tancerki zmieniły się w nieruchome posągi.

ClanFintan natychmiast wyciągnął do mnie rękę.

– Rheo! Co się stało?

A ja trzęsłam się jak galareta.

– Fomorianie! Już tu idą! Ubiegli nas! Weszli na pola świątyni!

W jednej chwili w zamkowej sali wybuchło prawdziwe pandemonium. Wszyscy zaczęli zrywać się z krzesel

i szeszlągów, kobiety piszczały i krzyczały z przerażenia.

Aż ClanFintan podniósł rękę i zawołał gromko, stanowczo:

– Cisza! – Gdy wszyscy, i centaury, i ludzie, zastygli, mój mąż, wspaniały wódz naczelny,

zagrzmiał: – Nadeszła więc ta chwila! Ruszamy do walki! Przywódcy stad, zbierzcie wojowników na trawnikach po zachodniej stronie świątyni.

Dougal! Wybierz najszybszego posłańca i każ mu przekraść się przez linię Fomorian! Ma dotrzeć do wojowników ludzi i przekazać wieść, że natychmiast potrzebujemy wsparcia!

Wyślijcie też gołębie z tą samą wieścią! Centaury, pamiętajcie, Fomorianie nie mogą przedrzeć się przez nasze szeregi!

– Pobłogosław im, Wybranko!

W jednej chwili panika znikła. Cichy głos Bogini wlał do mej duszy spokój, siłę i odwagę, przekazał mi wolę działania.

Wstałam, a mój donośny głos docierał do najodleglejszego krańca wielkiej sali:

– Liczymy na wasze męstwo! A wiemy, że możemy na nie liczyć, bo wiemy, jacy jesteście silni i odważni. Wiemy, bo prawdziwej odwagi nie mierzy się miarą pospolitego okrucieństwa i drapieżnością kłów i szponów zniewalających kobiety i rozszarpujących napadniętych znienacka mężczyzn.

Prawdziwa odwaga rodzi się z poczucia obowiązku, z głębokiego przekonania, że należy stanąć po stronie dobra i sprawiedliwości! I to właśnie w was widzę. Widzę szlachetność i prawość! Idźcie i pamiętajcie, że każdemu z was w tej trudnej drodze towarzyszyć będzie błogosławieństwo Epony, Jej wielka opiekuńcza przychylność. A ja zawsze i wszędzie sercem będę z wami!

Ściany sali zatrzęsły się od potężnego zbiorowego okrzyku:

– Sławmy Eponę!

A zaraz potem sala zmieniła się w morze opuszczających ją centaurów.

Wcielenia Muz zebrały się wokół surowej teraz na obliczu, skupionej Talii, która przemówiła do

nich:

– Kapłanki! Nasze uczennice wiedzą, że w takiej sytuacji wszystkie mają zebrać się w tej sali. Pilnujcie ich i znajdźcie dla nich jakieś zajęcie, bo łatwiej będzie wtedy zachować spokój.

Kapłanki kiwały głowami, wyrażały słowa aprobaty, jednocześnie zwołując już swoje uczennice, które po wyjściu centaurów zaczęły pojawiać się w sali.

Obok Talii pojawiła się Sila i spytała:

– A może wasze uczennice zaczną gotować wodę? Wrzątek musi być zawsze w pogotowiu. Mogłyby też skubać płótno na szarpie. Ja w tym czasie zajrzę do chorych na ospę. Po powrocie poinformuję panią, jaki jest ich stan, potem pomogę uczennicom przygotować się na przyjęcie rannych.

– Świetnie, Silo. Zrobimy tak, jak poradziłaś.

Usłyszałam, jak ClanFintan woła Łowczynię. Kiedy Victoria podeszła do niego, położył rękę na jej ramieniu i zajrzał

głęboko w oczy.

– Victorio! Chcę, żebyś podczas mojej nieobecności czuwała nad moją żoną.

Victoria przykryła jego dłoń swoją dłonią.

– Ruszaj do walki, przyjacielu, i nie martw się o Rheę.

Będę jej bronić do ostatniej kropli krwi!

Wtedy mój mąż objął mnie i odeszliśmy trochę na bok.

Przez długą chwilę po prostu patrzyliśmy sobie prosto w oczy, potem ClanFintan nachylił się, jego usta przywarły do moich warg. A ja przywarłam do niego, chłonąc całą sobą smak i zapach męża. Po pocałunku ClanFintan objął moją twarz, a ja byłam już całkiem rozklejona. Wargi drżały, powieki latały góra dół, żeby powstrzymać łzy. A tak bardzo nie chciałam, żeby idąc do walki, mój mąż zachował w sercu widok roztrzęsionej nedorajdy.

– Pamiętaj, Rheo, urodziłem się po to, żeby cię kochać.

Jesteś częścią mnie, tak samo częścią mojej duszy. Jeśli ty będziesz bezpieczna, część mnie na zawsze pozostanie bezpieczna.

– Nie, ClanFintanie! – przerwałam mu gwałtownie. – Tobie po prostu nie może stać się nic złego! Nie może! Nie opowiadaj mi tych bajek, że jak ja jestem bezpieczna, to ty też. Pragnę, żebyś wrócił cały i zdrowy, dosłownie cały i zdrowy, a nie w duchowej postaci! Proszę, obiecaj mi to. Jeśli stanie się inaczej, ja tego nie przeżyję.

– Rheo, ty...

– Przyrzeknij!

– Przyrzekam! – Powiedział to tak żarliwie, że zdumiało to nawet mnie. Przytulił mnie mocno i pocałował w czubek głowy.

– Trzymaj się Victorii, Rheo, proszę. Kiedy to wszystko się skończy, odnajdę cię.

Puścił mnie i nie oglądając się za siebie, wybiegł z sali.

Po chwili znów usłyszałam koło siebie stukot kopyt o marmurową posadzkę. Kopyt Victorii.

– Rheo, Talia powiedziała, że możemy wejść na dach świątyni. Podobno nie jest łatwo tam się dostać, ale ja i moje Łowczynie na pewno damy radę. Chodź, będziemy stamtąd wszystko

obserwować.

– Przecież jest ciemno.

– Tak, ale za kilka godzin nadejdzie świt.

Zauważyłam, że do sali weszły pozostałe Łowczynie, wszystkie z kuszami i kołczanami pełnymi groźnych strzał.

Wszystkie bardzo opanowane, pewne siebie, bez cienia lęku, co bardzo dobrze na mnie podziało, a przede wszystkim wyrwało ze stanu odrętwienia.

– Vic, skoczę tylko do siebie na chwileczkę i przebiorę się w strój do konnej jazdy.

– Biegnij. – Skinęła głową. – Czekamy tu na ciebie.

Kiedy po kilku chwilach wróciłam do sali, zauważyłam, że w tym czasie zrobiono tu coś naprawdę pożytecznego, mianowicie uczennice posprzątały ze stołów i zsunęły je pod ścianą, a nad paleniskami w kominkach pozawieszano kotły, niewątpliwie z wodą. Między dziewczętami kręciły się kapłanki, które udzielały rad i dodawały otuchy.

Victoria i pięć Łowczyń, które zdążyłam poznać w Świątyni Epony, stały pod przeciwległą ścianą. Victoria dała mi ręką znak, żebym podeszła do nich. Kiedy ruszyłam tam, na moment zatrzymała mnie Talia i wręczyła długą i wąską rurkę z brązu.

– Przez to będziesz widziała lepiej.

Była to luneta, rzecz w tej sytuacji wprost bezcenna.

Chciałam podziękować Talii, ale już odeszła, by uspokoić kilka roztrzęsionych dziewcząt.

Łowczynie stały w pobliżu gotyckich drzwi, za którymi widać było okrągłą jak w wieży klatkę schodową. Logicznie więc, że schody musiały być kręcone i wąskie.

– Talia powiedziała, że tędy wchodzi się na dach – poinformowała mnie Victoria i pierwsza ostrożnie wstąpiła na schodki. Poszłam za nią, a za mną pozostałe centaurzyce.

Miejsca naprawdę było niewiele. Kiedy Łowczynie rozłożyła ręce, jej dłonie dotknęły ścian, co zresztą podczas tej karkołomnej dla niej wspinaczki było bardzo pomocne.

– Jeśli potkniesz się i przewrócisz, zmiążdżysz mnie, kotku – zakomunikowałam jej słodkim głosem.

Victoria, nie odwracając się do mnie, oświadczyła:

– Łowczynie nie mają zwyczaju się potykać.

– Całe szczęście...

Podążająca za mną Łowczynie, chyba Elaine, roześmiała się.

Czyli prawdą okazało się to, co o nich mówiono: Łowczynie mają nerwy ze stali.

Ja nie. Na szczęście w chwili, gdy byłam już całkowicie przekonana, że ta cholerna spirala ze schodków nigdy się nie skończy, przed Victorią pojawiły się identyczne jak na dole gotyckie drzwi, a zaraz potem jej kopyta zastukały o dach.

Wkroczyła tam i odsunęła się na bok, robiąc nam przejście. Po chwili wszystkie znalazłyśmy się na balkonie z balustradą okalającym kopulasty dach. Balkon nie był szeroki, dlatego Łowczynie musiały stać bokiem, a kiedy się mijały, jedna musiała po prostu przykleić się do ściany. Balustrada była bardzo solidna, między drążkami stały wielkie gliniane donice z bujnym geranium i bluszczem opadającym po ścianie jak zielony wodospad.

Victoria z niesmakiem spojrzała na piękną zielen.

– Zrobiły tu sobie ogród, zamiast przysposobić to miejsce do obrony!

– Przecież jesteśmy w szkole, Victorio! I to w szkole dla dziewcząt, a nie w akademii wojskowej.

Poczułam się w obowiązku bronić tego miejsca, które dla Rhiannon było czymś w rodzaju uniwersytetu, partholońską uczelnią. A ja, Shannon, gdyby ktoś zaczął gadać na Uniwersytet Illinois czy kluby sportowe z tej uczelni (Do boju, Illini!), od razu bym się zjeżyła.

Ale Vic i tak prychnęła z oczywistą pogardą. Identyczny dźwięk wydały z siebie pozostałe centaurzyce, po czym Wielka Łowczyni rozkazała:

– Rozstawcie się co kilka długości twarzy na zachód.

Dajcie znać, kiedy zauważycie wojsko.

Łowczynie karnie wykonały polecenie, natomiast ja sama wyznaczyłam sobie pozycję, oczywiście koło Victorii.

Stałam tak, wpatrując się w nadchodzący świt, i umierałam ze strachu o ClanFintana.

– On jest wielkim wojownikiem, Rheo – półgłosem powiedziała Victoria.

– Dobrze wiesz, że nawet największy wojownik, gdy zostanie ranny, krwawi... – odparłam w napadzie paniki. – Och nie! Victorio, ja tego nie wytrzymam! Może powinnam postarać się zasnąć, może wtedy mój duch go odnajdzie...

– *To nie jest dobry pomysł, Rheo. ClanFintan od razu wyczuje twoją obecność, a podczas walki nie powinno się go rozpraszać, prawda?*

– *No tak, masz rację. Tyle że ja nienawidzę takiego czekania.*

Victoria ze zrozumieniem pokiwała głową.

– *Ja też, Rheo. Ja też...*

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czas mijał. Victoria i ja w milczeniu trwałyśmy na balkonie wokół kopuły świątyni, wyężając wzrok i słuch.

Niestety, jedyne odgłosy, które docierały do nas, to szelest bluszczu, którym bawił się wietrzyk, a także śpiew skowronka, który jak zawsze witał nowy dzień z niewinną, rozczulającą radością. Nawet taki pochmurny, posępny dzień jak ten.

Zaczynało się już przejaśniać, ale i tak było brzydko i szaro, ponieważ chmury, które pojawiły się w nocy, wyraźnie zamierzały tu pozostać. Zauważyłam też dziwną mgłę, która nadciągała z nad bagien i spowijała w gęstą szarość całą okolicę.

Nagle mnie olśniło.

– *Victorio! Przecież Carolan mówił, że Fomorianie unikają dziennego światła! Dlatego zaatakowali dziś, bo pogoda im sprzyja!*

– Tak... – Ponuro pokiwała głową.

Na północy co jakiś czas ukazywały się między chmurami góry otulone mgłą. Przystawiłam lunetę do oka i skierowałam ją w tamtą stronę, dokładniej w stronę góry znajdującej się najbliżej świątyni. Gdy nastawiłam ostrość, zobaczyłam górę bardzo wyraźnie. Tylko górę, żadnych stworów. Jeszcze nie.

Spojrzałam na las, również otulony szarością. Był cichy, wciąż pogrążony we śnie, sprawiał wrażenie oazy spokoju.

Dalej więc przesuwałam lunetę po okolicy, aż w pewnym momencie przez szarość przebiła bardzo żywa zieleń.

Pomyślałam, że to właśnie tam zaczynają się Bagna Ufasach.

I dalej przesuwałam lunetę, nie zdążyłam jednak wrócić do punktu wyjścia, ponieważ nagle usłyszałam krzyk Victorii:

– Tam!

Błyskawicznie oderwałam lunetę od oka. Victoria wskazywała na zachód, na ciemną smugę na horyzoncie. Znów popatrzyłam przez lunetę, niestety moje ręce drżały jak w febrze.

– Proszę. – Wręczyłam lunetę Victorii. – Nic przez nią nie zobaczę, bo moje dłonie dostały wariacji.

Łowczyni przyłożyła lunetę do oka i nastawiła soczewki.

– To ostatni szereg naszych łuczników – zakomunikowała.

Doskonale pamiętałam ten oddział centaurów uzbrojonych w bardzo groźnie wyglądające wielkie łuki i kołczany z długimi, ostrymi strzałami.

– Są dobrzy? – spytałam.

– W Partholonie lepsi od nich są tylko łucznicy Woulffa.

– W takim razie szkoda, że go tutaj nie ma.

– Szkoda... – mruknęła Łowczyni, dalej pilnie wpatrując się przez lunetę na zachód. – O, strzelają, bardzo wysoko... A teraz widzę wojowników. Czekają, aż łucznicy skończą.

Zaczął siąpić deszcz, z widocznością nie było najlepiej, ale kiedy wytrzymałam wzrok, udało mi się dojrzeć w oddali nie tylko szereg łuczników, lecz także ławice strzał cyklicznie ukazujące się na tle nieba. Najpierw wzbijały się w powietrze, frunęły do przodu i pikowały ku ziemi.

W pewnym momencie przed szeregiem łuczników dostrzegłam jakieś błyski.

– Victorio, co to?

– Centaury dobyły miecze z pochew – powiedziała beznamiętnym głosem, jednak na tyle głośno, by usłyszały ją pozostałe Łowczynie. – Już ruszyli.

Kiedy tak jej słuchałam, z jednej strony czułam na plecach lodowaty dreszcz, a z drugiej... a z drugiej mimo wszystko cała ta bitwa wydawała mi się czymś nierealnym. Jakbym oglądała program w telewizji. Bo naprawdę trudno mi było uwierzyć, że gdzieś tam, tuż za srebrzystą linią lśniących mieczy, jest mój mąż.

– Vic, co się dzieje?

– Popatrz sama – powiedziała, podając mi lunetę. – Właśnie rozpoczęła się bitwa.

Otarłam zwilgotniałą od mżawki lunetę i opierając się mocno łokciami o balustradę (ręce nadal dygotały), przyłożyłam lunetę do oka. Zobaczyłam, jak łucznicy ustępują placu i z szarości poranka wylania się długi szereg centaurów z mieczami. Łucznicy dołączają do nich, wydłużając szereg z prawej i z lewej strony, i też wyciągają miecze. Niestety twarzy nie byłam w stanie dojrzeć, zresztą po chwili cały ten długi szereg odwrócił się do mnie tyłem. Fomorian nie widziałam, tylko barczyste plecy walczących centaurów. Część z nich parła do przodu, część cofała się.

– Niestety, Vic, nie mam bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi – powiedziałam zrezygnowanym głosem, oddając jej lunetę.

– Po prostu walczą – odparła Łowczyni. – To może trwać wiele godzin. Rheo, pamiętaj, pierwsza bitwa, którą się ogląda, zawsze wydaje się końcem świata.

– Rozumiem. Tym bardziej że nie możemy nic zrobić, tylko stać tu i patrzeć.

– No właśnie.

Więc stałyśmy i patrzyłyśmy. W południe uczennice przyniosły suchary, ser i mięso, a także bukłak ze słodkim winem.

– Przekażcie Talii, że sytuacja nie ulega zmianie – zawołałam za nimi, kiedy były już na schodkach.

– Talia wie, lady Rhiannon! – odkrzyknęła jedna z nich.

– Talia widzi bardzo dużo – powiedziała Victoria.

– Jestem tego pewna!

Jadłyśmy, jednocześnie nadal obserwując. Luneta krążyła z rąk do rąk. Każda z nas patrzyła przez parę minut, oddawała następnej i znów zabierała się do jedzenia. Kiedy w którymś momencie po raz kolejny odbierałam lunetę od Łowczyni Cathleen, byłam już po jedzeniu. Na deser wypiliśmy kilka łyków słodkiego wina i przyłożyłam lunetę do oka.

I poczułam serce w gardle.

– Victorio! Szybko! Ty popatrz! Co się dzieje?! Szybko, Victorio!

Błyskawicznie przystawiła lunetę do oka. Słyszałam, jak nagle odetchnęła głęboko, a potem... zastygła.

– Victorio!! Odezwij się!

– Fomorianie przedarli się przez szeregi centaurów – powiedziała głuchym głosem. – Los kobiet w świątyni został
przesądzony.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Nie, Vic! Nie! – krzyknęłam, chwytając ją za ramię. – Jest jeszcze szansa. Wiem, że Fomorianie nigdy nie przechodzą przez wodę. Kiedy bieżąca woda oddziela ich od ziemi, czują okropny ból. Trzeba jak najszybciej wszystkie kobiety przeprowadzić przez most na drugą stronę rzeki, tam będą bezpieczne! Oczywiście trzeba będzie potem jakoś zablokować most, żeby Fomorianie na niego nie wleźli, ale o tym pomyśli się później! Teraz najważniejsze uciekać za rzekę!

Victoria momentalnie oddała mi lunetę i zaczęła wydawać rozkazy Łowczyniom.

– Te kreatury przebiły się przez naszych wojowników.

Trzeba jak najszybciej przeprowadzić kobiety ze świątyni przez most, żeby znalazły się po drugiej stronie rzeki. Tylko tam będą bezpieczne, bo te stwory boją się bieżącej wody. Zabieramy się do tego natychmiast!

Przycisnęłam się do balustrady, żeby Łowczynie mogły swobodnie przejść do schodów, jednak ani na moment nie odjęłam lunety od oka. I byłam coraz bardziej przerażona.

Widziałam, jak skrzydlate postaci niczym szarańcza opadają na szeregi centaurów. Żadnych zresztą szeregów już nie było, tylko płatanina ciał. Widziałam, jak wielkie miecze siekają skrzydlate bestie, jak rozszarpywane szponami centaury padają na kolana.

Mnóstwo Fomorian zostało rozsiekanych na kawałki, niestety natychmiast nowi stawali na zwłokach pobratymców, dzięki czemu byli prawie tej samej wysokości co centaury. Tych stworów były nieprzebrane ilości. Kolejne fale szponów i kłów zalewały centaury. Sprawa była przesądzona, musieli ustąpić.

– Rheo! Schodź! Mamy przecież zadanie do wykonania!

– Ale ja go nie widzę, Vic!

– Rheo, przecież powiedział wyraźnie, że cię odnajdzie.

A ty, zamiast stać tu i szaleć z niepokoju, pomożesz nam przeprowadzić kobiety przez most.

– Dobrze.

Pognałam na dół za Łowczyniami. Kiedy weszłyśmy do wielkiej sali, szmer trwożliwych rozmów ucichł i natychmiast podeszła do nas Talia.

– *Wojsko centaurów nie dało rady powstrzymać Fomorian – przekazałam jej. – Fomorianie wejść do świątyni.*

Tę hiobową wieść Talia przyjęła z zadziwiającym spokojem.

– *Lady Rhiannon, wiem już o tym od mojej Bogini. Co mamy robić?*

– *Musicie jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie rzeki Geal. Fomorianie nie sforsują jej, bo nie wchodzi do wody. Tam będziecie bezpieczne... – Odszukałam wzrokiem Uzdrowicielkę. – Wszystkich chorych połóżcie na noszach.*

Łowczynie je przeniosą. – Gdy Sila galopem opuściła salę, znów zwróciłam się do Talii: – Śpieszcie się. Fomorianie mogą zjawić się tu w każdej chwili. Nasi wojownicy nie są już w stanie ich powstrzymać.

– *Tak, Rheo. – Talia odwróciła się, jej donośny głos słyhać było w każdym zakątku sali. – Dziewczęta, musimy jak najszybciej opuścić naszą świątynię! Idźcie za kapłankami na most. Nie zabierajcie ze sobą niczego. Tylko wasze życie... –Przekrzywiła lekko głowę. Wszyscy znieruchomieli, a ja wiedziałam, że słucha głosu rozbrzmiewającego w jej głowie.*

Tego głosu, który był mi już tak bliski. – Bogini zapewniła mnie, że wcale nie widzimy naszej ukochanej świątyni po raz ostatni. Wszystko, co teraz stracimy, zostanie odzyskane.

A teraz śpieszcie na most. Nie zapomnijcie modlić się przez cały czas, by nasi mężni wojownicy jak najszybciej dołączyli do nas po drugiej stronie rzeki!

Kapłanki pośpieszyły do drzwi, wiodąc grupki uczennic.

Erato wzięła Talię za rękę i też zajęły się dziewczętami.

Dodawały im otuchy, ponaglały te, które jeszcze nie dołączyły do swoich grup, jednym słowem Talia naprawdę byłaby świetną nauczycielką w szkole średniej (z tym że na większe pieniądze z tego tytułu, że jest świetna, nie miałyby co liczyć).

– Chodź z nimi, Rheo! – zawołała Victoria.

– A ty gdzie idziesz?

– Pomóc przenosić chorych.

Inne łowczynie już galopowały przez drzwi, za którymi znikła Sila.

– W takim razie zostaję z tobą... – powiedziałam, a widząc, że Victoria ma zamiar podyskutować, dodałam: – ClanFintan kazał mi się trzymać ciebie.

– Dobrze, w takim razie chodź z nami – powiedziała z westchnieniem. – Chociaż nie, lepiej wsiądź na mnie, wtedy będziemy poruszać się szybciej.

I jak ClanFintan, chwyciła mnie w okolicy łokcia, ja przytrzymałam się jej i wylądowałam na lśniącym grzbiecie.

Złapałam ją mocno za ramiona i Victoria pognęła w ślad za swoimi Łowczyniami. W zazwyczaj cichej świątyni zadudniło.

Vic przegalopowała krętym korytarzem i przez otwarte drzwi wybiegła do ogrodu, w chwili gdy ostatnia z Łowczyń zniknęła w drzwiach budynku naprzeciwko.

I zaraz też tam byłyśmy, bo Victoria pokonała dystans dosłownie kilkoma susami.

– Jesteś cholernie szybka! – wrzasnęłam jej do ucha.

– Dlatego zostałam Wielką Łowczynią – odkrzyknęła, jakby to wyjaśniało wszystko.

Znów pobiegła korytarzem i dogoniła Łowczynię w chwili, gdy poczułam dobrze mi znany smród.

Wic zmarszczyła nos, ja zrobiłam to samo.

– To musi być tutaj – powiedziałam, wskazując na wielkie drzwi.

Zsunęłam się na ziemię. Gdy Victoria otworzyła drzwi, weszłam pierwsza i od razu zauważyłam Silę. Stała na środku pokoju, pomagając bardzo słabej, obsypanej krostami nastolatce wstać z łóżka i ułożyć się na noszach o nader prostej konstrukcji, czyli na kocu z drążkami.

– Ci koło drzwi są już gotowi – poinformowała Sila.

– Jest ich więcej, niż się spodziewałam – mruknęła do Łowczyń Victoria. – Dziewczyny, zabieramy się do roboty. – A potem już pełnym głosem dodała: – Silo! Mamy bardzo mało czasu!

W oczach Uzdrowicielki pojawił się lęk, jednak nadal mówiła spokojnie, ze swoją zwykłą łagodną modulacją:

– Proszę o ciszę. – Gdy wszystkie głosy raptownie ucichły, mówiła dalej: – Proszę, by zgłosiły się osoby, które czują się na siłach wsiąść na centaura. Pojadą na Łowczyniach.

Gdy około dziesięciu kobiet zaczęło powoli wstawać z łóżek, centaurzyce podeszły do nich, a ja za nimi, by pomóc chorym przy wsiadaniu na Łowczynię. Za każdym razem, kiedy kolejna Łowczyni z chorą dziewczyną na grzbiecie wybiegała z pokoju, wysoka kobieta w czerni błogosławiła im i

przypominała chorej, że ma trzymać się bardzo mocno, bo inaczej spadnie.

Kiedy ostatnia z Łowczyń wybiegła z pokoju, Sila zawołała:

– Kapłanko! Proszę już iść za nimi, na most!

– Nie. Wyjdę z tego pokoju ostatnia! – padła dramatyczna odpowiedź.

Wszystko stało się dla mnie jasne. To na pewno była Melpomena, Muza Tragedii. A ponieważ, wiadomo, nerwy miałam napięte jak postronki, najchętniej zrobiłabym odpowiednią minę i rzuciła zjadliwie:

– Ależ oczywiście! Przecież nie może być inaczej!

Oczywiście powstrzymałam się.

Kiedy pomagałam wstać z łóżka kolejnej nastolatce, nagle przechwyciłam wzrok ciemnowłosej kobiety, która siedziała na łóżku obok. Bez dwóch zdań twarz była znajoma. Już chciałam zawołać:

– Michelle!

Jednak na szczęście zdołałam w porę ugryźć się w język, tylko szybko podeszłam do ciemnowłosej kobiety.

– Terpsychoro, wydaje mi się, że dasz radę pojechać na centaurzycy. Przygotuj się, proszę, Łowczyńie zaraz wrócą po następne osoby.

– Najpierw pojedą moje uczennice – odparła stanowczym głosem Terpsychora.

Była rozpalona, jej oczy lśniły nienaturalnym blaskiem.

Musiła mieć bardzo wysoką gorączkę, czyli najprawdopodobniej przechodziła przez pierwsze stadium choroby.

– Przecież Łowczyń jest kilka, więc pojedziesz nie sama, tylko ze swoimi uczennicami, a one będą szczęśliwe, że jesteś razem z nimi – powiedziałam, choć bez większego przekonania.

Za dobrze znałam Michelle, a dokładnie tę jej minę, kiedy się na coś uprze (na przykład gdy odgraża się, że kupi tę jedwabną bluzkę za dwieście pięćdziesiąt dolców, chociaż wiadomo wszem i wobec, że stać ją tylko na bawełniany sweterek za dolców czterdzieści).

– Ale ta, która wyjedzie stąd ostatnia, też mnie potrzebuje.

Czyli szkoda marnować czas na głupie dyskusje.

– Dobrze, Terpsychoro. Zrobisz, jak uważasz, ale pamiętaj, że tak czy inaczej należy zniknąć stąd najszybciej. Chyba nie chcesz wpaść w łapy tych bestii. – Ruszyłam do następnej chorej.

– Rhiannon! – zawołała Michelle.

Zatrzymałam się.

– Tak?

– Słyszałam, że bardzo się zmieniłaś.

– Owszem, trochę odmieniłam swoje obyczaje.

– W takim razie z całego serca życzę ci wiele szczęścia w małżeństwie.

Na pewno powiedziała to szczerze, co szkodziło więc się uśmiechnąć.

– Dziękuję, Terpsychoro.

Szczerze mówiąc, zdenerwowałam się. Bo kto wie, czy któraś z nich, Terpsychora albo Michelle, w końcu nie wpadnie na pomysł, żeby jednak tu zostać. Wolałam nawet nie myśleć o tym, co by się stało z Michelle, gdyby wpadła w łapy tych potworów. Choroba nie zaszkodziła jej urodzie. Była bardzo blada, owszem, ale nadal prześliczna.

Podeszłam do wychudzonej jak szkielet dziewczynki, żeby pomóc jej wstać z łóżka. Staralam się jakoś ją rozśmieszyć, klarując, że gdyby nasiąknęła wodą, a do tego miała w kieszeni przemoczoną wiewiórkę, i tak razem by ważyły góra czterdzieści kilo. I odniosłam sukces, bo mała się uśmiechnęła!

Znów zastukały kopyta. Do pokoju wpadły Łowczynie i zaczęły ładować na grzbiety następną partię chorych.

Nagle dziewczyna, którą byłam zajęta, pisnęła. Pisk zabrzmiał głośno i przeraźliwie, co przy jej osłabieniu było co najmniej dziwne.

Nie, wcale nie dziwne, bo kiedy poderwałam głowę, zobaczyłam, jak cały zbryzgany krwią Dougal wbiega do pokoju.

– Szybko! Za rzekę! Uciekajcie! – zawołał, z trudem łapiąc oddech. – Wojownicy starają się nie dopuścić ich do świątyni, ale oni są tuż za nami!

Dygotał jak w febrze, z bardzo groźnej rany ciętej na ramieniu i drugiej, na policzku, sączyła się krew. Czulałam, jak do oczu napływają mi łzy. Boże wielki, przecież on wygląda tak samo jak jego rozszarpany przez stwory brat...

Sila podbiegła do Dougala i zaczęła oglądać jego rany, a w pokoju zakotłowało się. Piski, krzyki, jęki. Jeden wielki zamęt, aż wreszcie do akcji wkroczyła wysoka kapłanka w czerni, czyli Melpomena.

Uniosła ręce i złączyła dłonie, tworząc z nich kulę i –przysięgam – z tej kuli posypały się iskry.

No cóż, mówiłam wam już, że to miejsce jest absolutnie magiczne.

– Proszę zachować spokój. Teraz powiem, co należy zrobić – oznajmiła Melpomena tonem władczyni. – Te, które mogą jechać wierzchem, wsiadają na Łowczynię. Te, które mogą iść, pójdą nad rzekę chodnikiem na tyłach świątyni. Kto nie da rady dotrzeć do rzeki, niech ukryje się wśród krzewów tuż nad rzeką.

Reszta zostaje tutaj.

– Nikt nie powinien tu zostać, bo to oznacza pewną śmierć – powiedziałam w idealnej ciszy, która zaległa w pokoju.

– Ty, Wybranko Epony, powinnaś wiedzieć, że mamy jak się bronić. – Kapłanka uśmiechnęła się, surowe rysy złagodniały. Sroga dotąd twarz zmieniła się nagle w twarz bardzo ładną. – Proszę, nie zwlekajcie, ocalcie swoje życie, a my oddajemy się w pełne miłości ręce naszej Bogini.

My, to znaczy ona i Terpsychora, która stanęła u jej boku i przemówiła spokojnym, łagodnym głosem:

– *Lady Rhiannon, czy to nie ty przysłałaś nam wieść o tym, co przekazała ci Bogini? Że taką chorobę jak ospa można zwalczyć, izolując chorych od otoczenia?*

– *Tak. Ospa jest bardzo zaraźliwa – odparłam zdezorientowana, nie wiedziałam bowiem zupełnie, ku czemu zmierza Terpsychora.*

– *Czyli choroba może się łatwo rozprzestrzenić, jeśli chora osoba zetknie się ze zdrowymi?*

– *Tak. Zgadza się.*

– *Czy Fomorianie są pod pewnymi względami podobni do ludzi?*

– *Są.*

– *W takim razie zostaję i będę się z nimi... stykać.*

Oczywiście, że na takie dictum gwałtownie zaprotestowałam:

– *Nie możesz tego zrobić! Zostaniesz zabita albo spotka cię coś jeszcze gorszego! A my nie mamy pewności, czy oni rzeczywiście zarażają się ospą. Jeśli są na to podatni, to i tak nie ma sensu, żebyś tu została, bo zarażą się chociażby od pościeli, w której leżały chore! – Wskazałam brudne prześcieradła, poduszki i koce skłębione w kącie pokoju.*

Terpsychora wybuchnęła śmiechem. Był prześliczny, zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

– *Sądziysz, że się tam położą? – Gwałtownie spoważniała. – Nie, Rheo. Moja Bogini i ja podjęłyśmy decyzję. Będzie tak, jak postanowiłyśmy.*

Po tak stanowczej wypowiedzi Muzy znów zapadła cisza, którą po chwili przerwał Dougal głosem równie stanowczym:

– Pośpieszcie się! Trzeba opuścić świątynię jak najszybciej!

Terpsychora chciała jednak postawić kropkę nad i:

– Cokolwiek ze mną się stanie, to niewielka cena za podarowanie tym kreaturom czegoś, co dla nas jest bezcenne, prawda?

– Wasz czyn nigdy nie pójdzie w zapomnienie – powiedziałam, patrząc jej prosto oczy, które cudnie się skrzyły w obramowaniu pięknych, gęstych rzęs. – Daję na to słowo.

Terpsychora, uśmiechając się słodko, złożyła przede mną wdzięczny ukłon primabaleriny.

– Cieszę się, że mój ostatni występ pozostanie w pamięci potomnych!

– Tak będzie – zapewniłam i mając na uwadze ponaglenia Dougala, skoncentrowałam się na pozostałych osobach obecnych w tym pokoju. To znaczy wrzasnęłam: – Ruszamy!

Pokój natychmiast się ożywił. Chore dziewczęta mimo nadwątlonych sił starały się jak najszybciej wgramolić na grzbiety Łowczyń. Sila podbiegła do mnie i przekazała woreczek na długim rzemyku.

– Tu maść na rany, która uśmierza ból i przyspiesza gojenie – wyjaśniła pośpiesznie. – Przyda się Dougalowi, ale nie szafuj nią, bo może być potrzebna również innym. Aha, i nie zapomnij zabrać bukłaka z winem.

Gdy kiwnęłam głową, Sila odbiegła, a ja przewiesiłam woreczek z maścią przez lewe ramię, przez prawe bukłak i pobiegłam do chorych pomagać im wsiadać na Łowczynię.

Kiedy ostatnia chora istota znalazła się na grzbiecie centaurzycy, rozejrzałam się po pokoju i zobaczyłam, że Sila i cztery ślaniające się dziewczyny, oparte o nią, dochodzą już do drugich drzwi na tyłach pokoju.

Znów wrzasnęłam:

– Silo! A ty dokąd?!

Odwróciła się, a jej słodki głos przyfrunął do mnie:

– Idę z nimi. Jeśli Bogini pozwoli, spotkamy się po drugiej stronie rzeki.

I razem ze swoim żalonym orszakiem znikła za drzwiami.

– Lady Rheo! Czas nagli!

Dougal wyciągnął do mnie rozdygotaną, zakrwawioną rękę, żeby pomóc mi wsiąść na jego grzbiet. Wszystkie Łowczynie oprócz Victorii wybiegły już z pokoju. Stukot kopyt w korytarzach cichł.

Victoria szybko do nas podeszła i powiedziała:

– Nie, Dougalu, nie wolno ci teraz wozić nawet piórka.

Chwyciła mnie za rękę, wrzuciła na swój grzbiet i waląc kopytami o posadzkę, pognęła do drzwi. Zanim do nich dobiegła, obejrzałam się, żeby jeszcze raz spojrzeć na te, które zostały. Melpomena i Terpsychora, trzymając się za ręce, stały w środku kręgu kobiet, które były zbyt chore i musiały zostać.

Wszystkie miały głowy pochylone i, uwierzcie mi, każda z tych kobiet jaśniała niezwykłym światłem.

Tyle zdążyłam zobaczyć, nim Victoria wypadła na korytarz.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lowczynie były gdzieś przed nami. Gdzie – nie wiadomo, bo znikły nam z oczu. Ale Victoria bez wahania obrała kierunek, pokonując korytarze, drzwi, ogrody na przelaj, cały ten labirynt, jaki stanowiła świątynia główna i jej otoczenie. W końcu wybiegła na wielki trawnik od frontu i skręciła w lewo.

Ja jednak zauważyłam coś bardzo istotnego po drugiej stronie.

– Tam! – wrzasnęłam, szarpiąc ją za ramię. – Na prawo!

Victoria i pędzący za nami Dougal natychmiast się zatrzymali i spojrzeli na centaury, które pojawiały się sukcesywnie na północno-zachodnim krańcu trawnika.

Walczyły zaciekle, siekąc srebrzystymi mieczami skrzydlate potwory. Niestety, jak już to widziałam przez lunetę, tych bestii musiały być miliony. Kiedy jedna padła, natychmiast na jej miejsce pojawiała się druga, wskakiwała na zwłoki pobratymca i obnażając kły, wyciągała szpony.

Centaurzy nie wytrzymały naporu, cofały się. Widziałam, jak jeden z nich upadł na kolana i natychmiast sześć rozjuszonych stworów wskoczyło mu na plecy. W mgnieniu oka grzbiet centaura spurpurowiał od krwi.

– Biegniemy! Na most! – krzyknął Dougal. – Wojownicy starają się powstrzymać ich jak najdłużej!

Znów rzuciliśmy się do ucieczki. Pognaliśmy przez trawnik, obiegliśmy róg świątyni, a tam zobaczyliśmy przerażone uczennice biegnące w naszą stronę.

– Stać! – ryknął Dougal, zastawiając im drogę. – Tu nie wolno! Biegnijcie na most!

– Ale... ale ... – Jedna z dziewczynek, z trudem łapiąc oddech, zaczęła gwałtownie kręcić głową. – Ale... ale oni już tam są!

– Co? Kto tam jest?!

– Fomorianie! – krzyknęła histerycznie uczennica. – Rąbią most!

– O Bogini, pomóż nam... – szepnęła Victoria.

– Czyli zostaliśmy okrążeni. Podeszli od północy, żeby odciąć nas od rzeki, jedynej drogi ucieczki – powiedział Dougal.

A mojej skołatanej głowie cichy głos podszeptał, jak pokierować przerażonymi dziewczynkami.

– Słuchajcie! – zawołałam – Uciekajcie na bagna!

– Tak! Na bagna! – zawtórowała Victoria. – Fomorianie boją się wody, na bagna też nie wejdą! Biegnijcie tam! Szybko!

Dziewczynki pobiegly.

– W takim razie my też biegniemy na bagna – powiedział

Dougal. – Przecież we dwoje nie damy rady odpędzić Fomorian od mostu.

Victoria pokiwała głową, natomiast ja oznajmiłam:

– Ale ja na bagna nie wejdem.

– Musisz, lady Rheo.

– Nie. Będę czekać na skraju. Bez ClanFintana nie wejdem na bagna.

– Lady Rheo, to ClanFintan kazał mi biec do świątyni i zabrać cię w bezpieczne miejsce. Powiedział, że kiedy tylko będzie mógł, od razu cię odszuka.

– Czyli on... on żyje, tak?!

Nie muszę wam mówić, ile kosztowało mnie wyduszenie z siebie tego pytania.

– Lady Rheo, kiedy widziałem go po raz ostatni, na pewno żył.

– A więc, tak jak powiedziałam, będę czekać na niego na skraju bagien.

Victoria i Dougal już nie dyskutowali, tylko wymienili znaczące spojrzenia i ruszyli szybkim galopem w tę samą stronę, w którą pobiegły dziewczynki. Niebawem zresztą je dogonili.

Słyszałam, jak Vic westchnęła i zatrzymała się, Dougal oczywiście też.

– Przesuń się do przodu, Rheo. Będziesz miała towarzystwo – powiedziała Victoria, siląc się na dowcip. – Dziewczynki, wsiadajcie. Na lekcję jazdy konnej nie mamy już czasu.

Dougal, krzywiąc się z bólu, posadził za mną dwie dziewczynki, dwie pozostałe umieścił na swoim zakrwawionym grzbiecie i ruszyliśmy z kopyta z przerażonymi dzieciakami przyklejonymi jak kraby do grzbietów centaurów.

– Mam nadzieję, że do tych bagien nie jest daleko – powiedziałam do ucha Victorii.

– Ja też – szepnęła, ciężko dysząc. – Wy, ludzie, chyba ważycie coraz więcej...

Jeszcze zanim zobaczyliśmy bagna, wyczułam je nosem.

Znów pomyślałam, że śmierdzi jak stary kompost, ale tym razem był to dla mnie zapach upragniony. Centaury zatrzymały się na szczycie zbocza. Przed nami, w dole, widać było niewielki zagajnik porośnięty głównie omszałymi cyprysami.

Zauważyłam też kilka wierzb i jeszcze inne drzewa o żółtej korze, prawdopodobnie wiązy. A przed nami, na skraju zbocza, widniały bardzo wysokie, ogromne kamienie, porozstawiane mniej więcej co pięć metrów. Przypominało to słynną świątynię słońca w Stonehenge.

– Wyglądają jak strażnicy – mruknęłam.

– Bo to są strażnicy, lady Rhiannon! – odezwała się dziewczynka przyklejona do moich pleców. Ze strachu obejmowała mnie tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać.

– Talia opowiadała nam, że pierwsze Wcielenia Muz kazały ustawić tu kamiennych strażników, żeby bagna nie rozlały się na ich nową świątynię... Och, przepraszam, lady Rhiannon.

Przecież milady na pewno wie o tym.

– Nie szkodzi, dziecko. Miło posłuchać jeszcze raz nauk naszej Talii.

Kiedy wszystkie dziewczynki znów znalazły się na ziemi, Vic poinstruowała je:

– Biegnijcie na bagna, a potem cały czas idźcie brzegiem w lewo. Może uda wam się dojść do rzeki, może nawet zdołacie w jakiś sposób przedostać się na drugi brzeg. Jeśli nie, wracajcie tutaj, w pobliże świątyni, i czekajcie. Na pewno ktoś po was przyjdzie.

Dziewczynki podziękowały i nie ociągając się, zbiegły w dół po zboczu. Weszły na bagna i wkrótce znikły nam z oczu.

– My też ruszamy na bagna – powiedział Dougal.

Natomiast ja, spoglądając na świątynię, powtórzyłam swoją mantrę:

– Zostaję. Poczekam tu na ClanFintana.

Victoria i Dougal też spojrzeli na świątynię widniejącą po drugiej stronie rozległego trawnika. Z miejsca, gdzie staliśmy, widać było dokładnie, że cały kompleks budynków stał na wzniesieniu, dzięki czemu nawet w pochmurny dzień dobrze było widać stamtąd okolicę. Teraz też zorientowałam się, że wysokie żywopłoty z ozdobnych krzewów, przez które Vic i Dougal przedzierałi się bez pardonu, podążając ku bagnetom, są nie tylko dla ozdoby, lecz także po to, by zasłaniać świątynię od strony południowej.

Teraz świątynia była polem bitwy. Hordy Fomorian nacierające na wycofujące się centaury wdarły się już na schody wiodące do świątyni głównej i na okalające ją trawniki. Zwarte szeregi centaurów dawno już uległy rozproszeniu, teraz nasi obrońcy walczyli w małych grupkach, po kilku, resztką sił

starając się powstrzymać makabryczną szarańczę. Co było już niemożliwe. Widziałam, jak skrzydlate stwory przemykają między centaurami i wbiegają do świątyni albo pędzą ku rzece.

– Mam nadzieję, że przynajmniej część kobiet zdążyła przejść przez most – odezwał się półgłosem Dougal.

– Ja też... – przytaknęłam, dalej wyrażając wzrok i starając się dojrzeć twarze walczących centaurów. – Jaka szkoda, że nie mam lunety...

– Wchodzimy na bagna – powiedziała Vic niby stanowczo, ale czuło się, że do bagien podchodzi z wielką rezerwą.

Ja, oczywiście, swoje:

– Nie ruszę się stąd bez ClanFintana.

– Rheo, zrozum, nawet jeśli przypadkiem go zobaczysz, to co z tego? Przecież on nie wie, że tu jesteś!

– Może pójdę tam i poszukam go? – spytał Dougal.

Na co ja absolutnie nie mogłam się zgodzić.

– Sam?! Zabiją cię! – zawołałam.

– Pójdę z nim – zaofiarowała się Victoria.

– Wykluczone! – wrzasnęłam. – Zabiją was oboje!

Mój umysł jednocześnie pracował na najwyższych obrotach, starając się gorączkowo wymyślić coś sensownego.

Naturalnie bez skutku, bo czegoś takiego nie wymyśli umysł, w którym panuje kompletny chaos. Niestety, wszystko to razem wydarzyło się tak nagle, tak błyskawicznie. Nikt nie przewidział, że Fomorianie zaatakują wcześniej. I gdzie posiłki?

Wojownicy ludzie mieli przecież nas wesprzeć. Gdzie się podziewają? I gdzie jest ClanFintan? Gdzie jest ClanFintan, gdzie jest ClanFintan, gdzie...

– Spokojnie, Wybranko. Wysłuchaj mego głosu...

Kiedy usłyszałam Boginię, natychmiast nakazałam swojej głowie wziąć się w garść. Zamknęłam oczy, ukryłam twarz w dłoniach i odetchnęłam głęboko, oczyszczająco, co pomogło mądrym słowom Epony dotrzeć do mojego rozdygotanego mózgu.

– Tak! – krzyknęłam, otwierając oczy. – Vic, proszę, podwieź mnie do jednego z tych głązów.

Victoria spojrzała na mnie dziwnie, ale bez słowa protestu podbiegła klusem do najbliższego głązu. Był naprawdę wielki.

– Vic, przepraszam, ale muszę stanąć na tobie. I proszę, potrzymaj mój bukłak.

Victoria ściągnęła ze mnie bukłak i ustawiła się tyłem do głązu.

– Może staniesz na moim zadzie.

– Vic, jesteś świetną kumpelą.

– Wiem.

Stanęłam na jej zadzie i złapałam się mocno za wystający brzeg głazu.

– Dougal, proszę, podsadź mnie.

Oparłam prawą stopę na złączonych dłoniach Dougala, tak jak to się robi, kiedy przy czyjejs pomocy wsiada się na konia (o ironio losu!). Dougal zaczął liczyć i na „trzy” uniósł szybko dłonie, a ja odbiłam się drugą nogą od zadu Victorii.

Podciągnęłam się i wylądowałam na szczycie głazu.

Na szczęście był płaski, o powierzchni mniej więcej siedziska składanego krzesła. Ale i tak miałam duszę na ramieniu. Cóż jednak robić... Wstałam, wiadomo, powolusieńku i ostrożnie, i by łatwiej utrzymać równowagę, rozłożyłam ręce.

– Rheo, uważaj! – zawołała z dołu Vic.

– Uważam, uważam. A jednak jest tu cholernie wysoko!

Stałam twarzą do świątyni, do pola bitwy, które teraz, stojąc wyżej, widziałam dokładnie. Pole bitwy... Nie, to było pole okrutnej rzezi. Żywych, walczących jeszcze centaurów zostało się tak niewiele, za to wszędzie widać było skrzydlate stwory.

Zamknęłam oczy. Oglądanie, jak giną mężne centaury, a skrzydlate bestie plugawią święte miejsce... Nie, to było ponad moje siły.

– Skup się, Wybranko. Myśl tylko o swojej miłości do niego.

Skinęłam głową i skoncentrowałam się całkowicie na ClanFintanie. Pod powiekami zaczęły się

przesuwać obrazy z naszego tak bardzo jeszcze krótkiego wspólnego życia.

ClanFintan niesie mnie, trochę ubzdryngoloną, do mojego pokoju. ClanFintan masuje mi stopy, to było podczas podróży do Zamku MacCallana. ClanFintan trzyma mnie w objęciach ostrożnie, delikatnie, żebym przestała się go bać. ClanFintan zmienia postać, żebyśmy mogli współżyć ze sobą jak małżeństwo... ClanFintan mówi mi, że urodził się po to, by mnie kochać.

ClanFintan.

Odchyliłam głowę, nabrałam powietrza do płuc i krzyknęłam nadzwyczaj głośno, wkładając w to całą swoją duszę. Mój krzyk, o mocy zwielokrotnionej dzięki magii Bogini, przemknął nad zieloną trawą. Był tak potężny, że wydawał się czymś namacalnym, czymś materialnym.

– CLANFINTANIE! WRÓĆ DO MNIE!

Wszyscy wokół świątyni nagle znieruchomieli. Każdy centaur czy Fomorianin zastygł w jakiejś pozie, wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Patrzyłam jak na makabryczny obraz, przedstawiający moment przed ostateczną klęską tych, których kochałam i do których należałam, na zbliżające się końcowe żniwo śmierci – gdy nagle mała grupka centaurów z prawej strony, na samym krańcu tego malowidła, ożyła. A moje serce zabiło jak szalone.

Biegli do mnie, a ja, nawet z takiej odległości, dostrzegłam, kto biegnie na czele.

– Biegnie do mnie! Biegnie! – krzyknęłam rozradowana i nagle paniczny strach ścisnął mnie za gardło. Bo ożyli również Fomorianie i żądni krwi, ruszyli w pościg.

– Och nie! Oni ich ścigają! Oni idą tutaj!

– Niech milady schodzi! – krzyknął Dougal, wyciągając po mnie ręce. – Szybko!

– Zaraz! Poczekaj!

ClanFintan i towarzyszące mu centaury walczyły zaciekle z niekończącym się strumieniem stworów. Słyszałam wrzaski kreatur, kiedy miecze, uderzające z nową siłą, siekły ich na kawałki. Ale i tak jeden centaur po drugim padał pod naporem chmary Fomorian. Zauważyłam też, że z masy stworów wyłonił

się jeden, jeszcze szybszy, jeszcze bardziej zaciekły od pozostałych. Biegł dokładnie w moją stronę. Za nim popędził

następny i następny...

Spojrzałam jeszcze raz na tego, który biegł na przedzie.

W jego ruchach i w sylwetce było coś znajomego. Tak, to on.

Nie, nie było sensu czekać, aż mnie dopadnie.

– Dougal, łap mnie!

Zeskoczyłam, odebrałam od Victorii bukłak, a potem ponurym głosem przekazałam najświeższą wiadomość z pola bitwy:

– Centaury dalej walczą, ale stwory mają ogromną przewagę liczebną.

Dougal natychmiast wyciągnął z pochwy miecz, natomiast Victoria chwyciła za kuszę, wyjęła z kołczanu strzałę...

Wtedy żywopłot zaszeleścił i moim oczom ukazał się ClanFintan. Był prawie nie do rozpoznania. Ręka i miecz we krwi, w ogóle cały był zakrwawiony. Na nagim torsie –kamizelka znikła – widniały krwawiące szramy po szponach.

Włosy we krwi, na twarzy rana od prawej skroni aż do szczęki.

Cud, że oko ocalało...

Kiedy tylko zatrzymał się przed nami, Dougal krzyknął:

– Na bagna! Oni tam nie wejdą!

ClanFintan chwycił mnie śliskimi od krwi dłońmi i rzucił

na swój grzbiet. Zauważyłam, że na zadzie ma też kilka głębokich ran. Cały grzbiet zresztą był we krwi, nie wiedziałam jednak, czy to jego krew, czy wroga.

Ostrożnie położyłam ręce na jego ramionach, starałam się też nie ścisnąć łydkami z obawy, że urażę jakąś ranę, której po prostu nie widzę. ClanFintan zawsze był bardzo ciepły, a teraz jego ciało pod moimi palcami gorące było jak ogień. Parzyło.

Spojrzał na żywopłot.

– Wojownicy, którzy biegli ze mną? – spytał jakby obcym, zachrypniętym głosem.

– Nie dali rady – powiedziałam cicho. – Stworów było zbyt wiele.

ClanFintan w milczeniu przykrył moją dłoń swoją zakrwawioną dłonią.

Pierwszy Fomorianin przeskoczył przez żywopłot.

Victoria ruchem tak szybkim, że prawie niezauważalnym, wypuściła z kuszy strzałę, która prawie po lotki wbiła się stworowi w czoło. Upadł, i już następna kreatura, warcząc, wskakiwała na jego ciało. Temu drugiemu Vic posłała strzałę prosto w gardło.

Centaury zaczęły schodzić po zboczach prowadzącym na bagna. Vic przez cały czas niezmordowanie strzelała z kuszy, jakby była to kusza maszynowa. Kiedy wbiegaliśmy do zagajnika na skraju bagna, nagle z góry, spoza jednego z kamiennych strażników, dobiegł do moich uszu znajomy syk.

Nuada. Schował się za potężnym głazem, zza którego wystawały tylko jego podniecone, rozedrgane skrzydła.

– Widzę cię, samiczko. Pamiętaj, chcę, żebyś była moja.

Pamiętaj, że jeszcze się spotkamy...

Victoria natychmiast posłała strzałę ku rozedrganym skrzydłom. Jedno z nich na pewno rozdarła.

Na bagna wchodziliśmy przy akompaniamencie dzikiego wrzasku Nuady.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy wyszliśmy z zagajnika, krajobraz uległ drastycznej zmianie. Wrażenie było takie samo, gdy człowieka z pięknej willi w Grecji ktoś nagle przerzuci w sam środek bagienek i jezior Luizjany. Przed nami rozpościerały się bezkresne mokradła. Był to cichy świat stojącej wody, gadów i robali wszelkiego rodzaju, widocznych lub niewidocznych (ożeż ty!).

Powietrze też stało, nawet śladu choćby najłagodniejszego wietrzyku.

Kopyta centaurów zapadały się niebezpiecznie w błotnistej, maksymalnie nasyconej wodą ziemi, jednak konsekwentnie parły do przodu, by jak najszybciej i jak najbardziej oddalić się od Fomorian.

W pewnym momencie błoto się skończyło, a zaczęło jezioro. Centaury bez wahania weszły do wody i zanurzone prawie do połowy brnęły przez zielonkawą ciecz ozdobioną grubymi płachtami glonów.

Po jakimś czasie ClanFintan zaczął zwalniać, odstawać.

Victoria i Dougal, którzy wysunęli się do przodu, co chwilę spoglądali na mego męża z wyraźnym niepokojem. Nie zatrzymaliśmy się jednak, a po chwili Victoria wskazała na kępę drzew, które, jak na moje oko, rosły na ziemi względnie normalnej, takiej półtwardej.

Wszystkie centaury bez słowa skierowały się w tamtą stronę. Kiedy znaleźliśmy się bliżej, okazało się, że jest to mała wysepka na środku płytkiego jeziora. Brzeg był twardy, z ziemi wystawały wielkie korzenie cyprysów, podobne do grubych, szaro-brązowych węzów. Byłam pewna, że wśród tych korzeni mają mieszkać pełzające istotki wszelkiego rodzaju.

Ale nic to. Najważniejsze, że mamy przed sobą płachetek solidniejszego gruntu. Trójka centaurów jednocześnie wskoczyła na brzeg. Kiedy tylko kopyta ClanFintana stanęły na twardej ziemi, zsunęłam się z niego i podałam buklak Victorii.

Od razu wyjęła korek, ale nie skorzystała pierwsza z mojej uprzejmości, tylko podała buklak Dougalowi. A ja zaczęłam rozwiązywać woreczek, który dostałam od Sili, jednocześnie jeszcze raz gorąco dziękując jej za to w duchu. Oby Bogini Epona pomogła jej bezpiecznie przepłynąć przez rzekę.

W woreczku był słoik z gęstą, żółtawą maścią, cienkie szarpie, czyli wyskubane na gazę płótno, kilka zagiętych igieł i czarna nitka, trochę sztywna i śliska, jak żyłka do wędki. Igłą i nitkami w pierwszej chwili byłam zaskoczona, zaraz jednak dotarło do mnie, że to chirurgiczny sprzęt do szycia. I zrobiło mi się trochę nijako.

– ClanFintanie, obejrzę twoje rany.

Podniosłam głowę i spojrzałam na ciężko dyszącego centaura, mego męża. I przeraziłam się. Był cały we krwi.

W bardzo nielicznych miejscach, gdzie krwi nie było, brązowa skóra dziwnie pojaśniała, stała się

szara. Mięśnie drżały, z ciężkiej rany na głowie sączyła się krew.

– Ustysza... usłyszałem, że mnie wołasz – wydyszał.

A ja czułam, że łzy napływają mi do oczu.

– Bez ciebie nie ruszyłabym się stamtąd! Czy ty... czy dojdiesz do siebie?

Wyciągnął do mnie rękę. Rzuciłam się do niego, natychmiast złapałam za dłoń, ale...

– Boję się ciebie dotknąć, ClanFintanie. Nie chcę sprawiać ci dodatkowego bólu.

Podniósł moją dłoń do ust.

– Nie bój się – szepnął, przesuwając wargami po mojej dłoni.

W tym samym momencie głos w mojej głowie przywołał

mnie do porządku:

– Opatrz mu rany, Wybranko!

Skinęłam na Dougala, żeby oddał bukłak, który przekazałam mężowi.

– Też powinieneś się napić. – Gdy ClanFintan skwapliwie odebrał ode mnie bukłak i solidnie się

napił, nasączyłam gazę winem i powiedziałam: – A teraz nachyl się, żebym mogła obejrzeć ranę na głowie. I proszę, nie ruszaj się, choć na pewno będzie bolało. I to porządnie.

– Najpierw zajmij się ranami Dougala, Rheo – powiedział

ClanFintan.

Spojrzałam na młodego centaura, który energicznie pokręcił głową.

– Dougal nie krwawi – oznajmiłam. – A ty krwawisz, ClanFintanie. Proszę, nachyl się i postaraj się nie poruszyć.

– Ja zajmę się Dougalem – oznajmiła Victoria. Podobnie jak ja, nasączyła winem kawałek gazy i podeszła do młodego centaura.

Kątem oka widziałam, jak czworonogi młodzieniec w pierwszej chwili nie wie, czy skakać z radości, czy po prostu zwiewać. Wystarczyło mu jednak rozsądku, by zdecydować się na trzecie rozwiązanie. Zastygł, dosłownie zastygł, kiedy prześliczna Łowczyni zaczęła czyścić ranę na jego policzku.

Byłam pewna, że Dougal wstrzymał oddech.

I faktycznie, bo słyszałam, jak Victoria rzuca żartobliwie:

– Oddychać wolno.

– Tak, Łowczyni.

Biedny Dougal odetchnął głośno i głęboko.

Musiałam się uśmiechnąć, może i złośliwie, ponieważ usłyszałam cichy, ale karcący szept męża:

– Nie wyśmiewaj się ze żrebaka.

– Wcale się z niego nie śmieję – odszepnęłam, zachwycona, że mój mąż ma jeszcze siłę pożartować ze mną. – Dobrze wiesz, że mnie nasz Dougal po prostu rozczula.

– Może Victoria myśli tak samo...

Nawet się uśmiechnął! No proszę! Czyli jednak nie jest tak źle!

– Oby. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo by mnie to ucieszyło. Ale teraz, ClanFintanie, proszę, nic już nie mów, tylko stój spokojnie.

Chrząknął jedynie, po czym karnie podczas moich zabiegów zachował ciszę i spokój. Najpierw zajęłam się raną na głowie. Po jej oczyszczeniu stwierdziłam z ulgą, że nie jest tak głęboka, jak myślałam. Naniosałam na nią maść od Sili i zajęłam się ranami na piersi, niestety, bardzo poważnymi. Były to cztery długie ukośne cięcia przecinające lewą pierś i żebra z prawej strony. Te rany już nie krwawiły. Niestety, nie miałam pojęcia, czy to źle, czy dobrze.

Podniosłam głowę i natrafiłam na wzrok ClanFintana.

– Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, że odniosłeś bardzo poważne obrażenia? – spytałam, starając się sprawiać wrażenie osoby kompetentnej.

– Tak, ale szybko dojdę do siebie – oświadczył już bardziej normalnym głosem, bez tej chrypy i zadyszki. – Centaury są niezwykle żywotne i odporne.

– Wiem, wiem... – Uśmiechnęłam się, zadowolona z tak krzepiącej odpowiedzi. – Domyślałam się, że

dlatego powracacie do zdrowia szybciej niż większość ludzi.

– Tak, a już zwłaszcza wtedy, kiedy choremu bardzo zależy na odzyskaniu kondycji...

Nachylił się, żeby mnie pocałować, niestety nie wypadło to efektownie, ponieważ jednocześnie skrzywił się z bólu.

– A na to, kochanie, mamy jeszcze czas – oznajmiłam i powróciłam do ran na klatce. Oczyszczałam je i potraktowałam maścią, po czym przystąpiłam do najtrudniejszego zadania, to znaczy do ran na grzbiecie i zadzie. – Tu jest tyle krwi, brudu i w ogóle wszystkiego, że trudno cokolwiek zobaczyć, ClanFintanie. Na zadzie na pewno są rany, widzę je. Ale poza tym... nie wiem. A jak ty sądzisz?

Obrócił się w tył od pasa w górę i spojrzał na swoją końską część wzrokiem bardzo niepewnym, jakby było to dla niego ciało obce.

– Myślę, że nie.

– Dobrze. W takim razie zakładamy, że masz rany tylko na zadzie i trzeba je opatrzyć. ClanFintanie, niestety, musisz się położyć.

Westchnął, ale posłusznie ugiął kolana i opadł na bok, a ja przypomniałam sobie, co mi wbijano do głowy na temat chorych koni, i krzyknęłam przerażona:

– ClanFintanie, ale potem dasz radę wstać?!

– Myślę, że tak.

Oby!

Gdzie, do cholery, podziewa się ten weterynarz?! Kiedy naprawdę jest potrzebny, to go oczywiście nie ma!

Rozorany szponami zad wyglądał strasznie. Patrzyłam na trzy wielkie rany w kształcie litery L. Płaty skóry oddartej od ciała wisały na jednym strzępku. Kiedy bardzo ostrożnie, minimalnie i na ułamek sekundy uniosłam jeden z takich płatów, ClanFintan syknął. Zdążyłam jednak zobaczyć, że pod oderwaną skórą jest puste miejsce po wyrwanym kawałku ciała.

– Myślę, że te rany trzeba zaszyć – oznajmiłam pewnym głosem, choć na samą myśl, że miałabym dokonać takiej operacji, robiło mi się słabo.

– Rób, co trzeba – powiedział ClanFintan bez żadnych oznak zdenerwowania.

– Najpierw je przemyję.

Nasączyłam kolejny kawałek gazy. Starłam się oszczędzać wino, w końcu mieliśmy go niewiele. I szkoda, bo najlepiej by było po prostu zlać alkoholem cały zad, bo tyle na nim było głębokich, niebezpiecznych ran. Starłam się gazikiem oczyścić je jak najstaranniej z brudu, myśląc przy tym, że za dużą butlę wody utlenionej i strzykawkę z penicyliną oddałabym całą biżuterię Rhiannon. Potem nałożyłam na rany grubą warstwę maści Sili i byłam szczęśliwa, kiedy ClanFintan wyraźnie się odprężył. Czyli ta maść faktycznie, jak mówiła Sila, uśmierza ból.

Pogłaskałam męża po ramieniu i podałam mu bukłak.

– Teraz po prostu odpocznij. A ja muszę pogadać z Victorią.

Ona zaś gawędziła miło ze swoim pacjentem. Zauważyłam, że wszystkie rany Dougala zostały pokryte żółtą maścią, a twarz i w ogóle cała skóra zaczynały odzyskiwać normalny kolor.

Przywołałam wzrok Łowczyni i powiedziałam:

– Vic... – Zabrzmiało to nieskończenie żałośnie i całkiem adekwatnie do mojego stanu ducha, bo wprost umierałam ze strachu. – Vic, wydaje mi się, że rany na zadzie ClanFintana trzeba zaszyć.

– Całkiem możliwe.

– Ale ja... – Kontynuowałam już cichutko, na granicy słyszalności: – Vic, nawet sobie nie wyobrażam, że miałabym go zszywać... – Jeszcze chwila i się rozryczę, co dołowało mnie jeszcze bardziej. – Vic, mogę zszyć ciebie lub Dougala, ale nie jego! – I po krótkiej chwili dodałam: – Och, nie chciałam was urazić, ale...

– Lady Rheo, proszę w ogóle o czymś takim nie mówić! –zaoponował Dougal.

Jak zawsze słodziak.

– Ja to zrobię – oznajmiła Victoria swobodnie, bez żadnego stresu, jakby miała skoczyć za róg po pizzę.

– Cudownie... – Chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą. – Chodź, kochana, chodź. Jestem pewna, że nie wolno z tym zwlekać, bo jeszcze do ran dostanie się jakieś świństwo z tego cholernego bagna. Tak się boję, bo jeśli mu od tego wszystkiego cały zad odpadnie...

Bredziłam, ale naprawdę byłam nieludzko zdenerwowana.

A jakby tego było mało, nagle rozległ się wesolutki głos ClanFintana:

– Kochanie! Czy zdajesz sobie sprawę, że słyszę każde twoje słowo?

– Niczego nie słyszałeś – oświadczyłam, kiedy razem z Vic podeszliśmy już do niego. – Omamy. Musisz mieć wysoką gorączkę.

– A jeśli jeszcze jej nie masz, to lepiej, żeby zaraz cię dopadła – oświadczyła Victoria, demonstracyjnie zabierając się do nawlekania igły.

Normalnie sadystka! Byłam przerażona. A mój drogi mąż, ten sam, który za chwilę miał cierpieć męki, a także Dougal ryknęli takim śmiechem, że aż im się końskie brzuchy trzęsły.

Czyli stanowczo coś tu nie gra.

– Chwileczkę...

Tę chwileczkę wykorzystałam na przyjęcie postawy typowo belferskiej, to znaczy: spojrzenie przenikliwe, ramiona skrzyżowane, jedną stopą miarowo stukasz o posadzkę, w tym przypadku o ziemię.

I w tejże postawie kategorycznym tonem zażądałam wyjaśnień:

– *A co wam tak wesoło? Wy chyba nieźle zabawiacie się moim kosztem!*

– *Chodź, kochanie, chodź tu do mnie!*

ClanFintan wyciągnął ręce. Oczywiście, że natychmiast dałam nura w jego objęcia. To, że daleko im było do świeżutkich i pachnących, w tym momencie było nieistotne.

Pocałował mnie w policzek.

– Najgorsze mamy już za sobą.

– To znaczy?

Jednak ClanFintan nie zdążył udzielić mi odpowiedzi, ponieważ do jego zadu podeszła Victoria z nawleczoną igłą.

– Muszę mieć coś do odcinania nitki! – zawołała, na co Dougal natychmiast wy dobył miecz z pochwy. – Zaczynam! – gromko oznajmiła Vic.

Igła z charakterystycznym cichutkim dźwiękiem przebiła skórę i wyszła z drugiej strony, ciągnąc za sobą czarną nitkę, która też wydawała charakterystyczny dźwięk. Takie – szuuu...

Gdy Dougal mieczem odciął nitkę, Vic mocno zawiązała jej końce. I znów igła z cichutkim, charakterystycznym dźwiękiem przebiła się przez skórę...

Czułam, że robi mi się słabo.

– Pamiętaj, żeby zostawić miejsce na drenaż – powiedział

ClanFintan.

Moim zdaniem jego głos był nienaturalnie spokojny.

Natomiast spojrzenie, które posłała mu Vic, było bardzo wymowne, z tych w rodzaju: Nie jestem idiotką!

– Rheo... – cicho odezwał się ClanFintan – ta maść jest niezawodna. Naprawdę niczego nie czuję.

Spojrzałam mu w twarz. Bardzo chciałam wierzyć mężowi, niestety kiedy zobaczyłam nad górną wargą drobniutkie kropelki potu, nadal miałam pewne wątpliwości.

– Ja... och, po prostu nie lubię igieł – oświadczyłam i przytulona do jego ramienia dalej patrzyłam, a także słuchałam, jak Victoria zszywa mojego małżonka.

Szyła i szyla, miałam wrażenie, że trwa to wiele godzin, w końcu jednak nadeszła upragniona chwila, kiedy Victoria zrobiła ostatni szew i poprosiła, bym podała jej maść, a potem nałożyła grubą warstwę na pocerowaną skórę ClanFintana.

– Będziesz miał blizny – powiedziała, nie kryjąc zazdrości.

Mój mąż chrząknął i poruszył się, jakby miał zamiar już wstać.

– Nie! – krzyknęłam, przytrzymując go za ramiona. – Powinieneś odpocząć, tak jak i Dougal. Fomorianie nie wejdą na bagna, więc panuje tu spokój, a wy macie za sobą strasznie ciężką walkę. Musicie dojść do siebie.

– Nie, Rheo! – zaprotestował ClanFintan. – Muszę zebrać centaury, które przeżyły, odnaleźć kobiety i wrócić do świątyni, i to jak najszybciej. Fomorianie jeszcze z nami nie skończyli...

– Jak nie będziesz miał siły, to i tak niczego nie zrobisz – oświadczyłam, podnosząc głos.

Zanosilo się więc na naszą pierwszą kłótnię małżeńską, ale dobra wróżka Victoria nie dopuściła do tego.

Odchrząknęła głośno i zapytała:

– Czy ktoś wie, jak daleko stąd do rzeki?

Dziwne, że pewien centaur, bardzo zresztą przystojny, któremu się wydaje, że pozjadał wszystkie
rozумы, nagle nabrał

wody w usta!

Dougal też milczał, pozwoliłam więc sobie podsumować:

– Nikt nie wie. Centaury, o ile wiem, nie spacerują po bagnach, a ja na pewno jeszcze nigdy tu nie
byłam.

– W takim razie ruszam na zwiad – oznajmiła Victoria, błyskawicznie przeistaczając się w
Centaurzycę Barbie Kierowniczkę. – Ustalę, gdzie dokładnie się znajdujemy, bo może się okazać,
że z przejściem przez rzekę nie będzie żadnego kłopotu. Chociaż może być też całkiem odwrotnie.

– Świetny pomysł, Vic – powiedziałam. – Tylko błagam, bądź ostrożna!

– Bez obaw. Jestem Wielką...

– Łowczynią – dokończyliśmy chórem, do tego całą trójką wymieniliśmy znaczące uśmiechy.

Dougal na tym nie poprzestał.

– Idę z tobą – oznajmił.

– Nie. Zawsze poluję sama! – stanowczo odparła Victoria, ale kiedy mijala młodego centaury, pogłaskała go po policzku, jakby chciała w ten sposób złagodzić efekt kategorycznej odmowy.

Zeskoczyła do wody. Jeszcze przez chwilę słychać było plusk, a potem nastąpiła cisza. Bagna wchłonęły wszystkie odgłosy.

Dougal westchnął. Ustawił się na samym brzegu wysepki i znieruchomiał wpatrzony w dal, tam, gdzie poszła Victoria.

ClanFintan ułożył swoje końskie ciało na drugim boku, opierając się tułowiem o pień cyprysa.

– Rheo, usiądź przy mnie. Chcę, żebyś była blisko, proszę.

Wzruszona i rozczulona, natychmiast przysiadłam obok.

ClanFintan objął mnie i oparł brodę o moją głowę.

– Jak z tobą? Jak się czujesz? – spytałam, wykręcając się nieco, żeby spojrzeć na jego rany.

– Nie wierć się. Sama powiedziałaś, że mam wypoczywać w spokoju.

– O, najmocniej pana przepraszam!

Usłyszałam znajomy bulgot w klatce ClanFintana. Śmiał się, a potem gorące wargi dotknęły czubka mojej głowy.

Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej. Bałam się, że sprawiam mu ból, ale przecież też rozpaczliwie potrzebowałam tej bliskości, by upewnić się, że on naprawdę jest tu, koło mnie, cały i

zdrowy.

Musiał wyczuć, co się ze mną dzieje, bo przytulił mnie bardzo mocno. A ja, oczywiście, zaczęłam jęczeć:

– Och, ClanFintanie, tak bardzo bałam się o ciebie. Bałam się, że... nie żyjesz. Widziałam przecież tę straszną bitwę.

Stałam na dachu świątyni.

– Niestety, nie udało się ich powstrzymać. Było ich zbyt wielu.

– Przecież widziałam w magicznym śnie, jak nadchodzą, tyle że nie zdawałam sobie sprawy, jak wielu ich jest.

Nieprzebrane mrowie.

– Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, Rheo. Ich liczba jest po prostu niewyobrażalna. W rezultacie nie ma żadnego znaczenia, czy wojownicy ludzie do nas dołączą, bo i tak nie zdołamy ich pokonać. Nie damy rady, jest ich zbyt wielu...

Poczułam na plecach lodowaty dreszcz. Tak wielu, że nawet jeśli centaurów wesprą wojownicy ludzie, nie zdołamy ich pokonać? W takim razie co mamy zrobić? Co?!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ponury, pochmurny dzień odszedł, ustępując miejsca nocy.

Dougala i ClanFintana zmorzył zdrowy i głęboki sen, ja czuwałam, słuchając zawziętego cykania czegoś, co zapewne było milionami cykad. Do tego dochodziła cała symfonia pomiaukiwań i

ćwierkania, a także rechotania żab, zharmonizowanego z dźwiękami wydawanymi przez inne istoty, zapewne niewidoczne, więc maciupkie i jak sądzę, pełzające.

Co i rusz musiałam pacnąć, by zamordować komara.

Zawsze myślałam, że największy problem z komarami ma Oklahoma. Nieprawda. Prawdziwy raj dla komarów był tutaj.

Poza tym byłam głodna.

I naprawdę było bardzo ciemno.

Bałam się, czy ClanFintan nie dostaje gorączki. Zawsze był

taki ciepły, dlatego trudno mi było ocenić, czy to normalna ciepłota jego ciała, czy podwyższona temperatura. W rezultacie bez przerwy kładłam mu rękę na czole, przy okazji budząc go, co w rezultacie zaczęło go lekko wkurzać. Dałam więc sobie spokój i postanowiłam po prostu posiedzieć i odpocząć. Ale nie spać. Wykluczone. Za nic w świecie nie chciałam, by mój ledwie żywy duch udawał się na kolejną makabryczną wycieczkę i oglądał na przykład to, co teraz się dzieje w Świątyni Muz.

– Odpocznij, Wybranko...

Wystarczyło, że cichy łagodny głos przemknął przez moją głowę, a powieki już opadły. Zsunęłam się na ziemię, zwinęłam w kłębek tuż obok ClanFintana i resztką świadomości poprosiłam bardzo gorąco, bym tym razem nie musiała opuszczać swego ciała... błagam... I zasnęłam.

Z głębokiego snu wyrwał mnie głośny chłupot. Coś szło przez wodę, coś wielkiego. Co to może być? Natychmiast usiadłam prościusieńko, starając się uruchomić swój przymglony umysł, który przede wszystkim zarejestrował

charakterystyczny zapach (powiedzmy) bagien.

Do uszu natomiast dotarł głos ClanFintana:

– To Victoria.

Naprawdę było ciemno. Księżyc co prawda świecił jasno, ale mokradła chyba wsysały jego poświatę. Niemniej mój wzrok wyłowił z tej czerni wielką, srebrzyście połyskującą plamę.

Łowczyńni. Nareszcie! Martwiłam się o nią okropnie, stąd moje dość kąśliwe powitanie:

– Coś długo cię nie było!

– Bo...

Victoria urwała, a ja uświadomiłam sobie, że dyszy ciężko jak parowóz. Okazało się więc, że jej wyprawa była o wiele trudniejsza, niż myślałam.

– Opowiadaj!

Mój mąż dał ręką znak, żebym się odsunęła od niego, po czym wstał, co niestety kosztowało go wiele wysiłku.

– Poszłam na wschód, próbowałam dojść do rzeki.

Najpierw szłam przez to jezioro. Kiedy się skończyło, natrafiłam na bardzo wysoką i nieprawdopodobnie ostrą trawę. Tam jest całe jej pole, a między trawą grzędawisko. Omal mnie nie wciągnęło.

Pamiętałam, co mówił ClanFintan: centaury unikają mokradel. I nie ma co się dziwić.

– Udało mi się jednak przejść przez grzędawisko, choć bardzo powoli, aż na koniec dotarłam do zagajnika, podobnego do tego, jaki jest na początku bagien. Ciągnie się wzdłuż nich aż do rzeki Geal, długi jest mniej więcej na dwadzieścia długości centaurów.

Moje serce zabiło szybciej. Przecież to cudowna wiadomość! Po prostu wystarczy pójść śladem Victorii, dotrzeć przez grzędawisko do rzeki, przedostać się na drugą stronę, pognać na południe, do świątyni Epony, tam dokonać przegrupowania i przystąpić do realizacji planu B. Bo chyba mamy jakiś plan B, prawda?!

Niestety Victoria miała w zanadrzu jeszcze jedną rewelację:

– Fomorianie rozstawili posterunki na całej długości.

Złapią każdego, kto będzie próbował podejść z bagien do rzeki.

– Czekać na mnie – powiedziałam posępnym głosem.

Przecież wiadomo, że to inicjatywa Nuady.

– Czekać na nas wszystkich – powiedział ClanFintan.

– No to może idźmy w drugą stronę, do jeziora Selkie – zaproponowałam. – Przepłyniemy przez nie. Co o tym sądzicie?

– Niewykonalne – stwierdził ClanFintan. – Po pierwsze, do jeziora Selkie jest stąd o wiele dalej niż do rzeki. Po drugie, jeśli Nuada rozstawił strażę między bagnem a rzeką, najprawdopodobniej strażnicy stoją też koło jeziora. A nawet gdyby udało nam się wejść do jeziora, to i tak nie damy rady go przepłynąć, bo jest za duże.

– Czyli niedobrze.

– Tak. Niedobrze – zgodziła się Victoria.

Słyszałam, że w czymś tam grzebie. Chyba w kołczanie (torebki przecież ze sobą nie miała). A potem zaczęła chodzić tu i tam i zbierać liście i gałązki. Gdy nazbierała już spory stosik, przyklękła. Zauważyłam, że w jednym ręku miała coś niedużego, w drugim też. Uderzyła tym jednym o to drugie i posypały się iskry, a ona zaczęła w nie dmuchać, aż pojawił się płomyk. Na początku malutki, zaraz potem coraz większy.

Białe zęby Victorii zalsniły w blasku ognia.

– Mężczyźni nigdy nie biorą ze sobą krzesiwa – powiedziała, uśmiechając się z satysfakcją. – Jeśli chcesz rozpalić ognisko, wezwij Łowczynię.

– Zapamiętam to sobie – powiedziałam, odruchowo podsuwając się bliżej do rozkosznie ciepłego ognia, na co mój niepoprawny brzuch też zareagował. To znaczy zaburczał. – Gdyby jeszcze można było coś upiec...

– Może to?

Victoria podeszła do jednego z cyprysów i zdjęła z gałęzi coś okrągłego i białego.

– Co to jest? – spytałam.

– Ślimak jabłkowy – wyjaśniła Victoria, rozglądając się po ziemi. Po chwili podniosła z niej patyk, który uznała za odpowiedni. Wypchnęła ze skorupki ofiarę, nadziała ją na patyk i bez żadnych skrępowań skierowała nad ognisko.

Widok wijącej się rozpaczliwie kolacji nie należał do najbardziej przyjemnych. Ale cóż...

– Jak to smakuje, Victorio? Jak kurczak?

– Nie, raczej jak ostrygi.

Ostrygi uwielbiałam, dlatego już bez żadnych zahamowań ruszyłam razem z centaurami na wielkie polowanie na ślimaki.

Potem odbyło się wielkie pieczenie nad ogniskiem. Na tej wysepce było mnóstwo tych stworzeń, zapewne miały tu ulubione miejsce letniego wypoczynku, taka ślimacza Floryda.

Jeśli chodzi o smak, to przyznaję, Victoria miała rację. Gdyby nie oczka na rogach, można by je wziąć za ostrygi. Bardzo smaczne, choć trochę brakowało mi dodatków, to znaczy krakersów, sosu tabasco i zimnego piwka marki Coors.

Później siedzieliśmy syci i zadowoleni, wydłubując spomiędzy zębów resztki ślimaków i tłukąc komary. Po jakimś czasie poczułam, że ogarnia mnie senność.

– Oni czekają na trzech centaurów i jednego człowieka – odezwał się znieczeka ClanFintan.

– Tak – potwierdziła Victoria.

– W takim razie rozdzielimy się, wtedy będziemy mieli większe szanse, że uda nam się przez nich przedrzeć.

Natychmiast zapomniałam o senności.

– Rozdzielić się?! Ja z tobą za nic się nie rozdzielam! – krzyknęłam przerażona.

ClanFintan zaśmiał się i przytulił mnie mocno.

– Oczywiście, że nie. Będziesz ze mną.

Dougal nie odzywał się, tylko niepewnie popatrywał na Victorię, która ze wzrokiem wbitym w ziemię oznajmiła:

– Masz rację, ClanFintanie. Rozdzielając się, mamy większe szanse. Ty, wiadomo, jesteś z lady Rhiannon, wobec powyższego ja i Dougal idziemy razem. Co dwie pary oczu, to nie jedna, a w tym bagnie jest pełno aligatorów.

Zauważyłam, że Dougal aż poczerwieniał z radości, a kiedy Victoria podniosła głowę, po prostu mnie przytknęło. Bo o ile wzrok mnie nie mylił, to teraz Wielka Łowczyni zerknęła na Dougala... tak jakoś dziwnie nieśmiało, a może nawet z tą – no wiecie – cichą nadzieją!

Pewnie dlatego Dougal z kolei odezwał się bardzo zdecydowanym, pewnym głosem:

– Tak! Victoria i ja idziemy razem.

ClanFintan sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

– Świetnie – powiedział. – Zrobimy więc tak: o świcie ruszamy wszyscy razem na południe, a kiedy słońce znajdzie się wysoko na niebie, rozdzielimy się. Victoria i Dougal pójdą na wschód, a Rhea i ja dalej na południe. Po jakimś czasie również skęcimy na wschód i będziemy podążać ku rzece. – Gdy Dougal i Victoria na znak aprobaty kiwnęli głowami, ClanFintan zarządził: – Ale teraz jeszcze noc, przyjaciele, więc śpimy.

Byłam zachwycona, ponieważ mój mąż używał już swego normalnego głosu, tego cudownego, hipnotyzującego jak dogasające ognisko. Czyli mimo okropnych obrażeń faktycznie w szybkim tempie odzyskiwał siły. Zadowolona oparłam się o niego, już bardziej optymistycznie nastawiona do świata.

Może jednak wszystko będzie dobrze...

Po chwili zmorzył mnie sen. Byłam przecież okropnie zmęczona. Na szczęście obyło się bez żadnych niespodzianek, żadnych snów ani tych zwyczajnych, ani magicznych. Po prostu spałam.

Obudziło mnie zawzięte: puk, puk, puk.

– O matko, ten dzieciol zwariował! – wymamrotałam ze złością, ale nastrój zaraz mi się poprawił, kiedy poczułam cudowne zapachy dobiegające od ogniska, wokół którego zgromadziła się cała trójka centaurów. Każdy z nich trzymał nad ogniskiem patyk z podejrzanie długim kawałkiem białego mięsa.

Przeciągnęłam się, wstałam i dołączyłam do towarzystwa.

Dougal powitał mnie radosnym:

– Dzień dobry!

ClanFintan wyjął listek z moich włosów.

Victoria powściągliwie skinęła głową.

– Dzień dobry wszystkim – mruknęłam. – A co to jest?

Chyba za grube na węza...

– Nie. To kajman – poinformowała Victoria.

– Kajman? Co to jest?

– Mały krokodyl. Szybciej go zabijesz i obedrzysz ze skóry niż dużego. Owszem, ze złapaniem jest trochę kłopotu, ale...

– Tak, tak, już wiem. Pyszniutki, smakuje jak kurczak...

ożeż ty...

Cała trójka zaśmiała się głośno i radośnie. Czyżby wszystkie centaury były rannymi ptaszkami?!

ClanFintan ostrożnie wyciągnął z ogniska coś, co przypominało słodki ziemniak, i ostrzem jednej ze strzał Victorii przebił upieczonego kartofelka, odsłaniając parujące wnętrze.

Wzięłam kawałeczek i wsadziłam do ust.

– Mmm... niezłe. Troszkę gorzkawe, czuć jakby... korę, ale może być. Co to jest?

– Kłocza palki wodnej. Rosną tam! – Victoria wskazała na szuwary po drugiej stronie wysepki.

– Z tego wynika, że zawsze dobrze jest mieć pod ręką Łowczynię – przyznałam elegancko.

Co Victoria skwitowała ze znanym nam już wszystkim całkowitym brakiem skromności:

– Oczywiście!

Kajman też okazał się niezły. Poza tym wiadomo, że głód jest najlepszym kucharzem. Innymi słowy, jeśli jesteś głodny, to zezresz wszystko.

Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę, dokładnie obejrzałam ClanFintana. Rany na głowie i piersi wyglądały nadspodziewanie dobrze, zważywszy na to, że o sterylności w tych warunkach nie mogło być mowy. Natomiast rany na zadzie wyglądały bardzo niepokojąco. Przede wszystkim coś z nich się sączyło, jakaś wydzielina. A o tym, że nie jest dobrze, świadczył również fakt, że ClanFintan wyraźnie poruszał się nie tak zręcznie jak zwykle.

Bardzo tym zmartwiona poprosiłam męża, żeby przez chwilę stał spokojnie, bo muszę go posmarować. Naniostałam maść na jedną ranę, na drugą, a kiedy po chwili przypadkiem przechwyciłam wzrok męża, uśmiechnął się i chwycił mnie w objęcia.

– Co to za mina, Rheo! Nie martw się, z takich ran zawsze się sączy! To normalne.

– Ale jesteś też taki jakiś sztywny!

– Bo może też nie lubię zrywać się o świcie?

– Nie oszukasz mnie! Kulejesz jeszcze bardziej niż Epi, kiedy miała problem z kopytem!

– Bo jestem od niej starszy.

– ClanFintanie... – Na moment przykleiłam się policzkiem do jego cieplusieńkiej piersi, tam, gdzie nie było rany. – Powiedz mi tak szczerze, jak się czujesz?

Pieszczotliwie rozwichrzył moje i tak już potargane włosy.

– *Nieźle. Przekonasz się. Jak się rozruszam, będę chodził*

całkiem inaczej.

– *Chyba jednak nie powinnam na ciebie wsiadać? Może pojedę na Victorii? O ile nie będzie miała nic przeciwko temu...*

– *Ja będę miał. – ClanFintan pocałował mnie w czubek głowy. – Nie chcę się z tobą rozdzielać, z tym że dziś mój grzbiet zupełnie nie nadaje się do... innych celów...*

Aha. Aluzyjka do naszych erotycznych wyczynów przy przewalonym drzewie.

– *...ale tylko dzisiaj – dokończył z naciskiem.*

No proszę. Podziurawiony jak sito, ale i tak tylko jedno mu w głowie!

Stąd mój cichutki komentarz, kiedy kontynuowałam nanoszenie maści:

– *A wiesz co? Najchętniej to bym ci porządnie wkropiła w ten twój tyłek. Należy ci się!*

A potem wszyscy czworo opuściliśmy naszą wysepkę i podążyliśmy na południe przez bezkresne mokradła. Na szczęście było tu płytko, woda nie sięgała do brzuchów centaurów, ale i tak powoli pokonywaliśmy dystans. Kopyta zapadały się w wyjątkowo wrednym błocie, które zdawało się mieć tylko jeden cel, a mianowicie wchłonąć centaura.

W którymś momencie zauważyłam dryfującą kłodę, na której coś się poruszyło. Co? Wiadomo!

– Uwaga! Aligator!!!

W ręku Victorii natychmiast pojawiła się kusza, w rękach ClanFintana i Dougala miecze błyskawicznie wyciągnięte z pochew. Natychmiast też przyjęli pozycję obronną, ustawiając się plecami (zadami) do siebie.

Kiedy kłoda podpłynęła bliżej, okazało się, że to nie aligator. Coś innego, równie sympatycznego. Wijące się węże, cały kłęb! Nic dziwnego, że od razu dostałam gęsiej skórki.

– Ożeż ty! Masakra! Czy one są jadowite?

– Tak, ale teraz mają okres godowy. Dajmy im spokojnie przepłynąć, to nas nie ruszą – powiedziała Victoria, też spoglądając na wijące się towarzystwo z odrazą.

Towarzystwu temu, oczywiście, daliśmy zielone światło.

Odplynęło, a ja po chwili, popatrując sobie to tu, to tam, pomyślałam, że mimo tych wszystkich gadów, płazów i mętnej, zielonkawej wody, w tych bagnach jednak coś jest. Jakieś ukryte piękno. Nawet nie ukryte, bo wystarczy choćby spojrzeć na długonogie ptaki o wyjątkowo ostrych dziobach. Stoją sobie spokojnie w wodzie i gapią się na nas bez żadnego skrępowania, jak wysuszone staruszki z Południa z tą ich siwizną o niebieskawym odcieniu. A kawałek dalej, wśród cyprysów ozdobionych koliai z mchu, widać w gniazdach inne ptaki, cudownie szkarłatne. Jeden właśnie podrywał się z wody do lotu.

– To są ibisy szkarłatne – oznajmiłam.

– Tak – odparła Victoria. – Bardzo rzadkie ptaki. Widziałaś je już kiedyś?

– Nie, tylko czytałam. – Raz do roku na pewno, kiedy z dziewiątą klasą przerabiałam poruszającą

nowelę „Szkarłatny Ibis” Jamesa Hursta. – Koniecznie mi przypomnijcie, to kiedyś wam opowiem o małym Doodle’u.

– Na pewno przypomnę! – wykrzyknął ochoczo Dougal.

Co było bardzo miłe.

Tuż przed południem natrafiliśmy na kawałek suchej ziemi.

Był zbyt mały, by nazwać go wysepką, jednocześnie wystarczająco duży, by centaury chociaż na trochę wyszły z wody.

Od razu zaczęłam szukać wśród liści ślimaków.

– Wychodzą dopiero pod wieczór – powiedziała Victoria –poza tym nie ma czasu na rozpalanie ogniska.

A więc trudno. Na szczęście nie byłam jeszcze aż tak głodna, że gdyby trafił mi się ślimak, skonsumowałabym go na surowo. Jeszcze nie.

– Tak, czas nagli – powiedział ClanFintan. – Victoria i Dougal muszą już ruszać w dalszą drogę. My zresztą też.

Odwrócił się do Łowczyni i lekko ścisnął ją za ramię, a ona jego.

– Uważajcie na siebie, Victorio. – Potem zwrócił się do Dougala. – Jeśli przed nami dotrzecie do Świątyni Epony, powiedzcie wszystkim, że muszą koniecznie uciekać na drugą stronę rzeki. Potem niech idą do Glen Iorsa. Tam zadecydujemy, co dalej. – Pożegnał się z nim, podobnie jak z Victorią, a na koniec dodał: – Pamiętajcie, najważniejsze, żeby wszyscy jak najszybciej opuścili

świątynię i przeprawili się na drugą stronę rzeki. W świątyni nie jest bezpiecznie bez względu na to, gdzie w chwili obecnej jest wróg.

Jego słowa zszokowały mnie. Podobne odczucia wypisane były na twarzy Victorii, nie odezwała się jednak ani słowem.

Dougal natomiast pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej właśnie oceny sytuacji.

Podeszłam do Vic i objęłam ją tak po babsku, nie jakieś tam wojskowo-centaurowskie ściskanie się za ramiona.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

– Ty też. A poza tym – zniżyłam głos do szeptu – pozwól się komuś w końcu pokochać...

Na twarzy Wielkiej Łowczyni pojawił się rumieniec. Czyli cudownie.

– Jestem już za stara na takie głupoty – odszepnęła.

– Na tego rodzaju głupoty nigdy nie jest się za starym. –Potem podeszłam do Dougala, który chciał pocałować mnie w rękę, ale zmusiłam go, by pochylił głowę i wycalowałam go w oba policzki. – Uważaj na nią. Na siebie też, oczywiście.

I odwróciłam się. Tak zwane odprowadzanie wzrokiem było ponad moje siły. Słyszałam, jak zeskoczyli do wody, przez chwilę słychać było głośne pluski, jednak bagno szybko stłumiło wszelkie odgłosy.

– Na pewno wkrótce znów się zobaczymy – powiedział

ClanFintan, kładąc ręce na moich ramionach.

– *Na pewno!*

Oczywiście nadrabiałam minę, bo w środku ryczałam jak bóbr.

– *W drogę, Rheo!*

Wsadził mnie na grzbiet i ruszyliśmy przez bezkresne bagna wciąż przed siebie, jakby nasza wędrówka nigdy nie miała mieć końca. Po kilku godzinach, dla mnie długich jak kilka dni, ClanFintan skręcił w lewo, na wschód.

– *Chyba już wystarczająco oddaliliśmy się od nich – powiedział.*

– *Oczywiście! Masz rację!*

Wypadło to bardzo energicznie i tak właśnie miało być.

Bardzo chciałam, by ClanFintan nie zauważył, że zaczynam się o niego bardzo martwić. A powody były. Wszystko ma swój kres, także zdawałoby się niewyczerpane zasoby sił centaura.

Mój mąż wyraźnie słabł. Jego sierść była mokra nie tylko od wody, po prostu zalewał ją pot. Biały, gęsty, czegoś takiego jeszcze u niego nie widziałam. Z ran na zadzie bez przerwy sączyła się ta okropna żółta wydzielina. Oddech był nierówny, świszczący.

– *ClanFintanie, może na trochę zsiądę z ciebie?*

– *Wykluczone.*

Prawie krzyknął między jednym świszczącym oddechem a drugim.

– Naprawdę chcę rozprostować nogi!

– Powiedziałem – nie!

Siedziałam więc dalej na jego grzbiecie, zastanawiając się, czy nie rąbnąć go po pokiereszowanym zadzie i powiedzieć, że ma na mnie nie wrzeszczeć. Albo po prostu zeskoczyć, a jak będzie się darł, przykucnąć gdzieś i się rozryczeć.

Nie. I tak źle, i tak niedobrze... W rezultacie siedziałam jak trusia, a w środku byłam jednym kłębkim nerwów.

Po jakimś czasie ClanFintan zatrzymał się i ciężko dysząc, otarł pot z czoła.

– Nie gniewaj się, kochanie. Wstyd mi, ale jestem zły, bo rzeczywiście się zmęczyłem. I wyladowuję się na tobie.

Nachyliłam się do przodu, ostrożnie objęłam go przez pierś i oparłam się brodą o jego ramię.

– Nie gniewam się.

– Kiedy zrobi się bardziej płytko, możesz zsiąść, jeśli naprawdę tego chcesz.

– Chcę.

Gdy pocałowałam go w szyję, ClanFintan na moment położył dłonie na moich rękach, a potem odetchnął głęboko i z trudem zaczął wyciągać kopyta z koszmarnego błota, które chciało go wessać. Słyszałam przecież te wredne odgłosy. Kiedy wyciągał kopyto, błoto autentycznie się zasysało. Masakra.

Powoli posuwaliśmy się do przodu. Na szczęście było coraz płycej. Kiedy woda sięgała ClanFintanowi do kolan, znów przystanął.

– Więc jak? Pozwolisz mi w końcu na mały spacer? – spytałam szybko.

Kiwnął głową i pomógł mi zsiść. Stałam na błotnistym dnie i natychmiast zaczęłam się zapadać. Jaką taką stabilność uzyskałam dopiero wtedy, kiedy prawie całe nogi miałam pod wodą.

– O cholera. To po prostu skandal! – stwierdziłam.

– Skandal?

– Oczywiście. Jak ta kłoda z wijącymi się węzami.

Podaliśmy mu rękę i ruszyliśmy, a ja już po kilku krokach zaczęłam ciężko dyszeć. I pomyśleć, że poraniony ClanFintan tę drogę przez mękę pokonywał od świtu, niosąc mnie na swoim grzbiecie!

– Może to już... niedaleko... – wydyszałam.

Mąż nie odpowiedział, całkowicie skoncentrowany na posuwaniu się do przodu. Szczęśliwie woda robiła się coraz płytsza, co byłoby cudowne, gdyby nie fakt, że w miarę jak wody ubywało, błota robiło się jakby więcej. Teraz sięgała mi zaledwie do kolan, ale podczas robienia kolejnego kroku, kiedy postawiłam stopę, zapadałam się w błoto aż do połowy łydki.

W pewnym momencie przed nami pojawiła się trawa. Była niezwykle wysoka, miejscami nawet wyższa od mojego męża.

Zatrzymaliśmy się, ciężko dysząc.

– ClanFintanie, czy Vic przypadkiem nie mówiła, że taka trawa rośnie na końcu bagien? – spytałam, modląc się w duchu, żeby tak właśnie było.

– Owszem. Mówiła też, że jest bardzo ostra. Musisz na mnie wsiąść, Rheo, żebyś się nie pokaleczyła.

– Nie. Najpierw spróbuję na piechotę... – ClanFintan wyraźnie zamierzał podyskutować, ale uprzedziłam go, kładąc mu rękę na ramieniu: – Jeśli nie dam rady, na pewno wsiądę.

Zachwycony nie był, ale już nie protestował, i wkroczyliśmy w trawiasty las. Ja pierwsza i już po kilku krokach odczułam na własnej skórze, że Wielka Łowczyni zawsze mówi prawdę i tylko prawdę. Nigdy w życiu nie zetknęłam się z trawą o tak ostrych brzegach. Przypomniałam sobie, że Victoria po powrocie ze zwiadu wszędzie miała czerwone ślady. Była po prostu pocięta. Wtedy jakoś nie zwróciłam na to uwagi, może dlatego, że miała też mnóstwo śladów po ugryzieniach i tak ogólnie cała była ubłocona.

Teraz zetknęłam się z ową trawą osobiście i trudno, żebym nie zwróciła na nią uwagi. Zrobiłam zaledwie kilka kroków, zasłaniając twarz dłońmi, i już poczułam, jak po rękach spływają ciepłe kropelki krwi. Ta trawa była ostra jak brzytwa.

Cięta i cięta jak jakaś monstrualna niszcarka dokumentów.

– Rheo, wsiadaj.

– *Podejdę jeszcze kawałek. Potem wsiądę.*

Szłam dalej pierwsza, żeby nie widział, jak ociekam krwią.

Cholerne błoto nadal wciągało moje nogi, ale za nic w świecie nie chciałam wsiadać na ClanFintana. Był taki ciężki, a ja stanowiłam dodatkowy balast na tym zdradliwym terenie.

Kolejny krok. Wyciągnęłam jedną nogę z błota, postawiłam kawałeczek dalej, wyciągam tę z tyłu...

A ta z przodu... matko święta! Dalej się zapada! Coraz głębiej!

Przerażona zaczęłam krzyczeć, szarpać nogę, ciągnąć, w rezultacie straciłam równowagę i nagle okazało się, że zapadłam się aż do pasa. Ale nie w błoto, tylko w coś podobnego do jaśniutkiego piasku.

– *Rheo!*

ClanFintan błyskawicznie złapał mnie za rękę i pociągnął

z całej siły, omal mi tej ręki nie urywając. Nieważne.

Najważniejsze, że wydobył mnie z przekłętego piachu, a potem ukląkł i objął mnie. A ja przeżywałam chwilę największej radości. Jestem w jego ramionach, a to, co pode mną, to kochane błotko, nie ten morderczy piach.

Ręce ClanFintana przemknęły po moim ciele, jakby sprawdzał, czy niczego w nim nie brakuje.

– *Rheo, nic ci się nie stało?* – *spytał drżącym głosem.*

– *Nie, nie, już wszystko dobrze* – *powiedziałam, opierając się głową o niego.* – *Tylko... to było*

okropne. Zaczęłam się zapadać i zapadać, noga nie mogła natrafić na nic twardego. Czy to nie są przypadkiem lotne piaski?

– Tak. Nazywają je też zapadającym się piaskiem... – Głos ClanFintana już nie drżał. Wiadomo, uspokoił się, kiedy przekonał się, że nadal ma mnie w jednym kawałku. Teraz nawet próbował się uśmiechnąć. – Jeszcze jeden powód, dlaczego centaury unikają mokradeł.

– Wcale się wam nie dziwię.

ClanFintan wstał, pociągając mnie za sobą.

– Musimy obejść to miejsce – powiedział. – Teraz nie możesz na mnie wsiąść.

Nie musiał tłumaczyć, dlaczego. Dobrze wiedzieliśmy, że ClanFintan da radę mnie wyciągnąć ze zdradliwego piachu, ale ja jego nie. Nie uratuję go.

Ruszyliśmy w drogę. Ja nasz marsz przez trawę zaczęłam od żarliwej, choć bezgłośnej modlitwy, powierzając nas oboje opiece Bogini Eponie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W rezultacie, by ominąć lotne piaski, najpierw przeszliśmy spory kawałek na południe, dopiero potem skręciliśmy z powrotem na wschód. Szłam pierwsza, niestety posuwałam się do przodu z coraz większym trudem. Trawa cięła bezlitośnie, miałam wrażenie, że odcina mi ciało po kawałku.

– Rheo, teraz ja pójde pierwszy! – zawołał ClanFintan i zażartował: – Niech ta trawa trochę

odpocznie od ciebie!

Posmaruj się maścią i idź tuż za mną, dobrze? Po jakimś czasie możemy znowu się zmienić.

– A co będzie, jeśli wejdiesz na lotne piaski?

– Nie wejdę. Będę uważał.

– Słowo?

– Słowo.

Poddałam się i wydając z siebie krótki dźwięk bardzo przypominający szloch – byłam przecież wykończona – podeszłam do ClanFintana, który zdjął z mego ramienia woreczek z maścią. Bardzo żałowałam, że wino już się skończyło. Wypiliśmy do dna, we czwórkę, jeszcze zanim nadeszło południe.

Wyciągnęłam rękę i ClanFintan zaczął nanosić maść. Robił

to bardzo delikatnie, wystarczyło jednak, by zbliżył palec do rany, a ja już dygotałam. A potem zrobiło się cudownie, bo ta maść była genialna. Ból i pieczenie ustępowały prawie natychmiast.

– Och, jak mi dobrze – wzdychałam z wielkiej ulgi. – ClanFintanie, potem ja ciebie posmaruję. Masz szramy na rękach i na piersi.

– Szkoda maści. To malutkie ranki, a moja skóra nie jest tak delikatna jak twoja.

– Ale trochę jednak posmaruję. Przecież to okropnie piecze.

Z uśmiechem pogłaskał mnie po policzku.

– Dobrze. Rób, jak uważasz.

Wykonałam krótki zabieg, schowałam maść i bardzo niechętnie ustawiłam się za ClanFintanem.

– Pamiętaj, bądź ostrożny.

– Będę.

Ruszyliśmy dalej przez zielony łąn trawy-brzytwy.

Szliśmy, szliśmy. W chwili, gdy doszłam już do wniosku, że ten łąn nigdy się nie skończy, ClanFintan obejrzał się przez ramię i zawołał podekscytowany:

– Widzę drzewa!

Czując przyptyw nowych sił, przyśpieszył kroku.

Wchodząc do dołu z lotnym piaskiem.

Jego wielkie końskie ciało zaczęło się szamotać, walcząc z wciągającym go piaskiem, a człowiecze ręce gorączkowo szukały czegoś, czego mógłby się pochwycić. Czegokolwiek.

– Zostań tam! – ryknął, widząc, że zamierzam do niego podejść. – Jestem już zbyt głęboko, nic tu nie poradzisz.

– Ale co mam zrobić?! Co?! – wrzasnęłam totalnie spanikowana.

ClanFintan przemknął wokół spojrzeniem.

– Gdyby udało ci się dojść do tych drzew... I przynieść dużą gałąź.

Skinęłam głową i spojrzałam przed siebie, zastanawiając się, jak mam iść, żeby ominąć ten przeklęty dół. I czy w ogóle tam iść, przecież wiadomo, że jeszcze chwila i... będzie po wszystkim. A ja nawet dobrze nie widzę, gdzie niby są te drzewa...

Jeśli nie pójdę... zostanę... co wtedy? Nie uratuję ClanFintana. Będę tylko patrzeć na jego śmierć.

Epono, błagam!

Nagle w moim spanikowanym, zrozpaczonym mózgu pojawiła się jedna konkretna myśl:

– Musi dokonać Przemiany.

Tak! Tak! Szybko podeszłam do brzegu dołu. ClanFintan zapadł się już do połowy ludzkiego torsu. Przestał walczyć, tylko stał nieruchomo i oddychał ciężko.

– Nie podchodź – wychrypiał.

– ClanFintanie! – Padłam na brzuch i podczołgałam się do niego jeszcze bliżej. – Musisz zmienić postać! Jak najszybciej, wtedy cię uratuję! Centaura nie dam rady, ale człowieka tak!

Wyciągnij rękę! Na pewno ją złapię! – Zrobił, jak kazałam, i dotknęłam jego palców. – ClanFintanie! Nie zwlekaj!

Zamknął oczy, pochylił głowę, cicho nucąc zaklęcia. Potem ręce i głowa zaczęły powoli podnosić się ku niebu, i zaczęło się to migotanie zapowiadające oślepiające światło. Zanim zamknęłam oczy, zobaczyłam jeszcze twarz ClanFintana ściągniętą bólem.

Kiedy tylko pod powiekami znów zrobiło się ciemno –znak, że oślepiające światło zgasło – otworzyłam oczy i wrzasnęłam:

– Podaj mi rękę!

Chwyciłam ją i pociągnęłam, wkładając w to wszystkie swoje siły, całe serce i całą duszę. Zapierając się nogami, ciągnęłam z największą determinacją, centymetr po centymetrze wydzierając męża z łap morderczego piachu. Kiedy cały tors znalazł się na powierzchni, ClanFintan mógł już poruszać nogami. Połączyliśmy siły i dalej poszło błyskawicznie.

Mąż był wolny. Przez dłuższą chwilę leżeliśmy obok siebie nieruchomo, wykonując tylko jedną czynność. Oddychaliśmy.

Pierwsza odezwałam się ja:

– Dziękuję, Epono – powiedziałam głośno i wyraźnie.

– Twoja Bogini jest dla ciebie bardzo łaskawa.

Nic bardziej nie mogło mnie ucieszyć niż to, że głos ClanFintana brzmiał całkiem normalnie. Rozczulona starłam z jego policzka piasek i pocałowałam tę małą wysepkę czystej skóry na zapiaszczonej twarzy.

– Dasz radę iść? – spytałam.

Skinął głową i wstał powoli. Każdy ruch musiał sprawiać mu ból. Kiedy w pewnym momencie odwrócił się do mnie plecami, nie mogłam powstrzymać okrzyku przerażenia.

Wielkie rany z płatami oderwanej skóry przyszytej przez Vic wyglądały makabrycznie. Zajmowały praktycznie całą powierzchnię pośladków, kończyły się na udach. Nadal sączyła się z nich ta obrzydliwa wydzielina zmieszana z piaskiem.

– ClanFintanie! Musisz od razu wrócić do poprzedniej postaci! Proszę!

– Nie, Rheo... – Znow mówił powoli, z wyraźnym wysiłkiem. – Zrobię to dopiero wtedy, kiedy będziemy po tamtej stronie rzeki. Tak będzie rozsądniej. Przecież oni nie czatują na kobietę i mężczyznę, tylko na Wybrankę Epony i jej małżonka centaura.

– Ale te twoje rany...

– Jeszcze tylko trochę maści i da się wytrzymać, kochanie.

Wcale nie paliłam się do smarowania tych przerażających ran. Bałam się, że sprawię mu dodatkowy ból.

ClanFintan wyjął z woreczka słoik z maścią, opróżniony już do połowy. Oczywiście zauważył, że się ociągam.

– Sam to zrobię, Rheo.

– Dlaczego ty? – Szybko zanurzyłam w maści palce. – Lepiej, żebym ja to zrobiła.

Zacisnęłam zęby i zmusiłam swoje palce do czynu.

Wiadomo, robiłam to jak najdelikatniej. ClanFintan nie poruszył

się, nie odezwał ani słowem. Dopóki nie skończyłam, chyba nawet nie oddychał.

– Już lepiej? – spytałam, ocierając palce o jego ramię, żeby pozbyć się resztek maści. A tam, na ramieniu, te resztki mogły się przydać, skoro pocięty był przez trawę.

– Tak, o wiele lepiej.

Udawał bohatera, kiedy wcale nie było dobrze. Świadczyła o tym pobladła twarz. Był umęczony, cierpiał, ale nadrabiał

miną, rzecz oczywista.

– Idziemy – powiedział. – Do tamtych drzew. Moim zdaniem to całkiem niedaleko.

Ruszyliśmy, starannie wybierając marszrutę wokół dołu z lotnymi piaskami.

– ClanFintanie! – zawołałam, zerkając na jego obnażone wdzięki. – Może pożyczę ci swoje gatki?

Zaśmiał się, ale jednocześnie drgnął, jakby go zabolalo.

Kiedy jednak spojrział na mnie, oczy mu błyszczały.

– Dziękuję. Lepiej nie. Gdyby Fomorianie złapali mnie w takim stroju... Wolę nie myśleć, co by o mnie wtedy gadali.

– Oczywiście! Już widzę nagłówki w gazetach czy skróty wiadomości! Wielki Szaman, który lubi chodzić w damskich ciuchach, schwytany!

– Nagłówki? Skróty?

– Największe sensacje.

– Rozumiem. Tak, o to właśnie chodzi. Czułbym się z tym trochę głupio.

– Nie dziwię się.

– Ale możemy pogadać, co później da się zrobić z twoimi...

gatkami.

Czyli, chwała Bogu, z moim mężem nie jest całkiem źle, skoro takie rzeczy mu w głowie.

– Spokojnie, chłopczyku, oszczędzaj siły. I nie wyobrażaj sobie, że jesteś Johnem Wayne'em.

Wiedziałałam, że spyta.

– John Wayne? Kto to taki?

O, na ten temat mogę gadać godzinami. Odchrząknęłam i włączając głos belfra, rozpoczęłam wykład:

– *John Wayne, prawdziwe nazwisko Morrison. Marion Michael Morrison, urodzony w Winterset w stanie Iowa. Był, jak to się mówi w moim poprzednim świecie, prawdziwą ikoną amerykańskiego kina. Dla mnie przede wszystkim wielkim patriotą i bohaterem...*

O! To wyraźnie mojego słuchacza zainteresowało.

– *Opowiedz o nim, Rheo, coś więcej.*

Nie musiał tego powtarzać. Mówiłam i mówiłam, po prostu słowotok. Kiedy byłam w połowie opowiadania filmu „Kowboje” – i kiedy zaczynało brakować mi tchu – ClanFintan dał znak, żebym się zatrzymała.

– *Koniec traw – powiedział, wyciągając rękę przed siebie.*

Faktycznie, jeszcze kilka kroków i trawa-brzytwa kończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła, ustępując miejsca drzewom.

Nie był to jednak piękny zagajnik z dywanem suchych liści, jak tamten po drugiej stronie bagien, w pobliżu Świątyni Muz. Tu była prawdziwa dżungla ze starych cyprysów, wierzb i wiązów, wśród nich widać było też nakrapiane czerwienią kolokazje i coś, co można byłoby określić jako zmutowany hibiskus.

Staliśmy w kompletnym milczeniu i nagle, wśród tej ciszy, do naszych uszu dotarł dźwięk, dla nas obojga najcudowniejszy dźwięk na świecie. Nasze oczy rozbłyły, twarze pojaśniały w uśmiechu pełnym szczęścia.

– *Rzeka – powiedział mój mąż półgłosem.*

– *Rzeka – powtórzyłam niemal z nabożeństwem. – Rzeka!*

Dzięki ci, Bogini! Wreszcie rzeka!

– Ciii... – ClanFintan objął mnie ramieniem i wyszeptał: –Nie krzycz, przecież tam mogą być te kreatury.

– Tak... Przepraszam... O Bogini, czy damy radę się przemknąć?

– Damy. Oni, jak wiemy, czatują na centaura, który wyskoczy spośród drzew, niosąc na grzbiecie dumną małżonkę.

A my jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy mogą skradać się, przyczać. – Ścisnął mnie za ramiona i pocałował w czubek głowy. – Damy radę, Rheo. Musimy tylko iść jak nasza przyjaciółka Łowczyni, to znaczy powoli i bezszelestnie. Starać się nie dotknąć ani jednej gałązki, unikać uschniętych liści, iść tylko po gołej ziemi, najlepiej wilgotnej.

Słuchałam go bardzo uważnie, szykując się psychicznie do kolejnej niełatwej próby.

– A co będzie, jeśli jednak nas zobaczą?

ClanFintan wziął mnie za ramiona i ustawił tuż przed sobą.

– Rheo – powiedział, patrząc mi prosto w oczy – gdyby tak się stało, masz co sił w nogach biec do rzeki. Nie zatrzymywać się, nie oglądać za siebie. Myśleć tylko o sobie. Masz dobiec do rzeki i przepłynąć na drugi brzeg.

– Ale...

– Powiedziałem! Masz biec do rzeki. Oni mnie nie rozpoznają, będę dla nich jakimś zwyczajnym mężczyzną.

Odwrócę ich uwagę od ciebie, dopóki nie przepłyniesz rzeki.

Potem poddam się Przemianie i przyłączę się do ciebie.

Niby takie proste, a jednak nie. Miałam zamiar mu to powiedzieć, ale nie zostałam dopuszczona do głosu.

– Rheo... – Palce ClanFintana wpiły mi się w ramiona. – Gdyby cię złapali... Pomyśl, co ci zrobią. A ja tego nie przeżyję.

Masz uciekać przez rzekę i koniec. Mnie najwyżej mogą tylko zabić. Tobie mogą zrobić coś o wiele gorszego.

– Dobrze, ClanFintanie. Będę biegła do rzeki, obiecuję.

Wyraźnie się odprężył, dowodem było to, że jego palce nie zaciskały się już tak kurczowo na moich ramionach. I pocałował mnie delikatnie.

– Wychodzimy z bagien. Pamiętaj, masz iść po moich śladach.

– W porządku. Ty tu rządzisz... – Gdy uśmiechnął się szeroko, dodałam dowcipnie: – Chwilowo.

Ruszyliśmy w drogę, pozostawiając za sobą niezycliwą ludziom trawkę. Kiedy weszliśmy w gąszcz wiekowych drzew i zarośli, okazało się, że czeka nas wędrówka jeszcze trudniejsza niż przez trawę-brzytwę. Wtedy mogliśmy przynajmniej konsekwentnie posuwać się do przodu, skoncentrowani na stawianiu przed sobą jednej nogi, potem drugiej. To wszystko.

A teraz trzeba było kluczyć między drzewami i krzewami, omijać przewalone pnie, stosy suchych gałęzi i liści.

W rezultacie szliśmy ze dwa razy wolniej niż normalnie, a na domiar wszystkiego zaczęło

zmierzchać, co bardzo utrudniało wyszukiwanie wzrokiem miejsc, które należało ominąć, choćby jak wspomniane suche liście.

Podążając za ClanFintanem, miałam wspaniały widok na jego goły tył, widziałam więc bardzo dokładnie, jak podczas każdego kroku z ran wypływa żółta wydzielina, teraz zmieszana z krwią. Plecy pokryte były potem i drżały, kiedy przenosił

ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Poza tym, oczywiście, tylko czekałam, jak zza któregoś krzaka wyskoczy coś warczącego i skrzydlatego, by rzucić się na nas.

Szliśmy w milczeniu, jedynymi odgłosami były nasze głośne oddechy i szum rzeki.

W pewnym momencie ClanFintan podniósł rękę i znieruchomiał. Ja naturalnie też.

Byliśmy na skraju lasu. Przed nami, w odległości jakichś dwudziestu metrów, widać było szeroką rzekę, szarą o zmierzchu. Między nią a lasem rozciągała się kamienista łąka.

Na niej, trochę bardziej w lewo, w górę rzeki, siedziały w kucki trzy stwory ze skrzydłami, szczęśliwie odwrócone plecami do nas. Fomorianie siedzieli przy ognisku, jeden z nich właśnie dorzuczał do ognia. Nie odzywali się, tylko co jakiś czas któryś z nich spoglądał na rzekę i syczał złowrogo.

ClanFintan dał znak ręką, żebym podeszła do niego jeszcze bliżej, co też uczyniłam możliwie bezszelestnie.

– Kiedy powiem, masz biec – szepnął. – Nie oglądaj się za mną, nie czekaj. Tylko biegnij.

Otworzyłam usta, ale ClanFintan przycisnął ciepły palec do moich warg.

– Zaufaj mi – szepnął.

Zdusiłam więc w sobie wszelkie słowa protestu i potakująco skinęłam głową, choć zrobiłam to bez entuzjazmu.

ClanFintan nachylił się, wyraźnie czegoś szukał, po chwili usatysfakcjonowany podniósł z ziemi dużą gałąź.

– Gotowa? – spytał prawie bezgłośnie.

Gdy ponownie skinęłam głową, zamachnął się i rzucił

gałąź w lewo. Upadła tuż przed drzewami, na wysokości siedzących przy ognisku skrzydlatych stworów.

– Teraz! – szepnął ClanFintan.

Wyprysnęłam spośród drzew. Strach i adrenalina pomogły mi uzyskać niebywałą jak na mnie prędkość. Słyszałam, że ClanFintan biegnie za mną. Słyszałam też powarkiwanie stworów. Mimo woli obejrzałam się. Potwory pognały na skraj lasu, tam, gdzie upadła gałąź.

– Nie patrz. Biegnij...

ClanFintan powiedział to bardzo cicho. Niestety, usłyszałam to nie tylko ja.

Jeden z potworów obejrzał się.

– Tam! Tam! – wysyczał do swoich towarzyszy, wskazując na nas ręką.

Kamienie zachręściły, stwory rzuciły się w naszą stronę.

– Szybciej! Szybciej! – krzyczał ClanFintan.

Dobiegłam do brzegu dokładnie w chwili, kiedy jeden ze stworów dopadł ClanFintana i złapał go za ramię. Usłyszałam koszmarny odgłos rozrywanego ciała. ClanFintan wykręcił się błyskawicznie, ustawiając się między mną a Fomorianami.

Kiedy zaatakował następny, udało mu się zrobić unik, potem walnął stwora w szczękę. Aż zatrzeszczało, przysięgam. Stwór zachwiał się, cofnął kilka kroków, niestety w sekundę przyszedł do siebie i już był gotów rzucić się ClanFintana.

Który krzyknął:

– Skacz do wody! Skacz!

Spojrzałam na rwącą wodę, potem na mego męża i na trzy stwory szykujące się do napaści.

– Bez ciebie nie skaczę!

Oczywiście! Poza tym miałam swoją własną koncepcję, jak unieszkodliwić potwory choćby tylko na moment.

Przemknęłam pod ramieniem ClanFintana i wymachując rękoma na wszystkie strony, ruszyłam wprost na zaskoczonych Fomorian.

– Bezczelne gnoje! Dranie śmierdzące! Won stąd!

Wynocha, ale już!

Darłam się jak opętana, a Fomorianie cofnęli się parę kroków. Zglupieli, w sumie nic dziwnego. Kobiety raczej przed nimi uciekały, prawda? A ja biegłam do nich sama, z własnej nieprzymuszonej woli, choć kobietą byłam. Co prawda kobietą całą w błocie, każdy rudy włos w inną stronę, a rękoma wymachiwałam jak rozszalona narzeczona Frankensteina.

Zanim stwory zdołały ochłonąć, wróciłam pędem do ClanFintana.

– Ja skaczę, ty też!

Stał tuż nad brzegiem, tyłem do wody, a ja doskonale pamiętałam, co tata kładł mi do głowy na temat futbolu. Między innymi o blokowaniu przeciwnika.

A więc biegiem na ClanFintana i walnąć go z rozpędu ramieniem, jak najmocniej, żeby przewrócił się do tyłu.

Przewrócił się. Ja skoczyłam, on wywinął kozła nad brzegiem i oboje znaleźliśmy się w rwącej wodzie.

Kiedy po chwili wypłynęłam na powierzchnię, przeżyłam chwilę największego szczęścia, słysząc oprócz szumu wody również inne odgłosy, tym razem cudowne. ClanFintan pluł

i prychał tuż obok mnie.

– Płyniemy z prądem! – zawołał. – I zbaczaj w prawo!

Zrobiłam, co powiedział. Dałam się ponieść nurtowi, starając się jednocześnie zbaczać w stronę przeciwległego brzegu. Woda była okropnie zimna, czułam, że cała drętwieję.

– Płyn blisko mnie! – wołał ClanFintan. – Nie oddalaj się!

W pewnej chwili przed nami pojawił się nierówny brzeg, coś w rodzaju zatoczki. ClanFintan (co za okrutnik!) złapał mnie za włosy, drugą ręką za zwisającą nisko nad wodą gałąź i wciągnął nas na usłaną kamieniami płyciznę.

– O nie! – wrzasnęłam, kiedy zaczął wyplątywać palce z moich włosów. – Z szacunkiem, proszę!

Wykonał operację, wziął mnie za rękę i wolnym krokiem wyszliśmy na brzeg, gdzie osunęliśmy się na ziemię. Przez chwilę leżeliśmy nieruchomo, potem mój mąż zmienił pozycję, to znaczy pojękując z cicha, ułożył się na brzuchu.

– ClanFintanie, naprawdę przykro mi to mówić, ale wracamy do wody. Masz w ranach pełno piachu, trzeba je przemyć.

Skinął głową, z trudem podniósł się z ziemi i pokuśtykał

nad wodę, a ja za nim. Pomogłam mu ochlapać wodą pokiereszowane ciało. Na szczęście woreczek z resztką drogocennej maści nadal wisiał na mojej szyi, więc posmarowałam rany. ClanFintan dygotał, ze świeżych ran na ramieniu, zadanych przez trawę-brzytwę, po prostu lała się krew.

– ClanFintanie, nie mógłbyś wrócić do swojej pierwotnej postaci?

Gdy skinął głową, odsunęłam się, by w niczym nie przeszkadzać, i zamknęłam oczy, żeby nie patrzeć na oślepiające światło i na twarz ClanFintana ściągniętą bólem.

Kiedy otworzyłam oczy, poczułam ulgę. Mój mąż w swojej naturalnej postaci wyglądał na pewno o wiele solidniej.

– Wracamy do domu. – Podałam mu rękę i zaczęliśmy się wspinać po stromym brzegu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Bez trudu udało nam się odnaleźć ślady przemarszu legionu do Świątyni Muz i podążyliśmy tą trasą. Na początku podążałam obok ClanFintana, który nieustannie nalegał, bym na niego wsiadła, a ja nieustannie odmawiałam.

– Nie ma mowy. Za dużo przeszedłeś.

– Ty też.

– Naprawdę? Jakoś nie widzę u siebie tych wielkich, otwartych ran. – ClanFintan prychnął, a ja dalej swoje: – Poza tym, o ile się nie mylę, to chyba tylko ty w ciągu ostatnich kilku godzin poddałeś się Przemianie.

– Ale ty jesteś moją żoną – oświadczył takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Owszem, ale żoną, której na pewno starczy sił na krótki spacer. – Oczywiście znów otworzył usta, by wysunąć kolejny argument, ale nie dałam mu dojść do słowa: – Pójdziemy na kompromis – oznajmiłam. – Będę iść, a kiedy księżyc dotrze do połowy drogi na niebie, wsiądę na ciebie. Zgoda?

Wcale nie. Dźwięk, który wydał z siebie ClanFintan, bez wątpienia oznaczał największe wątpliwości, które podsumował

w sposób wielce dobitny:

– Jesteś okropnie uparta!

– Dziękuję, a pan jest naprawdę bardzo sympatyczny. –Gdy zaśmiał się i objął mnie ramieniem, krzyknęłam, zadzierając głowę: – Hej! Przytulanki cacanki, a żadne z nas nie pachnie różami!

– Nie mów!

– A co, nie czujesz?! O, ja biedna. Bo i w końcu tylko tyle człowiek z tego ma, kiedy wyda się za konia!

W świetle księżycy dostrzegłam, jak jedna z brwi ClanFintana uniosła się znacząco.

– Naprawdę tylko tyle?

Oczywiście, że zachichotałam jak głupia, po czym podziękowałam w duchu Bogini, że mój mąż podchwytuje głupie żarty, więc chyba już całkowicie doszedł do siebie.

Szliśmy dalej w zgodnym milczeniu. Z przyjemnością wciągałam do płuc rześkie nocne powietrze, rozkoszując się jednocześnie tą krótką sielanką, kiedy nie działo się nic niepokojącego. Szłam sobie po prostu objęta silnym ramieniem męża. A niebawem czekały nas znów trudne chwile, kiedy po powrocie do świątyni trzeba będzie wymyślić plan, jak pozbyć się tych przeklętych stworów.

Nagle gdzieś z lewej strony zaszeleściło. Wystraszyłam się, niepotrzebnie jednak, bo między drzewami mignął jasny ogonek sarny czy jelonka. Roześmiałam się, choć jednocześnie widok

przemykającego zwierzęcia przypomniał mi o innych istotach, które uciekały przed zagrożeniem.

– ClanFintanie, jak myślisz, czy kobietom ze Świątyni Muz udało się przejść na drugi brzeg rzeki? Czy spotkamy tu gdzieś Vic i Dougala?

– Najprawdopodobniej znacznie nas wyprzedzili. A co do kobiet ze Świątyni Muz... – w jego głosie słychać było wielkie przygnębienie – nie mam pojęcia, Rheo. Kiedy wiadomo już było, że nie zdołamy powstrzymać Fomorian, wysłałem część legionu do Świątyni Epony, a część nad rzekę, żeby centaury pomagały uciekającym kobietom w przedostaniu się do świątyni. O ile jakieś napotkają, bo przecież te kobiety wcześniej opuściły Świątynię Muz...

Tylko czy którejkolwiek z nich udało się uratować?

Wiedziałam, że ClanFintan pomyślał to samo.

Po chwili oznajmił:

– Księżyc jest w połowie drogi, Rheo!

– Tak, widzę. Tylko posłuchaj... Naprawdę czujesz się na siłach mnie dźwigać?

– Oczywiście. – Jak zwykle odgarnął mi z czoła rudy lok. – Moje rany bardzo szybko się zagoją.

– W takim razie wsiadam. Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona. Odrobinę, i...

Wsadził mnie na swój grzbiet.

– I trochę głodna? – spytał.

– *Tylko mi nie mów o jedzeniu! Umieram z głodu!*

– *Nie martw się, po powrocie do świątyni na pewno czeka cię prawdziwa uczta. Już Alanna się o to postara... Rheo, obejrzyj się!*

Spojrzałam w tył i na moment zabrakło mi tchu. Bo i cóż ja zobaczyłam? Swoje ślady, a każdy ślad była to gwiazda. Jakby z każdym moim krokiem spadała z nieba jedna świecąca i migocząca gwiazda i opadła dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą postawiłam nogę.

Gdy zamrugałam, gwiazdy przestały migotać.

– *ClanFintanie, czy to jest właśnie... ta magia? – spytałam niemal z nabożeństwem, jakbym faktycznie była w kościele.*

– *Tak, Rheo. Ta magia jest przede wszystkim w tobie, choć myślę, że nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę.*

Po chwili ruszył tym swoim tak dobrze mi już znanym niezmordowanym galopem, którym mógł biec i biec do końca świata. Oparłam się wygodnie o jego plecy, rozmyślając o magii, boginiach, miłości, o tym i owym. Powieki robiły się coraz cięższe i niebawem zmorzył mnie sen.

Siedziałam sobie wygodnie w wielkim fotelu bujanym w kawiarence mojej ulubionej księgarni w Tulsie (podaję adres: Barnes&Noble Street 41). Kierownik księgarni (łudzaco podobny do Pierce'a Brosnana) właśnie mówił, że mogę wybrać sobie tyle książek, ile dusza zapagnie. Gratis! Natomiast szef kuchni, którego grał Sean Connery, przygotowywał dla mnie coś pysznego (z czosnkiem – czułam to). A na dodatek ratownik (taki z basenu, ten konkretnie skóra żywcem zdjęta z Brada Pitta) z nagim torsem, nalewał mi mieniącego się merlota do kieliszka giganta...

W tym przemiłym momencie opuściłam Krainę Snów. Jak zwykle wyszło mnie w powietrze i

zawisłam nad środkiem rzeki.

Nie, wcale nie byłam z tego zadowolona, miałam nawet zamiar pojęczeć, przypominałam jednak sobie, że ten głos w mojej głowie już niejedną raz pomógł mi uratować ClanFintana. Dlatego do wyssań i powietrznych wycieczek powinnam podchodzić z pokorą.

– W porządku. Jestem gotowa zobaczyć wszystko, co zgodnie z twoją wolą mam zobaczyć.

W głowie cisza, jednocześnie jednak zaczęłam przesuwać się w powietrzu w górę rzeki, dokładnie nad trasą, którą pokonaliśmy z ClanFintanem. Westchnęłam więc sobie już tylko i starałam się jakoś przygotować psychicznie do oglądania tego, co na dzisiejszą noc zaplanowała Bogini. Wiadomo, że na pewno nic przyjemnego.

Z lewej strony widziałam bagna z wodą migoczącą w świetle księżyca. Z lotu ptaka wyglądały jak gigantyczna otwarta rana w ciele stałego lądu. Bagna były naprawdę wielkie, zdawać by się mogło, że ciągnęły się w nieskończoność.

I pomyśleć, że niewiele brakowało, byśmy z ClanFintanem zostali tam na zawsze... Zadrżałam i szybko skierowałam spojrzenie w inną stronę, ku rzece Geal. Na zachodnim brzegu zauważyłam ogromny krąg światła. Oczywiście były to ogniska.

I to w ich stronę przesuwałam się w powietrzu. Kiedy byłam już bardzo blisko, opadłam niżej, dzięki czemu mogłam wszystko zobaczyć dokładnie.

Całą chmarę skrzydlatych stworów. Siedziały w kucki w coś zapatrzona. Nie wiedziałam jednak w co, ponieważ widok przesłaniał mi gryzący dym unoszący się znad ognisk. Po chwili jednak powiał wiatr, dym poszedł w inną stronę i wtedy zobaczyłam Terpsychorę tańczącą w środku ognistego kręgu.

Była naga, cała pokryta potem od gorączki, która trawi chorego w pierwszym stadium ospy. Teraz, jak na ironię losu, spocone ciało wydawało się jeszcze bardziej seksowne. Terpsychora obracała się w tańcu, poruszała kusząco biodrami, hipnotyzując stwory zmysłowością i niezwykłym wdziękiem. Jej długie, rozpuszczone włosy, przyklejone do spoconego ciała, wyglądały jak pełen erotyzmu welon. Tańcząc, przesuwała się od jednej kreatury do drugiej, każdej dotykała, i każdej z podniecenia drżały skrzydła. I każdą – miejmy taką nadzieję – zarażała ospą.

W tym tańcu, rzecz oczywista, Terpsychora starała się dotknąć jak najwięcej potworów, docierała także do tych, którzy siedzieli z dala od centralnego ogniska. Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, nieruchoma jak maska, a wargi spieczone i popękane. Kiedy przyjrzałam się dokładniej, zobaczyłam, że na pięknych, krągłych ramionach pojawiła się już wysypka.

W pewnym momencie jeden ze stworów wstał, podszedł do Terpsychory, objął ją wpół i przycisnął do swojego podnieconego ciała.

Nuada.

Zrozumiałam, dlaczego dotąd żaden z podnieconych stworów jej nawet nie dotknął. Na pewno Nuada zarezerwował

ją dla siebie.

– Wystarczy tego tańca, Bogini! – wysyczał, wykrzywiając twarz w szyderczym uśmiešku. Podniósł rękę i jednym ze szponów przejechał po pełnej piersi, rysując krwawą kreskę.

Nienaturalnie jasny język zlizął kropelki krwi. – Jestem już gotowy.

Pociągnął ją za sobą, wyprowadzając z kręgu światła.

Nagle znieruchomiał i spojrzał w górę tam, gdzie byłam ja.

– Samiczka!

Usłyszałam jego krzyk. I na tym koniec, ponieważ Epona tym razem błyskawicznie odesłała moją duszę z powrotem do ciała.

Oderwałam się od pleców mojego męża. Siadłam prosto jak świeca i przekazałam ClanFintanowi ponurą wieść:

– *Nuada ma Terpsychorę.*

– *Bogini, miej ją w swojej opiece!*

– *Terpsychora została tam z własnej woli, ClanFintanie.*

Chce zarazić Fomorian ospą.

Zaskoczony tą rewelacją, poderwał głowę.

– *Myślisz, że jej się uda?*

– *Bardzo bym sobie tego życzyła... – Zdławiłam szloch. – Tak wielkie poświęcenie nie powinno iść na marne. Wiem, że ospa jest bardzo zaraźliwa, rozprzestrzenia się błyskawicznie, w każdym razie wśród ludzi. Nie wiadomo jednak, czy także wśród Fomorian.*

– *Kiedy będzie wiadomo?*

– *Nad tym właśnie myślę. O ile sobie przypominam, pierwsze objawy występują mniej więcej po tygodniu od zarażenia. Ale powtarzam, nie wiadomo, jak to będzie w przypadku Fomorian. Może się okazać, że zarażają się błyskawicznie. Albo w ogóle.*

– *Czyli dopiero czas pokaże.*

– *Tak. I potrzeba nam odrobiny szczęścia.*

Przede wszystkim łaskowości Bogini, dlatego pomodliłam się żarliwie, prosząc Eponę, by wielkie poświęcenie Terpsychory nie poszło na marne.

A potem nagle poczułam się okropnie zmęczona, co mój kochający mąż od razu wyczuł.

– Pośpij, Rheo – powiedział czule. – Kiedy nadejdzie świt, będziemy już koło świątyni.

Ledwie zamknęłam oczy, już spałam jak kamień. Tym razem Bogini łaskawie zesała mi sen bez żadnych koszmarnych widoków i strasznych przeżyć. Po prostu zdrowy, mocny sen.

Kiedy obudziłam się, jeszcze półprzytomna uświadomiłam sobie, że dookoła zrobiło się bardzo wilgotno. Spojrzałam w niebo. Z północy nadciągnęły szare, skłębione chmury, przynosząc mżawkę. Poza tym, choć słońce schowane było za chmurami, czułam, że świt dawno już minął...

Nagle usłyszałam krzyk:

– Sławmy Eponę! Milady żyje!

Jeden z moich wojowników stojący na straży przy brzegu rzeki prężył się gorliwie i salutował. Zauważyłam, że jego oczy lśnią podejrzenie. I jak tu się nie wzruszyć? Niestety, zdążyłam jedynie posłać mu cieplutki uśmiech, ponieważ ClanFintan nawet odrobinę nie zwolnił kroku, tylko dalej galopował przed siebie.

– Już prawie na miejscu? – spytałam.

Skinął głową. Minął znajome zakole rzeki, a zaraz potem moim oczom ukazał się wielki stary most. Kiedy ClanFintan wbiegł na niego, zauważył go jeden z wartowników i krzyknął radośnie. Inni wartownicy zawtórowali. Jeden, drugi, trzeci...

– Czyli jednak niektórym moim wojownikom udało się nie wpaść w łapy tych potworów – stwierdziłam, czując niewysłowioną radość, że radosnych okrzyków jest coraz więcej.

ClanFintan przebiegł przez most i skręcił do świątyni.

Marmurowe mury nawet w szary mglisty poranek jaśniały, zapraszały do siebie, a przed murami gromadził się tłum.

Wszyscy wylegli nam na spotkanie. Wszyscy, również grupka centaurów ze srebrzystym zjawiskiem na czele, za którym podążał centaur o żółtawej maści.

Na ich widok zaczęłam wrzeszczeć z radości:

– *Victoria! Dougal!*

Rozpromieniony Dougal był równie głośny:

– *A nie mówiłem?! – wołał. – A nie mówiłem, że dadzą radę?!*

– *Tym razem przyznaję mu rację – oświadczyła rozradowana Vic, ściskając mnie tak mocno, że omal nie spadłam z ClanFintana.*

Otoczeni tłumem wiwatujących ludzi i centaurów dotarliśmy do wejścia w murze na tyłach świątyni, koło stajni.

I tu znów nastąpiła chwila wielkiego wzruszenia, kiedy usłyszałam wyraźnie bardzo głośne i bardzo długie, bo wyjątkowo serdeczne rżenie Epi, a zaraz potem zobaczyłam biegnących ku nam Alannę i Carolana.

Gdy ClanFintan, zresztą już resztką sił, zsadził mnie na ziemię, Carolan natychmiast rozpoczął oględziny mego umęczzonego ciała, ale stanowczo zaprotestowałam:

– *Carolanie, ze mną wszystko w porządku. Zajmij się, proszę, moim mężem.*

Jeszcze raz spojrział na mnie bacznie i odwrócił się do ClanFintana.

– Proszę ze mną – powiedział po chwili posępnym głosem.

ClanFintan przed odejściem obdarzył mnie ekspresowym pocałunkiem.

– Przyjdę do ciebie, kiedy tylko Carolan wypuści mnie ze swych rąk.

Podążył karnie za Uzdrowicielem, a ja zabrałam się do ściskania zalanej łzami Alanny.

– Ani przez chwilę nie przestawałam wierzyć, że wrócicie – zakomunikowała drżącym głosem! – Ani przez chwilę!

– Dziękuję, kochana, bardzo dziękuję. A teraz – ściszyłam głos – pomożesz mi jakoś stąd się wydostać?

Jedną ręką objęła mnie w pól i poprowadziła między wiwatującymi ludźmi. Rozstępowali się przed nami, a ja machałam do nich, dziękowałam za serdeczne powitanie i przekazywałam, że czuję się dobrze, muszę tylko koniecznie odpocząć.

Miałam wrażenie, że przemarsz przez dziedziniec i korytarz trwa wieki, w końcu jednak nadszedł upragniony moment, kiedy wreszcie wchodziłam do pokoju kąpielowego i słyszałam, jak podążająca za mną Alanna wydaje polecenia strażnikom:

– Każ przynieść wino, wodę i świeże owoce. Potem obfity posiłek.

Zamknęła drzwi i oczywiście jeszcze raz rzuciłyśmy się sobie na szyję.

Pierwsza odsunęłam się ja, głośno pociągając nosem i ocierając łzy.

– Przepraszam, Alanno, pobrudziłam cię.

– Och, nieważne, Rheo, naprawdę nieważne, ale może zdejmę już z ciebie to ubranie.

Nie protestowałam. Chyba po raz pierwszy nie miałam ochoty wykazywać się samodzielnością i kiedy Alanna krzątała się wokół mnie, stałam potulnie jak baranek. Prawdopodobnie też dlatego, że cała dygotałam, tak na granicy hysterii. Po prostu odreagowywałam te wszystkie okropności, które dane mi było przeżyć.

Kiedy siedziałam już w ciepłutkiej wodzie, na mojej ukochanej marmurowej półce, ktoś zastukał i otworzył drzwi.

Do pokoju wpadła rozradowana nimfетка z tacą wyladowaną po brzegi.

– Och, milady! Jesteśmy tak szczęśliwi, że milady wróciła do domu!

Niełatwo się uśmiechać, kiedy szczękasz zębami. Ale udało się.

– Dzień...dziękuję. Też nie posiadam się z radości, że udało nam się szczęśliwie powrócić.

Dziewczę dygnęło i wyfrunęło na korytarz, a ja, wdychając z rozkoszy, wygodniej ułożyłam się w wodzie.

– Rheo, proszę, wypij.

Odebrałam od Alanny puchar i zaczęłam pić łapczywie...

zimną, krystaliczną wodę.

– Rheo, powoli. A nie od razu do dna – skarciła mnie Alanna.

Dobrze, dobrze. Oderwałam na moment usta od kielicha, nabrałam głęboko powietrza i dalej piłam łapczywie.

– Dzięki.

Oddałam jej pusty kielich bardzo zadowolona, że zaspokoiliam pierwszą z wielu moich potrzeb. Teraz największym marzeniem była czysta głowa.

Odchyliłam ją do tyłu, żeby włosy zanurzyły się i dla lepszego efektu kilkakrotnie rzuciłam głową na boki.

– Alanno, pomóż mi.

Wylała na mnie całą butelkę, po czym przystąpiłyśmy do namydlenia mojej rudej plerezy. Kiedy skończyłyśmy z włosami, Alanna podała mi gąbkę. Namydliłam się cała i dałam nura pod wodę, po czym, wreszcie czyściusia, wróciłam na półkę i Alanna znowu podała mi puchar z wodą. Po wypiciu, do dna oczywiście, zauważyłam, że moje ręce wreszcie przestały się trząść.

– Lepiej już? – spytała.

– Tak. Dziękuję, moja droga przyjaciółko.

Alanna usiadła po turecku koło baseniku i tym razem podała mi już nie wodę, lecz wino, a w zasięgu mojej ręki pojawił się talerz ze świeżymi, pokrojonymi już owocami.

Melon w kosteczkę. Uśmiechnęłam się do Alanny z wdzięcznością, włożyłam do ust jedną z takich kosteczek i zaczęłam ją powolutku przeżuwać, rozkoszując się słodkim sokiem rozlewającym się po języku.

– Och, Alanno, jak cudownie być w swoim domu, prawda?

– Tak, Rheo. Czy nie ma sposobu, żebyśmy mogli tu zostać?

Czyli, niestety, nastąpił powrót do rzeczywistości.

Natychmiast przypomniałam sobie to, co ClanFintan przekazał

Dougalowi. Wszyscy mają uciekać ze Świątyni Epony na drugą stronę rzeki. I słusznie, bo kiedy pomyślałam, co się działo i nadal dzieje w Świątyni Muz...

– Nie, Alanno. ClanFintan w twierdzi, że jest to absolutnie niemożliwe i moim zdaniem ma rację. Powiedz mi, czy podczas naszej nieobecności do świątyni przybyli jacyś nowi ludzie?

– Tak. Dziś rano przybyło sporo osób eskortowanych przez kilku centaurów i pięć Łowczyń. Carolan opatrzył im rany, teraz wszyscy wypoczywają. Wkrótce po nich przybyli Victoria i Dougal. I to oni nas powiadomili, że będziemy musieli opuścić świątynię. Już o świcie mamy przeprowadzić się na drugą stronę rzeki.

– Czy Talia jest tutaj?

– Tak. I czuje się dobrze.

– A... Sila?

Wstrzymałam oddech.

Niestety, po twarzy Alanny przemknął cień.

– *Sili nie ma. Nikt nie widział, żeby przepływała rzekę.*

– *Czy wróciło wiele centaurów?*

– *Dziś pojawiło się ich sporo, zaraz po powrocie Victorii i Dougala. Eskortowali chorych na ospę w bardzo ciężkim stanie.*

– *A ilu, twoim zdaniem, może być teraz centaurów w świątyni?*

Znów wstrzymałam oddech.

– *Moim zdaniem około trzystu.*

Czyli ocalała mniej niż jedna trzecia legionu. Reszta poległa. Aż tylu! Nie, to niemożliwe... Zrozpaczona pochylłam głowę i pomodliłam się żarliwie, błagając Boginię, by było jednak inaczej. Ocalało o wiele więcej centaurów, a nie ma ich tutaj, bo wycofali się na swoje równiny.

– *A moi wojownicy? – spytałam.*

– *Wojownicy popłynęli dwiema barkami, na każdej barce było pięćdziesięciu wojowników. Jedna*

barka nie wróciła. Ci, co wrócili, mówili, że kiedy zeszli na ląd, stwory już na nich czekały.

– A posiłki? Co z Woulffem i McNamarą?

– Przybyli za późno i zaraz zostali zmuszeni do odwrotu.

Connor przestał wieść, że stracili wielu ludzi.

Jeszcze to...

– Alanno, to jakiś koszmar.

– To prawda, Rheo, ale przecież musi być jakiś sposób, żeby ich się pozbyć!

– Oczywiście, Alanno. I znajdziemy ten sposób.

Niestety, wcale nie zabrzmiało to przekonująco. Słowa, tylko słowa. Puste...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Czyste ubranie, schludne uczesanie oraz żołądek zapełniony winem (dwa kielichy) i sporą ilością owoców sprawiły, że nastrój nieco mi się poprawił. Alanna włożyła mi koronę na głowę i powędrowałyśmy do mojego pokoju. Nie zdążyłyśmy jednak tam wejść, bo w chwili, gdy zamierzałyśmy przekroczyć próg, dopadła do nas jedna z pokojówek. Była bardzo skruszona tym, że zakłóca mi spokój.

– Proszę o wybaczenie, milady, ale mamy wielki kłopot.

W pralni kilka prześcieradeł zajęło się od ognia. Oczywiście pożar został ugaszony, ale wciąż jest tam wielkie zamieszanie.

Nie wiadomo, co robić, a Una i Nora wciąż się kłóca, kto zawinił z tym pożarem.

Ostatnie zdanie dziewczę wymówiło półgębkiem, kierując je do Alanny, która z uspokajającym uśmiechem powiedziała:

– Już tam idę. – Po czym odwróciła się do mnie i uściskała serdecznie. – Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje. Carolan prawdopodobnie już niebawem zwróci twemu mężowi wolność.

Kolacja czeka na was. A ja zajrzę tu jeszcze późnym wieczorem.

Podążyła w ślad za pokojówką, natomiast ja weszłam do pokoju. Kiedy strażnik zamknął za mną drzwi, uświadomiłam sobie, że jestem teraz sama, co ostatnio zdarzało mi się raczej rzadko. A chwila samotności czasami każdemu się przyda.

Pobędę więc sobie solo w tym pokoju, który naprawdę był już moim pokojem. Czułam się doskonale w tym pokoju z łóżem małżeńskim typu deser z pianki. Ramę w ogóle wyniesiono, na to miejsce przesunięto materac, który awansował do roli całego łóżka.

Był to bardzo przytulny pokój, w którym miło posiedzieć sobie w pochmurny, deszczowy dzień z dobrą książką i kieliszkiem pysznego wina. Teraz dodatkową atrakcją były smakowite zapachy unoszące się nad stołem zastawionym półmiskami. Mój rozbisurmaniony żołądek oczywiście od razu zaczął głośno domagać się zapelnienia, podeszłam więc do tego czegoś w rodzaju szwedzkiego stołu i zaczęłam konsumować.

W chwili, gdy miałam zamiar wgryźć się w małą tłustą nóżkę jakiegoś ptaszka, usłyszałam w pokoju obok, tej niby bibliotece, jakieś szmery.

– Hej, hej, jest tam kto? – zawołałam wesolutko, pewna, że to któraś z nimfetek zabrała się tam do sprzątnia.

Gdy odpowiedziała mi cisza, wzruszyłam ramionami, uznając, że coś mi się tylko wydawało. I dalej pochłaniałam nóżkę ptaszka. Po chwili jednak znów coś usłyszałam, tym razem głośny łomot. Jakby coś upadło, coś zdecydowanie dużego, ciężkiego i pustego w środku.

Czyli któraś z bojaźliwych dziewuszek coś stłukła, a teraz na pewno siedzi skulona pod stołem, bojąc się wyjść i stanąć twarzą w twarz z wredną Rhiannon. Taka wersja wydarzeń wydawała mi się jak najbardziej prawdopodobna. Nie, nie, tylko logiczna, bo jednocześnie miałam dziwne przeczucie, że wcale tak nie jest. Mało tego, poczułam się bardzo nieswojo, jakby działo się coś bardzo nielogicznego, ale i najprawdziwszego zarazem.

Cóż, sprawdzić trzeba. Westchnęłam, otarłam usta batystową serwetką haftowaną złotą nitką i spojrzawszy z wielkim żalem na szwedzki stół, ruszyłam do drzwi. Szłam niby pewnym krokiem, ale im bliżej byłam progu, tym bardziej czułam się nieswojo. Więcej – czułam strach. Kto to może być?

Czyżby jakiś Fomorianin zakradł się do świątyni?

Nie, bo to, co czułam, nie miało nic wspólnego z tamtym wyczuwaniem ewidentnego zła, czego doświadczyłam już kilkakrotnie. Teraz moje odczucia były niby podobne, a jednak inne. Z tym że w tym przypadku również byłam pewna, że coś takiego już kiedyś odczuwałam, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy to było i gdzie.

W rezultacie do biblioteki wchodziłam z duszą na ramieniu. W pokoju było jasno. Wszystkie świece w świecznikach – wiadomo, w kształcie czaszek – zapalone.

Rozejrzałam się dookoła. Nie zauważyłam nic szczególnego, pokój wyglądał identycznie jak wtedy, kiedy byłam tu po raz ostatni. Tylko mapa została z powrotem zwinięta, ale reszta bez zmian. Półki nadal uginały się od książek. Widok dla mnie znajomy i bardzo miły, tym razem jednak nie podziałał na mnie budująco. Nadal czułam się dziwnie, coraz bardziej nieswojo.

Pomyślałam, że to może z przemęczenia albo zaszкодził mi nadmiar owoców. A może...

Nie, coś się jednak zmieniło. Na środku stołu pojawił się jakiś przedmiot, którego przedtem na pewno tu nie było. Coś dużego. Co to może być? Czyżby...

Podeszłam, spojrzałam i nagle poczułam się tak, jakby ktoś walnął mnie w żołądek.

Na środku stołu stała waza, ta sama, którą kupiłam na aukcji, dzięki której miałam wypadek samochodowy i przeniosłam się do innego świata.

Czyli szok. Nadal nie mogłam nabrać powietrza. W głowie zaczynało się kręcić, pokój zakotłosał się. Miałam wrażenie, jakby ktoś wsadził mnie do gigantycznego słoja, podobnego do tych, oczywiście mniejszych, w których trzyma się złotą rybkę.

Chciałam się cofnąć, ale moje nogi wrosły w podłogę, która rozszalała się na dobre, zmieniając się w koszmarny wir, który zaczął mnie wciągać. Tak, wciągać coraz głębiej. Dusiłam się, tonęłam...

A waza nagle rozbłysła dziwnym światłem. Wtedy zaskoczyłam. Tę wazę przysłano tu po to, by zabrała mnie z powrotem do mojego dawnego świata.

Byłam półprzytomna, nie wiedziałam już, co jest rzeczywistością, a co magią. Granice zatarły się, a ja teraz w tej przeklętej wazie, która rozbłysła jeszcze bardziej, zobaczyłam...

siebie. Byłam w nieznanym mi pokoju, za oknami którego widać było światła wielkiego miasta. Szłam przed siebie naga, z rozpostartymi rękoma...

Nagle ktoś odepchnął mnie i wielka ciemna postać przemknęła tuż obok.

ClanFintan. Dobiegł do stołu, jednym ruchem zrzucił wazę na posadzkę i marmur zasłaly dziesiątki skorupki wciąż jeszcze świecących.

Zadudniły kopyta. ClanFintan zaczął wspinać się i opadać, tratując skorupki, miażdżąc je, ścierając na proszek, który powoli tracił blask.

Nagle uświadomiłam sobie, że nadal nie mogę zaczerpnąć powietrza. Słabnę. W głowie szum, nogi

uginają się pode mną.

Zapadam się w ciemność...

– Rheo! Rheo!

Ktoś mnie wołał, ktoś, kto musiał być bardzo daleko.

Wołał, żebym się obudziła, ale było to niemożliwe. Za nic nie mogłam się wydostać z tych ciemności.

– Shannon Parker! Otwórz oczy! Wróć!

Natychmiast otworzyłam oczy. Leżałam na naszym materacu, tuż nad sobą zobaczyłam bladą, zdenerwowaną twarz ClanFintana.

– Co... co się stało? – wybełkotałam i zaraz potem wszystko ożyło w mojej pamięci. Natychmiast zaczęłam szarpać się, próbowałam usiąść. – Waza! Waza! Chciała mnie stąd zabrać! – Tyle zdołałam wykrzyknąć i znów bez sił opadłam na poduszki.

– Leż spokojnie. Nie ma już tej wazy. Zniszczyłem ją – powiedział ClanFintan, przyciskając wargi do mojego spoconego czoła. – Posłałem po Carolana.

– Po co? Nic mi nie jest – zaprotestowałam, ale nie próbowałam już usiąść.

– Jest. Wyglądasz jak duch.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej...

Pogłaskałam go po policzku i w tym momencie do pokoju wpadł Carolan, a tuż za nim Alanna.

– Co się stało? – spytał Uzdrowiciel, przyklękając obok materaca. Dotknął mojej twarzy, wziął za rękę, żeby sprawdzić puls.

– Waza – wyjaśnił ClanFintan. – Pojawiła się tutaj.

Rhiannon próbuje znów zamienić się z Rheą na miejsca.

– O Bogini! Tylko nie to! – krzyknęła przerażona Alanna, zasłaniając ręką usta.

– Szedłem korytarzem, kiedy usłyszałem krzyk Rhei. To znaczy ten krzyk nie dobiegł z zewnątrz. Usłyszałem go w mojej głowie – relacjonował wciąż wzburzony ClanFintan. – Natychmiast tu przybiegłem. Rhea była w bibliotece. Waza świeciła, a cały pokój kołysał się, podłoga falowała jak woda.

Wypchnąłem Rheę z pokoju, a przeklętą wazę startłem na proszek. Rhea zemdląta.

– To prawda, ale czuję się już o wiele lepiej – poinformowałam.

– Możesz wstać? – spytał Carolan.

– Tak. – Pomogli mi się podnieść. Na szczęście pokój pozostał stabilny. – Podprowadźcie mnie do stołu – poprosiłam.

– Umieram z głodu, no i koniecznie muszę się napić.

– Czyli naprawdę czuje się lepiej – powiedział ClanFintan z wyraźną ulgą, niemniej prowadząc do stołu, nadal obejmował

mnie ramieniem.

Spoczął jak zwykle na szezlongu, a mnie jak zwykle usadził bliżusieńko u swego boku. Alanna podała mi puchar z winem i razem z Carolanem rozsiedli się naprzeciwko nas.

Wypiłam potężny łyk i starałam się jakoś wziąć w garść, co nie było takie proste, bo w środku nadal cała się trzęsłam.

– Ona chce tu wrócić – powiedziałam zdumiona, że mimo tej wewnętrznej trzęsionki mówię spokojnym, równym głosem.

– Czego można się było spodziewać. Tu była Wcieleniem Bogini, spełniano każdy jej kaprys, a tam jest nauczycielką angielskiego w Oklahomie i zarabia grosze, mocno poniżej średniej krajowej. W sumie więc wcale się nie dziwię, że zatęskniła za krajem ojczystym. W tej sytuacji każdy wolałby tu wrócić... – Zdawałam sobie sprawę, że dla moich słuchaczy nie wszystko, co mówię, jest jasne, ale skoro nikt mi nie przerywał... – Przedtem musiała skądś się dowiedzieć, jak wygląda ten mój dawny świat. Podejrzała, że są tam samochody, samoloty, drapacze chmur, autostrady, magiczna telewizja i komputery... – Zachichotałam, czując, że zaczyna kręcić mi się w głowie. – Spodziewała się, że tam też będzie rządzić, wydawać rozkazy obsłudze samolotów, władać telewizją i tak dalej. Nadal będzie Boginią. A tu klops. Nauczyciel orze jak może, a kasa żadna. Do tego ci rodzice, którzy zawsze obwiniają nauczycieli za niepowodzenia swoich dzieciątek. Mówię wam, czasami dochodzi do naprawdę ekstremalnych sytuacji, w rezultacie niejeden belfer zaczyna poważnie się zastanawiać, czy nie wkładać do szkoły kamizelki kuloodpornej...

– Kochanie! – ClanFintan zdecydował się przerwać moją tyradę. – Nie wrócisz już tam, Rheo. Nigdy nie pozwolę, by ktoś mi cię odebrał.

– Ale... ale... – Niestety, znów ta trzęsionka. – Jak masz zamiar ją powstrzymać?

– Zawsze znajdzie się jakiś sposób. Dziś przecież ją powstrzymałem, prawda?

Objął mnie mocniej, a ja z rozkoszą wtuliłam się w męża, chłonąc jego ciepło i siłę.

– *Nie martw się, Rheo – powiedziała Alanna, uśmiechając się do mnie ciepłutko. – Rozpowiemy wszystkim, jak wygląda ta waza, którą rządzi zło i która jest bardzo niebezpieczna.*

Zaręczam, że ktokolwiek się na nią natknie, natychmiast ją unicestwi.

– *Daj ją... Bogini! Bo czuję, że Rhiannon nadal będzie próbować.*

– *Ale na pewno jej się nie uda – powiedział stanowczym głosem Carolan.*

Natomiast ClanFintan nie powiedział już nic, tylko przystąpił do masowania moich ramion. Tak więc nie dziwcie się, że w tych warunkach pozwoliłam sobie na całkowite odprężenie. Uwierzyłam, że jestem całkowicie bezpieczna.

– *Podjedz sobie, kochanie – szepnął mi ClanFintan do ucha. – Zaraz poczujesz się lepiej.*

– *O tak, to zawsze dobrze na mnie wpływa – odszepnęłam i wzięłam kawałek delikatnej rybki. Jadłam i coraz bardziej się relaksowałam, słuchając, jak dwie mądre głowy, Carolan i ClanFintan, omawiają szczegóły jutrzejszej ewakuacji.*

Nagle ktoś załomotał do drzwi i natychmiast je otworzył.

Zlany potem strażnik szybko zasalutował i przekazał

hiobową wieść:

– *Fomorianie. Widziano ich w pobliżu świątyni.*

ClanFintan błyskawicznie zerwał się z szezlonga i pognął

do drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Odszukaj Dougala i każ mu zebrać centaurów i resztę Straży Świątyni przy wejściu na mury od północnego wschodu – rozkazał ClanFintan.

Gdy strażnik skinął głową i pobiegł, cała nasza czwórka szybko podążyła korytarzem do wyjścia na dziedziniec.

– Ale dlaczego? – zawołałam zrozpaczona. – Jak to mogło się stać? Jak to możliwe, że pojawili się tu tak szybko?!

– Pogoda im sprzyja – odparł Carolan posępnym głosem. – Słońce skryło się za chmurami, więc mogli ruszyć w drogę.

Wyszliśmy na dziedziniec, gdzie kłębił się tłum przerażonych ludzi.

*– Powinienem był przewidzieć, że potrafią przemieszczać się tak szybko – powiedział ClanFintan.
– Carolanie, dopilnuj, żeby wszystkie centaury i wojownicy weszli na mury.*

Powtarzam, także ranni czy chorzy. Nie mamy wyboru.

Carolan karnie skinął głową, szybko pocałował żonę i odszedł.

ClanFintan wydał teraz polecenia Alannie:

– Każ kobietom zebrać wszystkie kotły i przynieść na główny dziedziniec. Potem trzeba wynieść z magazynu wszystkie beczułki z olejem do lamp i też zgromadzić na dziedzińcu.

– Tak, ClanFintanie.

Gdy Alanna pobiegła, ja zabrałam głos:

– ClanFintanie, niech ci tylko do głowy nie przyjdzie wysyłać mnie po coś. Zostaję z tobą.

– Tak też myślałem.

Popędziliśmy przez dziedziniec, do miejsca, gdzie w murze było wyjście na tyły świątyni. Zostaliśmy jednak w środku, skręciliśmy w lewo i pobiegliśmy wzdłuż muru aż do miejsca, gdzie przy wąskich schodach wiodących na mur czekał na nas zdziśiatkowany legion centaurów, a także poturbowani wojownicy z mojej straży, którzy ocaleli po pierwszym ataku Fomorian.

Gdy z tłumy wystąpił Dougal, u jego boku od razu pojawiła się Victoria.

– Fomorianie! – zawołał ClanFintan.

– Tak, słyszeliśmy. – Dougal skinął głową. – Co teraz?

– Gdzie wartownik, który zawiadamiał straż? – Gdy do przodu wysunął się młody człowiek i zasalutował, ClanFintan rozkazał: – Mów.

– Stałem na warcie po tej stronie rzeki, milordzie. Kiedy usłyszałem podejrzaną hałas, wszedłem na stary dąb i zobaczyłem ich. Po stronie północnej, jak okiem sięgnąć, wszędzie były te stwory ze

skrzydłami. Wtedy od razu tu przybiegłem.

– Victorio, wejdz ze swoimi Łowczyniami na mury. Wasze kusze bardzo się przydadzą. – Gdy Vic i jej Łowczynie zaczęły wchodzić po schodach, ClanFintan zwrócił się do reszty wojowników: – Kobiety znoszą na główny dziedziniec kotły i beczułki z olejem. Przerzucajcie to na mury. Przynieście też pochodnie i drewno. Być może tylko w ten sposób uda nam się ich powstrzymać, nie wpuścić do świątyni.

Wojownicy natychmiast odeszli, by wykonać zadanie.

Przy nas został tylko Dougal.

– Przyłączamy się do Łowczyń – powiedział ClanFintan i pierwszy wszedł na strome schody.

A ja natychmiast przypomniałam sobie, jak kilka dni temu wspinałam się na mury razem z Łowczynią, też po wąskich stromych schodach, by potem oglądać koszmar...

Chodnik na szczycie murów, biegnący przez całą ich długość, był o wiele szerszy niż tamten niby-balkon wokół

kopuły w Świątyni Muz. Tak samo tamtejsza balustrada była niczym w porównaniu z marmurowymi blankami wieńczącymi mury Świątyni Epony. Łowczynie zajęły już swoje pozycje, trzymając kusze w pogotowiu. Ja ustawiłam się między ClanFintanem a Dougalem i tak jak oni wyteżyłam wzrok, starając się w szarości zmierzchu wypatrzeć wroga.

I nic. Tylko deszcz.

Nagle zrobiło się głośno, bo wojownicy zaczęli wnosić na mury ciężkie kotły i beczułki z olejem. Wtedy zauważyłam, że w niektórych przerwach między blankami w kamiennym chodniku wyłobiono głębokie dziury o gładkich brzegach, nad którymi wisiały żelazne haki przymocowane

z boku blanków.

Do tych dziur wojownicy wsypywali rozżarzone węgle i drewno, a na hakach zawisły kotły wypełnione olejem.

Pamiętałam, jak ClanFintan mówił z podziwem, że Świątynia Epony to prawdziwa forteca. Carolan wyjaśnił mi wtedy, że to dlatego, iż Epona jest Boginią Wojowników. Muzy to co innego, a Świątynia Epony zawsze jest gotowa do obrony.

Teraz pozostawała tylko nadzieja, że mamy wystarczającą liczbę wojowników, by odeprzeć wroga. Na murach pojawiało się ich coraz więcej, i ludzi, i centaurów. Niestety wielu było rannych, a twarze wszystkich miały posępny wyraz.

ClanFintan wydawał rozkazy i karnie zajmowano wskazane pozycje wzdłuż całej długości murów.

Słyszałam, jak w pewnej chwili zwrócił się do wartownika, który przybiegł tu z hiobową wieścią o Fomorianach.

– Jak ci na imię?

– Patrick.

– Powiedz mi, Patricku, czy w świątyni macie zapas długich łuków i strzał?

– Tak, milordzie.

– Wszystko to trzeba przynieść na mury.

– Tak jest, milordzie.

Po chwili pojawił się Carolan. Chciał spojrzeć na rannych wojowników, ale ClanFintan odciągnął go na bok.

– Powiedz Alannie, żeby zebrała wszystkie kobiety w świątyni. Mają się stamtąd nie ruszać. Każda może mieć ze sobą tylko koc, bukłak z winem i jakąś broń. Cokolwiek, nóż kuchenny albo nożyczki. Lepsze to niż nic.

– Powiem im.

Carolan zbiegł pędem po schodach.

Nagle między blankami rozległ się krzyk Victorii:

– ClanFintanie! Tam! Tam!

Nasze spojrzenia natychmiast przesunęły się w kierunku wskazywanym przez nią.

Fomorianie.

Fomorianie podchodzili do murów Świątyni Epony ze wszystkich stron jak zaciskająca się pętla. Wiatr niósł do nas ich złowrogi syk.

A ponad murami przetoczył się donośny, zdecydowany głos mego męża:

– Wszyscy czekają. Wielka Łowczyni da znak. Celujcie w głowy i karki. Większość z was już wie, że takiego gada niełatwo zabić.

Szeregi wrogów były coraz bliżej.

Widziałam, że gdy tylko Victoria wycelowała kuszę, natychmiast wszystkie Łowczynie i wojownicy poszli za jej przykładem.

Fomorianie byli już tak blisko, że widziałam ich oczy świecące dziwnym, czerwonym blaskiem, odsłonięte wilgotne kły i szpony.

– Teraz! – zawołała Victoria.

Setki strzał ze świstem przecięło powietrze i zaraz rozległ

się okropny odgłos rozrywanych ciał. Wiele stworów podążających w pierwszym szeregu osunęło się na ziemię, ale z tyłu szła cała chmara. Przekraczali przez leżących, martwych lub wijących się z bólu towarzyszy, i parli do przodu.

– Jeszcze raz! – krzyknęła Victoria.

Znów pofrunął deszcz strzał. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, nie dały jednak rady powstrzymać wroga, który już dochodził do murów świątyni.

– Lejcie olej! – rozkazał ClanFintan.

Przechylono kotły, z murów polały się strumienie wrzącego oleju. Fomorianie, którzy byli najbliżej muru, krzycząc straszliwie, zaczęli padać na ziemię i wić się z bólu. Ci, którzy szli za nimi, zatrzymali się, sycząc złowieszczo.

– Pochodnie! – krzyknął ClanFintan.

Na oblanych olejem Fomorian sfrunął z murów ogień i wrogowie natychmiast stanęli w płomieniach. Ci spośród nich, którzy byli w stanie uciekać, jak żywe pochodnie biegali na oślep wśród swoich pobratymców, którzy również zaczęli się palić. Zajęła się też sucha trawa, ogień rozpełzł się we wszystkie strony.

Jeszcze chwila i wszystkie stwory rzuciły się do bezładnej ucieczki, tratując siebie nawzajem, byle jak najszybciej uciec od murów świątyni.

Nasi wojownicy wydali radosny triumfalny okrzyk, sojusznicy, czyli centaury, zawtórowali, ale ClanFintan wcale nie miał zamiaru już cieszyć się ze zwycięstwa.

– Potrzeba więcej oleju! Uzupelnąć zapas strzał! Oni tu wrócą!

Smród płonących dolatywał na mury. Smród wprost nie do wytrzymania. Zastaniając ręką usta, zbiegłam po schodach, nie zdołałam się jednak nigdzie skryć i wymiotowałam.

Otarłam usta i dygocząc, odsunęłam się na bok. Czułam się okropnie, jakby ktoś mi żołądek okręcił drutem. A ten smak w ustach... Brr...

Nienawidzę rzygania. Naprawdę.

Doszłam też do pewnego wniosku. Nauczyciel angielskiego na wojnę absolutnie się nie nadaje. Owszem, poradzi sobie w wielu sytuacjach. Rozdzieli obrzucających się błotem młodocianych przywódców gangów czy szarpiące się za włosy panienki, bo jedna drugiej ukradła chłopaka. Postawi pod ścianą dzieciaki z klasy dziewiątej, jeszcze do końca niezepsute, kiedy będą próbowały wsypać do twojej butelki z wodą środek przeczyszczający, gdy ty na korytarzu tłumaczysz ich kumpłowi, że rzucanie w sufit kulkami z przeżutej gumy to początek, a dalszy rozwój w tym kierunku prowadzi za kratki.

I tak dalej, i tak dalej.

Ale prawdziwa wojna? Nie. A już na pewno w moim przypadku to po prostu wykluczone. Nie byłam do tego stworzona. Nie byłam na to przygotowana psychicznie. Nie, absolutnie z tym nie potrafię sobie poradzić. Nie, nie, nie!

– Masz w sobie siłę, Wybranko.

Starając się odzyskać oddech, starałam się też wchłonąć słowa Bogini, pozwolić, by faktycznie dodały mi otuchy.

Niestety, z tym było kiepsko. Mój śmierdzący oddech też nie wpływał na mnie krzepiąco.

Nagle pojawił się przy mnie ClanFintan.

– Rheo, dlaczego odeszłaś?

– Zwymiotowałam – odparłam zgodnie z prawdą.

Zabrzmiało to trochę dziecinnie, lecz było mi wszystko jedno.

– Aha... Ale teraz chodź już, kochanie.

Objął mnie ramieniem, a ja jak zwykle z rozkoszą wtuliłam się w jego ciepło.

– Tylko przypadkiem nie bierz się do całowania! – ostrzegłam. – Smakuję teraz jak... no wiesz.

ClanFintan roześmiał się.

– Domyślam się. Może uda nam się zdobyć trochę wina i przepluczesz usta – powiedział, ale też i pocałował mnie.

W czubek głowy.

Ruszyliśmy przez dziedziniec, zrobiliśmy parę kroków i zamarłam.

– Samiczko! Gdzie jesteś, samiczko?

Znajomy, obrzydliwy syk niósł się ponad murami. Miałam wrażenie, jakby już same te słowa potrafiły mnie odnaleźć i dopaść. Wysunęłam się szybko z ramion ClanFintan i pognałam schodami na górę, na mury. Spojrzałam w dół.

Wśród pełzającego ognia, wśród tłących się ciał Fomorian stał

Nuada. Nagi, z rozłożonymi skrzydłami. Wokół zwykle bardzo bladej twarzy, teraz zaczerwienionej i zlanej potem, powiewały bezbarwne włosy.

Na jego widok natychmiast zapomniałam o drucie wokół

żołądka. Nie odczuwałam żadnych dolegliwości, cała stałam się gniewem, gniewem żądnej zemsty Bogini.

– Czego chcesz, ty żałosna kreaturo?

Powiedziałam to półgłosem, ale magia Epony sprawiła, że do Nuady doleciały słowa o sile dzwonu.

– Ciebie, samiczko. Chcę ciebie.

– A, to fatalnie. Bo mnie nigdy nie będziesz miał.

Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Bez względu na to, co się działo przedtem i co dzieje się teraz, zawsze czułam, że Epona do tego nie dopuści. Jakby mi to obiecała.

– Będę miał! – zaskrzeczał. – Będę ciebie miał i wcale nie muszę długo na to czekać. Już jutro przybędzie tu reszta mojego wojska. Pozwoliłem im zabawić się z kobietami z tamtej świątyni, ale jutro już tu będą. Dlatego pożegnaj się dziś z tą cherlaczką, twoją Boginią, i z tym żalonym mieszańcem, którego nazywasz swoim mężem. Od jutra należeć będziesz do mnie!

Kątem oka zauważyłam, że ClanFintan daje ręką znak Victorii, która natychmiast rzuciła mu swoją kuszę. Ruchy ClanFintana były tak szybkie, że wzrok nie był w stanie ich zarejestrować. Strzała pomknęła ze świstem, a zaraz potem usłyszałam wrzask Nuady. Strzała poleciała dalej, zabierając ze sobą jego ucho, natomiast z głowy Nuady trysnęła krew.

Przyciskając rękę do krwawej fontanny i krzycząc rozpaczliwie, znikł w mroku.

– Temu facetowi przydałaby się pomoc specjalisty i porządna terapia – mruknęłam pod nosem tak dla odreagowania.

A ClanFintan donośnym, lecz spokojnym głosem wydał

rozkazy wojownikom:

– Wyznaczcie wartę. Część odpoczywa, część czuwa.

Victoria, Dougal i Patrick! Odszukajcie Carolana i Alannę, wszyscy macie jak najszybciej stawić się w pokojach Rhei. –A potem, już całkiem bezceremonialnie, nakazał: – Rheo, za mną!

I ruszył w dół po schodach.

Wszyscy bez szemrania rzucili się do wykonania rozkazu.

Ja też. Karnie podążyłam za mężem i szybko doszliśmy do mojego pokoju. Przekroczyliśmy próg i jeszcze zanim zdążyłam złapać oddech, znalazłam się w ramionach męża.

Całował mnie. Oczywiście na początku stawiałam opór, mamrocząc, że niedawno wymiotowałam, ale dla ClanFintana nie był to żaden argument. W rezultacie spasowałam i żarliwie odpowiedziałam na jego pocałunek.

Kiedy całowanie się skończyło, mój mąż z całej siły przytulił mnie do siebie.

– Ta kreatura nigdy nie będzie cię miała! Nigdy! Nie pozwolę na to!

– Wiem, wiem, kochany – wymruczałam zachwycona i jego słowami, i pieszczotą rąk przesuwających się po moim ciele.

Niestety gdy moje kolana zaczynały przyjemnie mięknąć, ktoś zapukał do drzwi. ClanFintan niechętnie wypuścił mnie z objęć, a ja błyskawicznie nalałam sobie wina i usiadłam na szezlongu.

Mąż krzyknął:

– Wejść!

W pokoju zjawili się rządkiem Dougal, Victoria, Carolan i Alanna, którym ClanFintan od razu bez żadnych wstępów przekazał bardzo konkretną i jakże ważną wiadomość:

– O świcie opuszczamy świątynię.

Przyjęli to bez żadnych komentarzy. Alanna na moment znikła gdzieś w głębi pokoju i jak to ona, zorganizowała sześć kielichów. Zakrzętnęłyśmy się obie. Ja rozdawałam kieliszki, Alanna nalewała wino.

– *Jak to robimy? – spytał Carolan.*

– *Pójdziemy falangą. Zwarte szeregi kobiet i dzieci otoczone pierścieniem wojowników. Centaury z tarczami i wyciągniętymi mieczami przemieszane z... – ClanFintan spojrział na Patricka – wojownikami ludźmi z pikami, też w pogotowiu... – odszukał wzrokiem Victorię – oraz Łowczyniami uzbrojonymi w kusze. Reszta wojowników, ludzie i centaury, uformują się w szereg między falangą a wrogiem.*

Wyruszamy o świcie. Idziemy na wschód, ku słońcu, i przekraczamy rzekę. Najpierw kobiety i dzieci, my powstrzymujemy wroga. Kiedy kobiety i dzieci znajdą się na tamtym brzegu, sami przepłyniemy przez rzekę. To wszystko.

Nie możemy zostać w świątyni, bo wszyscy zginiemy.

– *Wiele osób nie jest w stanie przepłynąć przez rzekę – powiedział Carolan. Wcale nie mówił oskarżycielskim tonem, tylko stwierdzał fakt.*

– *Ale wiele jest w stanie – wtrąciłam. – Jeśli stwory wedrą się do świątyni, kobiety spotka coś gorszego niż śmierć.*

– *ClanFintanie, czy naprawdę nie ma żadnego sposobu, żeby ich powstrzymać? – spytała Alanna drżącym głosem.*

– *Nie! Nuada mówił, że dołączą do niego posiłki, a ja myślę, że nie są to czcze przechwałki. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że będzie ich tak wielu, że nie zdołamy obronić świątyni.*

– *Milordzie... – zaczął nieśmiało Patrick – a po przejściu przez rzekę dokąd pójdziemy?*

– *Tam, gdzie jest bezpiecznie, czyli na Równiny Centaurów. Dojdziemy do siebie, zbierzemy siły i wrócimy tutaj. Zaczniemy wszystko od nowa.*

Patrick przełknął i skinął głową.

A ja przypominałam sobie o Terpsychorze, o jej poświęceniu. Pomyślałam, że może warto odłożyć ewakuację.

Odczekać kilka dni i przekonać się, czy stwory nie złapały ospy.

Kiedy jednak przemknęłam spojrzeniem po otaczających mnie twarzach ludzi i centaurów, istot tak bliskich już memu sercu, pomyślałam, że nie, to nie jest dobry pomysł. Zbyt wielkie ryzyko. Jeśli Fomorianie nie zachorują, wszystkich nas czeka niechybna śmierć.

– Wypijmy więc za nowy początek! – zawołałam, wznosząc kielich.

– Za nowy początek! – podchwycili wszyscy.

Stuknęliśmy się, wypiliśmy do dna i wróciliśmy do swoich zadań.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Przeprowadzka to nic zabawnego – mamrotałam pod nosem bardzo zdegustowana, pędząc korytarzem do pokoju kąpielowego. Natychmiast musiałam skorzystać z toalety, a nie miałam ochoty korzystać z publicznej. (Kretynka! Jakbym wiedziała na bank, że tu coś takiego jest!). W każdym razie gnałam do siebie, do swojej toalety. Przed drzwiami do pokoju kąpielowego nie było straży, co jednak mnie nie zdziwiło, bo wszyscy gorączkowo szykowali się do ewakuacji i każdemu przydzielono jakieś zadanie. Nie była to pora na sterczenie przed drzwiami i prezentowanie swoich mięśni (co już samo w sobie było żałosne).

Kiedy weszłam w wilgotne ciepło tak już przeze mnie ukochanego pokoju kąpielowego, rozkleiłam się. Oczywiście, że próbowałam nie katować się myślą, że być może nigdy już go nie zobaczę, ale co z tego, że się starałam. Kiedy spojrzałam na parujący basenik, na wszystko, nawet na świece w świecznikach-czaszkach, na duszy zrobiło mi się bardzo ciężko. Jakże ja będę tęsknić za tym swoim małym królestwem...

Po wyjściu z ustronnego miejsca podeszłam do toaletki i wzięłam butelkę z moim ulubionym mydłem. Wyjęłam korek, mocno wciągnęłam znajomy zapach i natychmiast w pamięci ożył pewien wieczór, kiedy podczas pełni księżyca kąpałam się w lodowatym jeziorze razem z centaurem, który wkrótce potem został moim kochankiem.

I przyjacielem.

Zamknęłam oczy i pomodliłam się z największą żarliwością: Błagam, Epono, pozwól mu przeżyć jutrzejszy dzień...

Drzwi otworzyły się i usłyszałam tak dobrze mi już znany cichy stukot kopyt po marmurowej posadzce.

– Alanna widziała, jak umykałaś w tym właśnie kierunku.

– Nigdzie nie umykałam, tylko potrzebowałam chwili samotności.

– Mam wyjść?

– Nie! Ciebie ta chwilka nie dotyczy. – Odwróciłam się i posyłając mu ciepłutki uśmiech, wsunęłam się w jego objęcia.

– ClanFintanie, a jak tam twoje rany?

– Lepiej. Mówiłem ci, że centaury wyjątkowo szybko wracają do zdrowia.

– Zauważyłam... – mruknęłam zajęta skubaniem wargami dołka tuż pod mostkiem. Co skubnęłam, mięśnie w pobliżu drżały. Można było pęknąć ze śmiechu. – Jaka szkoda, że mamy tak mało czasu...

Westchnęłam i skubnęłam jeszcze raz, a ClanFintan mocno mnie przytulił.

– Będziemy mieli czas. Jutro, pojutrze...

– Oby!

– Na pewno – powiedział twardym głosem i pocałował

mnie w czubek głowy. – Wojownicy rwą się do walki, są bardzo dzielni.

– Wiem. I jestem z was bardzo dumna.

Nie bez powodu. Wszyscy zachowywali się nadzwyczajnie.

Na przykład kobiety wcale nie lamentowały, nie histeryzowały.

Kiedy dowiedziały się o ewakuacji, po prostu zaczęły się przygotowywać. Zgodnie z instrukcją każda wystarała się o bukłak z winem i jakąś broń, pozwolono im też wziąć ubranie na zmianę. Kiedy nadszedł świt, na dziedzińcu zgromadziły się całe rodziny, bez paniki czekając na rozwój wypadków.

Nikt nie mówił głośno, że Fomorian jest zdecydowanie więcej niż ludzi i centaurów, a wśród nas na dodatek jest wielu chorych i rannych. Nikt nie narzekał, że dzień zapowiada się pochmurny i deszczowy, co dla nas było niedogodnością, a dla Fomorian bardzo korzystne. Nikt nie podkreślał, że płynąca kilkaset metrów od świątyni rzeka jest szeroka i niebezpieczna, a wiele kobiet nie potrafi pływać. Ale nikt o tym nie mówił.

Kobiety siedziały obok mężów i ojców, którzy ściskali w dłoniach piki rozdane przez wojowników. Większość z nich czegoś takiego nigdy dotąd w rękę nie miała, ale nikt się tym nie przejmował. Czyli, jak powiedziałam, zero lez, zero hysterii, żadnych rozmów o śmierci.

– Ale bardzo martwię się o Epi – wyznałam.

Zadecydowano, że najlepiej będzie, jeśli w chwili wymarszu wszystkie klacze wypuści się ze stajni i same pobiegną nad rzekę, bo będą wtedy miały największe szanse.

Przecież Fomorianie nie są zainteresowani końmi i zostawią je w spokoju.

Niestety była też inna możliwość, ale o tym nikt głośno nie mówił. Konie wzbudzą zainteresowanie Fomorian, dzięki czemu naszej falandze łatwiej będzie dotrzeć do rzeki.

– Epi jest bardzo szybka i bardzo mądra, Rheo. Na pewno dobiegnie do rzeki.

Pokiwałam głową, nie odrywając jej od jego piersi, i szybkoitko wzniosłam modły do Bogini, powierzając Epi Jej opiece. A potem...

– ClanFintanie – powiedziałam miękko, odsuwając się trochę, by zajrzeć mu w oczy. – Bardzo mi zależy na tym, byś o czymś się dowiedział, poznał moje myśli. – Przerwałam na moment, a potem tak po prostu wyznałam: – Dzięki tobie jestem bardzo szczęśliwa. Lepszego męża trudno mi sobie wyobrazić.

Uśmiechnął się i trącił palcem czubek mojego nosa.

– Mówiłem ci już, po co się urodziłem. By cię kochać.

– I to jest cudowne... – szepnęłam, jakby do końca zdając sobie sprawę, co to znaczy. – Po prostu...

magiczne.

Uśmiechnął się i odszukał ustami moje usta. Niestety, słodki pocałunek nie trwał długo, przerwany pukaniem do drzwi.

Alanna nie czekała na słowa zachęty, tylko od razu wpadła do środka.

– ClanFintanie, Victoria cię szuka. Nie wie, gdzie jest kwatery dla Łowczyń. A poza tym – Alanna spojrzała na mnie – muszę przygotować twoją żonę do jutrzejszej wyprawy.

Jak widać, też nadrabiała minę, udając bardzo dzielną i zajętą.

Uśmiechnęłam się do mojej kochanej przyjaciółki i błysnęłam dowcipem:

– Każda pora jest odpowiednia na dobranie odpowiednich dodatków!

Objęłam męża za szyję, zmusiłam, by pochylił głowę i cmoknęłam go w policzek.

– Niech to dobieranie dodatków nie trwa zbyt długo – poprosił na odchodnym.

Drzwi zamknęły się za nim, a ja szybko chwyciłam przyjaciółkę za rękę, bo nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Alanno, znajdź mi coś świecącego!

– Ależ Rheo! Świecącego? To bardzo nierozsądne. Nie powinnaś rzucać się w oczy, przecież Nuada

będzie cię szukał!

– Są rzeczy ważniejsze niż Nuada!

– Najważniejsze, to uchronić cię przed nim.

– Alanno, jak tylko tu się zjawiałam, wciąż kładziesz mi do głowy, że jako Wybranka Epony jestem duchową przywódczynią Jej ludu. Duchową i tak w ogóle, prawda?

– Tak, prawda.

– Więc jak ty to sobie wyobrażasz? Ja, przywódczyni narodu, mam się ukrywać, a od moich ludzi oczekiwać, że wykażą się bohaterstwem?

– Ale cię nie mogą pojmać! – krzyknęła drżącym głosem. – Nie mogą, rozumiesz? To byłaby tragedia, wszyscy byliby załamani...

– Nikt mnie nie złapie, to pewne. – Gdy gapła się na mnie z wielkim niedowierzaniem, spytałam: – Alanno, czy wierzysz szczerze, że jestem Wybranką Epony? Mam na myśli siebie prawdziwą, Shannon Parker, a nie kogoś, kto podszywa się pod Rhiannon!

– Oczywiście, że wierzę – odparła bez wahania.

– I ja też – powiedziałam, nagle uzmysławiając sobie, że tak właśnie jest. Wierzę w to bez żadnych zastrzeżeń. – Jako Wybranka Epony mam robić wszystko dla dobra Jej ludu.

A Epona zawsze będzie mnie chronić. – Ponieważ Alanna wciąż przypominała wystraszonego króliczka, dodałam: – Zróbmy więc tak. Suknia świecąca oraz ciemna peleryna, którą w razie potrzeby się zakryję. Zgoda?

Na ładniutkiej twarzy przyjaciółki pojawiła się wyraźna ulga. Potakująco skinęła głową, po czym zaczęła przetrząsać zawartość najbliższej szafy, natomiast ja zaczęłam zdejmować ubranie.

Po chwili usłyszałam radosny pisk.

– Mam! Ta na pewno będzie dobra!

Odwróciła się do mnie, demonstrując kawał tkaniny, na widok której też pisnęłam radośnie. I koniecznie musiałam zaraz jej dotknąć, pogłaskać. Gruby, ciężki jedwab w kolorze złota wyszyty dziesiątkami paciorków z kryształków, które w blasku świateł skrzyły się wszystkimi kolorami tęczy.

Wzdychając z zachwytu, rozłożyłam ręce, żeby Alanna mogła przystąpić do tego swojego magicznego owijania. Tym razem tors owinęła na krzyż, co wyglądało bardzo atrakcyjnie.

Spódnica była długa, dostojna, do samej ziemi.

Potem usiadłam przed toaletką i Alanna rozczesała mi włosy. Kiedy zaczęła upinać je we francuski warkocz, zaprotestowałam.

– Nie, Alanno. Po prostu czymś je zwiąż.

– Ależ Rheo, przy twoich włosach to nic nie da! Zaraz każdy pójdzie w inną stronę i będą ci przeszkadzać.

– Tak szczerze, widziałaś kiedyś, żeby było inaczej?

Nieważne, jak jestem uczesana, i tak zawsze... – Niestety nastął

koniec dyskusji, bo ktoś zapukał do drzwi. – Wejść!

W progu stanął jeden z wojowników.

– Milady, ClanFintan kazał powiedzieć, że nastał już czas.

– Dziękuję. Powiedz mu, że zaraz będę.

Gdy wojownik odbiegł, Alanna szybko związała mi z tyłu włosy, oczywiście nie za mocno. Włożyłam koronę, co udało mi się zrobić wyjątkowo zręcznie, natomiast Alanna wyjęła z szafy długą pelerynę podobną do poncho, tyle że z kapturem. Kolor jakiś taki szary, po prostu nijaki.

– Tylko mi nie wmawiaj, że Rhiannon coś takiego nosiła! – skomentowałam, bo peleryna na pewno nie była w jej stylu, w moim zresztą też.

– Wkładała, kiedy nie chciała, by ktoś ją rozpoznał. – Pomogła mi włożyć pelerynę, jeszcze raz krytycznie na mnie spojrzała, a na koniec z zadowoleniem pokiwała głową. – Bardzo dobrze. Jak włożysz kaptur, ciebie też nikt nie rozpozna.

– Dobrze. Dzięki. I ruszajmy już.

Kiedy wychodziłyśmy na dziedziniec, wzięłam przyjaciółkę za rękę i patrząc jej prosto w oczy, przekazałam dobitnie:

– Alanno, proszę, pamiętaj przede wszystkim, że masz dotrzeć do rzeki. Za wszelką cenę. Tylko to się teraz liczy.

W jej oczach widziałam lęk, nie miałam już jednak szans, by podnieść ją na duchu, ponieważ weszłyśmy w tłum szczelnie wypełniający dziedziniec. Falanga została już uformowana.

Tworzyły ją zwarte szeregi kobiet i dzieci otoczone dwoma pierścieniami mężczyzn. Pierścień zewnętrzny złożony był

z wojowników, z centaurów i z mojej straży. Każdy z nich w jednym ręku trzymał miecz, w drugim tarczę. Pierścień wewnętrzny, między wojownikami a kobietami i dziećmi, tworzyli wieśniacy, czyli mężowie, ojcowie, bracia i synowie kobiet w środku tego kręgu. Broń mieli najprzeróżniejszą, od mieczów począwszy, na sztyletach skończywszy. Niewątpliwie nie posługiwali się nią biegle, byli jednak bardzo zdeterminowani.

Kiedy patrzyłam na dzielne kobiety wykazujące się niezwykłym opanowaniem, serce mi się ścisnęło. Stały otoczone swoim drobiazgiem, nierzadko z niemowlęciem na ręku.

Pilnowały maluchów, uspokajały je, a jednocześnie popatrywały na mężczyzn, dodając im uśmiechem otuchy. Po prostu bohaterki.

– Sławmy Eponę! – rozległ się mocny głos ClanFintana i cała falanga powtórzyła jak jeden mąż: – Sławmy Eponę.

Mąż podszedł i pocałował mnie w rękę, a ja, czując w sobie wielki spokój, powiedziałam mu:

– Zanim wyruszymy, chciałabym udzielić błogosławieństwa.

– Naturalnie, Wybranko Epony.

Skłonił głowę i odstąpił.

Gdy na dziedzińcu zapadła idealna cisza, przemówiłam głosem tak bardzo donośnym, jakbym posługiwała się mikrofonem, choć oczywiście nie elektronika, lecz moja Bogini dała mu tę siłę:

– Każdemu z nas dane jest tylko jedno życie, krótki czas między jedną wiecznością a drugą. Drugiej szansy nie ma, nie można powiedzieć sobie, że jutro tu wrócę, jutro zacznę życie od nowa.

Nie, to niemożliwe. Żyjemy tylko raz, a życie nie polega jedynie na odczuwaniu bólu czy przelotnej przyjemności.

Życ należy mądrze, nie tylko sprawami doczesnymi, lecz również czerpiąc siłę z chwil magicznych, które mogą się zdarzyć – tu uśmiechnęłam się do mego męża – dzięki pokrewieństwu dusz, z chwil pełnych uniesienia. Dziś przeżywamy właśnie taką chwilę. Idziemy ku światłu, idziemy z odwagą i ufnością w sercu, świadomi, że oprócz demonów i zła istnieją dobro i miłość. Pamiętajcie! – Wyciągnęłam rękę, jakbym chciała objąć ich wszystkich. – Nie idziemy sami!

Epona jest z nami! Pamiętajcie, największe ciemności nigdy nie przyćmią blasku ognia! Bądźmy więc tym ogniem, jego złocistymi płomieniami, które rozproszą każdy mrok!

Cała falanga jak jeden mąż wydała z siebie głośny okrzyk.

Gdy opuściłam rękę, ClanFintan wysunął się do przodu i zagrział:

– Ruszamy wtedy, gdy Wielka Łowczyni da znak, że wojownicy, którzy mają osłaniać falangę przed Fomorianami, zajęli już swoje pozycje... – Skinął na Victorię, która natychmiast podeszła do schodów prowadzących na mury. Na moment znikła nam z oczu, po chwili ukazała się na szczycie muru, między blankami. – Pamiętajcie! – mówił dalej ClanFintan. – Idziecie pod osłoną wojowników. Przeprowadzą was przez bramę świątyni i dojdziecie do rzeki. Nie ociągajcie się, nie zatrzymujcie. Teraz waszym jedynym celem jest jak najszybciej dotrzeć do rzeki. Kiedy znajdziecie się po drugiej stronie, będziecie bezpieczni. Epona jest z wami!

Ludzie pokiwali głowami i wszyscy ustawili się przodem do bramy świątyni.

– Rheo... – zwrócił się do mnie półgłosem ClanFintan. – Stań wśród nich.

– A ty? Myślałam, że to ty nas poprowadzisz...

Wiedziałam, że muszę być dzielna ze względu na mój lud, ale kiedy pomyślałam, że ClanFintan rusza do walki z tymi potworami... to myślałam też, że serce mi pęknie.

– Poprowadzi was Victoria. Ja muszę zostać z innymi centaurami. Rheo... – Objął mnie i szepnął:
– Nie martw się.

Zobaczymy się po tamtej stronie rzeki.

– Ale proszę, bądź ostrożny, proszę, proszę...

Pocałował mnie krótko, za to bardzo mocno. Nic już nie powiedział, tylko odwrócił się i odszedł.

Alanna wzięła mnie za rękę.

– Chodź, Rheo.

Ludzie rozstępowali się przed nami, aż doszliśmy do środka grupy, gdzie ku wielkiej radości zauważyłam Tarah i Kristiannę, która grzecznie stała obok Uzdrowiciela.

Carolan ucałował żonę, przywitał się ze mną i poinformował:

– ClanFintan nalegał, żebym szedł w środku falangi.

Powiedział, że muszę wyjść z tego cały i zdrowy, bo drugi raz nie przeżyje szycia Victorii.

Chciałam podtrzymać żart, ale jakoś nic dowcipnego nie przychodziło mi do głowy. Zresztą nie było już czasu na pogawędki, ponieważ ze szczytu murów rozległ się dźwięczny głos Victorii:

– Centaury wyszły już ze świątyni, od tyłu. Klacze zostały wypuszczone. Wojownicy zajęli pozycje. ClanFintan daje znak... Ruszamy!

Victoria znikła, usłyszeliśmy, jak zbiega po schodach, po chwili znów ukazała się naszym oczom. Ustawiła się na czele pochodu, dała ręką znak i ruszyliśmy otoczeni zwartym pierścieniem wojowników. Kiedy czoło falangi wyszło przed mury na otwartą przestrzeń, zaczęło przyśpieszać kroku, w rezultacie środek falangi już nie wychodził ze świątyni, lecz wybiegał.

Mglisty, deszczowy świt minął, pogoda uległa całkowitej zmianie. Ranek był nadspodziewanie ciepły, na niebie złociło się słońce. Szybko pomodliłam się

do Epony, żarliwie prosząc, by promienie słońca do końca rozgoniły mgłę. I, kochana moja Bogini, niech dadzą porządnie popalić tym dupkom Fomorianom. Błagam...

Bo Fomorianie już atakowali. Przypuścili szturm z lewej strony, bo to stamtąd dochodziły odgłosy walki. Głośne krzyki, nawoływania, warczenie stworów niosło się daleko ponad polami i łąkami otaczającymi świątynię.

Kobiety, usłyszawszy odgłosy bitwy, odruchowo zaczęły zwalniać krok.

– Nie zwalniać! – zawołała Victoria.

Oczywiście natychmiast włączyłam się do akcji:

– Nie zwalniamy! Dotrzymujemy kroku wojownikom! Do przodu! Wszystko będzie dobrze!

Nagle zadudniły kopyta i z rzednącej mgły wybiegły klacze. Moje klacze, całe przerażone stado. Na nasz widok zdezorientowane zaczęły przystawać, wspinać się, tańczyć w miejscu.

Wyteżyłam wzrok, starając się dojrzeć wśród nich tę jedną jedyną.

– Epi! Epi! Carolanie, widzisz ją?

– Nie!

O Epono... Czulałam, jak serce podchodzi mi do gardła.

Wśród spłoszonych klaczy mignął mi skrzydlaty stwór. Jeden, drugi, trzeci... biegli od konia do konia, rozszarpując je szponami.

Jakaś dziewczyna krzyknęła rozpaczliwie, jej krzyk poniósł

się ponad polem, a wtedy głowy Fomorian zwróciły się w naszą stronę. Natychmiast zaprzestali rzezi koni i rzucili się ku nam.

Jak to oni. Podskok, krótki lot tuż nad ziemią, znów podskok...

Natychmiast włączyłam głos belfra, ten najgłośniejszy i najbardziej surowy.

Po prostu ryknęłam:

– Naprzód! Ruszać się! Biegiem! Nie oglądać się! Do przodu! Do przodu!

Gdzieś z boku usłyszałam wrzask. Spojrzałam tam w chwili, gdy centaur mieczem ścinał głowę stworu biegnącego ku nam.

– Przedarli się przez szeregi centaurów – wydyszał Carolan biegnący obok mnie. – Ale wojownicy za nami stawiają opór.

Też oczywiście biegłam, ale rzecz jasna starałam się dokładnie rejestrować to wszystko, co się dzieje. Przerażone konie nadal miotały się bezładnie, a w polu widzenia było coraz więcej

Fomorian. Szczęśliwie za nami widać też było walczących zaciekle centaurów, którzy ze wszystkich sił starali się powstrzymać kreatury, niestety czarnych postaci ze skrzydłami, biegnących w naszą stronę, było coraz więcej.

– Alanno! – wrzasnęłam. – Gdzie jest ta cholerna rzeka?!

– Jesteśmy dopiero w połowie drogi! Albo i jeszcze bliżej!

– odkrzyknęła blada jak kreda.

A zaraz potem rozległ się spokojny i opanowany głos Victorii:

– Łowczynie! Wystąpić z szeregu! Kusze przygotować do strzału!

Pięć wspaniałych Łowczyń wystąpiło z szeregów, wycelowało kusze.

– Strzelać!

Świsnęły strzały, a zaraz potem rozległ się dziki wrzaski trafionych stworów. I nowy rozkaz Victorii:

– Wojownicy! Podnieść tarcze!

Wszystkie tarcze natychmiast się uniosły, zasłaniając przerażający widok.

Choć tylko na chwilę, bo stwory dopadły do falangi i wojownicy rzucili się do walki, siekąc mieczami na prawo i na lewo. Tyle że liczba stworów rosła z minuty na minutę. Jeden padał, na jego miejsce natychmiast pojawiał się drugi...

A my dalej parliśmy do przodu.

Widziałam, jak Victoria strzela bez przerwy. Każda jej strzala niosła śmierć. Kiedy wkładała do kuszy kolejną, na moment udało mi się przechwycić jej wzrok.

– Do rzeki! – krzyknęła. – Za wszelką cenę! Inaczej koniec!

Twarz miała kamienną, cała była zbryzgana krwią.

Srebrzysta bogini śmierci.

Kiedy oderwałam wzrok od Victorii, zauważyłam, że jeden ze stworów, walcząc zaciekle szponami, przebija się przez pierścień mężczyzn. Działo się to tuż przed nami. Carolan odepchnął mnie na bok i uniósł miecz, który odebrał jednemu z wieśniaków.

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie.

Carolan ciął mieczem kreaturę po ostrych jak brzytwa szponach, a kreatura chwyciła za klingę. Wtedy Carolan szarpnął mieczem, kreatura zachwiała się i Carolan błyskawicznie uniósł broń i równie błyskawicznie opuścił ostrą stal na kark napastnika.

Alanna, łkając rozpaczliwie, ukryła twarz w dłoniach.

Tarah i Kristianna kurczowo złapały mnie za ręce, a ja jakoś nie mogłam oderwać oczu od stwora pozbawionego głowy. Ani Carolan. Staliśmy i patrzyliśmy. Dwie nieruchome postacie w samym środku chaosu.

– Patrz, Wybranko, patrz. Zobacz to, co powinnaś zobaczyć...

Cichy szept Bogini w mojej głowie kazał mi z całej siły wyteńczyć wzrok.

Zobaczyłam.

– Oni mają krosty!

Alanna, słysząc mój krzyk, natychmiast opuściła ręce.

– Tak! – zawołał Carolan. – Mają ospę! Dlatego są o wiele słabsi!

Choć osłabieni chorobą, nadal atakowali zajadle i nadal było ich nieprzebrane mrowie. Falanga znów ruszyła. Potykając się, potrącając nawzajem, parliśmy do przodu. Wojownicy dalej mężnie stawiali opór, ale scenariusz się powtarzał. Skrzydlatych stworów, choć osłabionych, nadal przybywało.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że dotarcie do rzeki jest niemożliwe. Nie damy rady, potwory zabiją nas wszystkich. Na moje oko nadal byliśmy bliżej świątyni niż rzeki. Logicznie więc powinniśmy wracać i schronić się za murami naszej świętej fortecy.

Żeby jednak to zrobić, potrzebna nam była pomoc.

– Pomoc już nadchodzi, Wybranko.

Wśród zamętu bitwy mignęło coś srebrzystego. Ale nie były to srebrzyste włosy Victorii ani złowroga srebrzysta biel ciał Fomorian.

Tylko srebrzystość jedyna w swoim rodzaju, przepiękna, delikatna, jak z bajki.

Mojej klaczy.

– Epi!

Biegała wokół falangi, starając się mnie dostrzec.

– Wezwij ją, Wybranko...

Tego nie trzeba mi było powtarzać. Przytknęłam dwa palce do ust i wydałam z siebie bardzo głośny, bardzo przenikliwy gwizd rodem z samej Oklahomy.

Epi poderwała łeb i zaczęła galopować w moją stronę, a ja zaczęłam biec do niej i krzyczeć:

– Przepuście ją! Przepuście Epi!

Falanga rozstała się. Jeszcze minuta i kochana klaczka, ciężko dysząc, wryła kopytami w ziemię tuż przede mną.

– Wsiądź na nią, Wybranko. Przekonasz się, jak to jest, kiedy Wybranka Bogini triumfuje.

Gorączkowo rozejrzałam się wokół, na szczęście zobaczyłam biegnącą ku mnie przyjaciółkę.

– Pomóż mi wsiąść! – zawołałam, kładąc już rękę na kłębie Epi.

Alanna piorunem wsunęła złączone dłonie pod moją zgiętą w kolanie nogę i podsadziła mnie.

– Rheo, co chcesz zrobić? – spytała bardzo zaniepokojona.

– Sprowadzę pomoc – odparłam, sadowiąc się na grzbiecie klaczy. – A ty poprowadź kobiety i dzieci z powrotem do świątyni. – Wyraźnie chciała coś powiedzieć, nie dałam jej jednak dojść do słowa. – Alanno, zaufaj mi. A ja ufam mojej Bogini. Prowadź z powrotem za mury świątyni.

– Tak, Wybranko Epony. – Z powagą skinęła głową. – Ufam i Bogini, i tobie.

Po czym zaczęła wołać do kobiet i dzieci, że wracamy.

– Epona wzywa was do powrotu, chce was znów w swojej świątyni! – krzyczała.

Niebawem jej nawoływania zaczęły docierać też do walczących wojowników. Kątem oka widziałam, jak Alanna podbiega do Victorii, łapie ją za ramię i mówi coś do niej, wskazując świątynię. Wtedy Victoria spojrzała na mnie, a kiedy potakująco skinęłam głową, donośny głos Łowczyni dołączył do nawoływań Alanny.

Po chwili falanga zaczęła zmieniać kierunek.

A ja na moment wyłączyłam się z tego, co działo się wokół, i wśluchałam się w swoje serce. Nie, raczej w swoją duszę.

– Patrz, Wybranko. Patrz uważnie.

Moje spojrzenie przemknęło po horyzoncie ponad głowami zalanych krwią wojowników i Fomorian. Patrzyłam na wszystkie strony, każąc klaczy zrobić pełny obrót.

Kiedy popatrzyłam na zachód, moje serce zabiło szybciej.

Czyżby...

– Patrz, Wybranko, a zobaczysz, że Woulff i McNamara nadchodzą.

Wojownicy! Wojownicy ludzie! Zwarty szereg ciągnął się daleko przez pola koło świątyni, promienie słońca odbijały się od tarcz. Moje serce przepęłniła wielka radość, choć zaraz pojawił się cień. Są tak daleko. Czy zdążą z odsieczą? Czy zdążą nas uratować, kiedy miotamy się między dwoma, o ironio losu, bezpiecznymi miejscami? Jednym stałym, czyli świątynią, a drugim ciekłym, czyli rzeką...

– Wezwij ich, Wybranko. Tylko ty to możesz zrobić.

Wreszcie wiedziałam na sto procent, dlaczego znalazłam się w tym innym świecie. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że stało się to za sprawą Bogini, która chciała się pozbyć egoistycznej, zepsutej Rhiannon. Chciała, by jej miejsce zajął

ktoś, kto potrafi pokierować ludźmi i kto poczuje się za nich odpowiedzialny. Ktoś, czyli ja, którą dziesięć lat pracy z nastolatkami doskonale przygotowało do takich zadań.

Mój lud to mój lud, jestem za niego odpowiedzialna. Oni należą do mnie, ja do nich.

Bogini nie musiała mnie ponaglać.

Zsunęłam z głowy szary kaptur, zsunęłam pelerynę, ściągając jednocześnie wstążeczkę, którą przewiązane były moje włosy, i zaczęłam przejeżdżać przez nie palcami, strosząc je, żeby się naelektryzowały i uniosły wokół twarzy jak grzywa lwa.

– Chłopcze! – krzyknęłam do młodego wieśniaka, który gorączkowo ścisnął w dłoniach stalowy oręż. – Daj mi swój miecz!

Chłopak natychmiast podbiegł do mnie i spełnił rozkaz.

Muszę przyznać, że kiedy unosiłam miecz wysoko nad głową, była to chwila wielkiej satysfakcji. Ścisnęłam mocno łydkami boki Epi, pochylłam się nad lśniąca szyją i cudowna klacz wyprysnęła do przodu. Zaskoczeni ludzie rozstąpili się, Epi pomknęła w dal, przechodząc z galopu w cwał.

Kiedy pierwszy promień porannego słońca dotknął klingi, poczułam, jak przez całe moje ciało przechodzi ożywczy prąd.

Wstąpiła we mnie moc, stałam się bardzo silna i bardzo pewna siebie. Spojrzałam w dół, na swoją suknię z ciekłego złota.

Skrzyła się w słońcu, jakby rzeczywiście skrojona została z najszlachetniejszego kruszcu, a małe pracowite aniołki wysadziły ją diamentami. Jak dla królowej z bajki.

Och, jaśniałam cała tą samą magią, która przydawała blasku gwiazdom w moich śladach.

Przede mną pojawiło się łagodne zbocze. Epi wbiegła galopem na szczyt niewielkiego wzgórza, skąd widziałam w oddali zwarte szeregi wojowników ludzi.

Zatrzymałam klacz. W jednym ręku nadal trzymałam wysoko uniesiony miecz, drugą mocniej ścisnęłam kępkę grzywy nad kłębem. I mocniej też ścisnęłam klacz łydkami.

Natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Podniosła łeb i bardzo głośno zarżała. A ja, równie głośno, zawołałam:

– DO MNIE! PRZYBYWAJCIE! – Mój głos miał tę samą nadprzyrodzoną siłę jak wtedy, kiedy stojąc na skraju bagien, przyzywałam ClanFintana. – WOULFF I McNAMARA!

PRZYBYWAJCIE!

Ponownie pociągnęłam lekko za grzywę Epi, a ona zarżała.

Nawet z takiej odległości usłyszałam głosy wojowników:

– Epona! To Epona!

Ich konie ruszyły z kopyta z prędkością dwukrotnie większą niż normalnie. A ja machnęłam mieczem, kreśląc nim srebrzysty łuk. Epi przysiadła na tylnych nogach, wspięła się, ja znów zagrzmiałam:

– DO MNIE, WOULFF!

Jego wojownicy, gnając ku mnie, wydali bojowy okrzyk.

– DO MNIE, McNAMARO!

Okrzyk bojowy wojowników McNamary dołączył do okrzyku ludzi Woulffa. Pędzili ku nam z prędkością, z której sam Duke (przypominam: pseudonim Johna Wayne'a) na pewno byłby dumny.

Po chwili wojownicy z pola bitwy podjęli okrzyk. Czułam w nich nowy, zbawczy przyływ energii. Odwróciłam się...

W samą porę, by zobaczyć warczącego Fomorianina, który szczerząc kły, zamierzał rzucić się na mnie.

– Epi! – krzyknęłam.

Klacz obróciła się, bijąc zadem, po czym chwyciła zębami za skrzydło stwora i rzuciła łbem, odrywając mu je od pleców.

Stwór krzyknął z bólu, zachwiał się, a ja chwyciłam ciężki miecz obiema rękoma, podniosłam w górę, potem ciachnęłam w dół, prosto w ramię wroga, a wszedł głęboko, aż do połowy klatki. Fomorianin upadł na ziemię, pociągając za sobą miecz, którego nie dałam rady przytrzymać. A tymczasem na nieruchome ciało zabitego wskakiwał już jego pobratymiec.

Teraz wszystko było w rękach Epi, a dokładniej w jej zębach i kopytach.

Walczyła zaciekle i nieskończenie długo. W każdym razie tak mi się wydawało, choć logicznie rzecz biorąc, mogło to być zaledwie kilka chwil. Kiedy te chwile minęły, byliśmy już otoczone przez całą chmarę Fomorian.

– Zostawcie ją mnie!

Znajomy głos, a właściwie syk.

Stwory rozstały się, przepuszczając zbryzganego krwią Nuadę, który nieśpiesznym krokiem wszedł na niewielkie wzgórze, by powitać mnie szyderczym uśmiechem.

– Samiczko, jak to miło z twojej strony, że oddzieliłaś się od reszty i czekasz cierpliwie na mnie.

Epi niezmiernie tańczyła przede mną, przysiadła na tylnych nogach, a kiedy Nuada zbliżył się jeszcze bardziej, wydała z siebie przeraźliwy, ostrzegawczy kwik.

– Twoja przyjaciółka wyraźnie nie jest zachwycona moim widokiem – zasyczał Nuada i zaśmiał się. Jego śmiech był przerażający.

I w tym momencie usłyszałam głos mego męża:

– Rheo! Rheo!

Pędził w stronę wzgórza.

Nuada też go zobaczył.

– Zabijcie klacz! – rozkazał. – Szybko!

Krąg posykujących stworów zaczął zaciskać się wokół nas jak pętla. Epi z płonącym wzrokiem obróciła się, strasząc zębami i kopytami, niestety na wzgórzu od krwi zrobiło się ślisko. Klacz poślizgnęła się i padła na kolana, a mnie wyrzuciło z jej grzbietu. Przeleciałam nad jej łbem i wylądowałam na mokrej ziemi, uderzając głową w rękojeść miecza, który jeszcze kilka chwil temu trzymałam w ręku. Poczulałam ogłuszający, oślepiający ból, a potem już pochwyciła mnie dławiąca jak lawina ciemność.

Nie, nie było żadnego sympatycznego przerywnika w Krainie Snów. Straciłam przytomność całkowicie. Schowała się gdzieś w najdalszym zakamarku mózgu, skąd mógł wydobyć ją tylko głos Bogini.

– Ocknij się, Wybranko. Jeszcze nie wolno ci odpoczywać.

On potrzebuje ciebie.

Głos był natarczywy, zmuszał mego ducha do reakcji.

Czulałam, jak ów duch opuszcza moje skulone, nieruchome ciało, czemu towarzyszył potworny zawrót głowy, dlatego w pierwszej chwili nie byłam w ogóle w stanie czegokolwiek dojrzeć wyraźnie. Bitwa, rozgrywająca się w dole, jawiła mi się jako jedno kłębowisko zakrwawionych ciał.

– Skup się, Wybranko, skup.

Zaczęłam więc oddychać głęboko, jednocześnie szybko mrugając, i nagle, jak za naciśnięciem guzika, znów wszystko zobaczyłam wyraźnie.

Wokół Epi pojawiło się kilku wojowników ze straży świątyni i odpierali atak Fomorian. Odpierali skutecznie, co po całej serii porażek było istotną odmianą. Odetchnęłam z ulgą, pomknęłam spojrzeniem w bok i zobaczyłam dwóch przeciwników walczących ze sobą w pewnym oddaleniu od reszty wojowników i stworów.

ClanFintan i Nuada.

Krążyli wokół siebie, obaj czujni, obaj pokryci potem i krwią. Z otwartej rany na głowie Nuady, zadanej przez strzałę Victorii, lała się krew, a skrzydła tak naprawdę były w strzępach.

Kiedy przysunęłam się w powietrzu bliżej, zauważyłam, że czerwień na tułowiu Nuady to nie krew, lecz szkarłatna wysypka. Niestety, kiedy skoczył na ClanFintana i szponami rozorał mu ramię, miałam dowód, że choroba jeszcze nie pozbawiła go sił.

ClanFintan nie miał już swego miecza, dlatego przed coraz wścieklej atakującym Nuadą bronił się tylko sztyletem i kopytami.

– Zejdź mi z drogi, ty skundlony koniu – wysyczał Nuada.

– Wreszcie będę miał swoją żonę.

– Nigdy.

Słowa Nuady, zamiast wzbudzać gniew w ClanFintanie, tylko utwierdzały go w jego pełnej spokoju determinacji.

Walczył metodycznie, nie ustępując ani na piędź. Niestety tylko nie ustępując, bo o zdobyciu przewagi nie było mowy, bo jak dotąd nie udało mu się znaleźć słabych stron przeciwnika.

– Dobrze wiesz, człowieku koniu, że ona powita mnie z radością!

Słowom Nuady towarzyszyły szpony. Chybiły i szpony, i słowa.

– Nigdy – powtórzył spokojnym niskim głosem ClanFintan.

– O ile ona jeszcze żyje...

Te słowa podziały na centaura. Rzucił się nagle do przodu, Nuada również. Zwarli się. Zęby Nuady, ostre jak brzytwa, były o kilka centymetrów od szyi ClanFintana.

A sztylet centaura tuż nad pulsującą żyłą na szyi Nuady.

Wtedy moje niewidzialne ciało zaczęło opadać, aż znalazło się tuż nad moim mężem. Oczywiście, przecież nie miałam zamiaru patrzeć spokojnie, jak ktoś kogo kocham, ginie z rąk tych stworów.

Zadrzałam w charakterystyczny sposób oznaczający, że robię się półwidzialna. Czyli było tak, jak chciałam. Teraz tylko pozostawało mi trzymać za siebie kciuki, w duchu oczywiście, że to, co robię, ma sens i powiedzie się.

– Hej, Nuado! – zawołałam uwodzicielskim głosem. – Szukasz mnie, chłopcze?

Natychmiast poderwał głowę, na moment zapominając o przeciwniku. A o to przecież chodziło. Widziałam, jak mój mąż jednym ruchem uwalnia swoją rękę przytrzymywaną przez Nuadę i ostrze sztyletu przesuwa się bardzo pieczołowicie po pulsującej na szyi żyłę. Nuada wykrzywił się z bólu, w jego oczach najpierw pokazało się niedowierzanie, a potem... potem zaczęły zachodzić mgłą.

Zachwiał się, poślizgnął na swojej krwi i padł na ziemię. ClanFintan stanął dęba, mokre kopyta zajaśniały nad ciałem stwora.

– Nigdy – powtórzył i opadł, tratując Nuadę. Wspiął się jeszcze raz i jeszcze raz, aż skrzydlaty stwór przemienił się w miazgę.

W taki oto sposób mój mąż przemienił zło Nuady w nicość.

Głośne krzyki zmusiły mnie do oderwania oczu od krwawej sceny. Okazało się, że to wojownicy Woulffa i McNamary dołączają do naszych. Centaury i ludzie utworzyli zwarty front i rozpoczęli dziesiątkowanie osłabionej armii Fomorian.

A ja... Och, nagle zabrakło mi tchu i znów poczułam okropny zawrót głowy. Jak przez mgłę słyszałam ClanFintana, który krzyczał:

– Rheo! Rheo!

– Ja nie mogę...

Nie dokończyłam, ponieważ moja dusza nagle i nieodwołalnie została wepchnięta z powrotem do nieruchomego ciała. Kiedy wessało ją tam do końca, powieki drgnęły i uniosły się minimalnie, lecz wystarczająco, bym dostrzegła swego męża. Zorientowałam się, że ClanFintan porywa mnie na ręce.

Kiedy znów zapadałam w ciemność, słyszałam jeszcze, jak woła:

– Wszystko będzie dobrze, Rheo. Zabieram cię do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pod wieczór wiatr wreszcie powiał z innej strony, za co podziękowałam Bogini bardzo gorąco. Przez trzy dni smród palonych ciał przenikał do świątyni, co fatalnie wpływało na moją obolałą głowę. Carolan zapewniał mnie, że guz na lewej skroni jest zaledwie wielkości kamyczka kogucika (czyli chyba jądra, no bo jak?). Co prawda byłam pewna, że jest wielkości zmutowanego grejppfruta i mieni się wszystkimi kolorami tęczy, najistotniejsze jednak były rokowania, a te brzmiały bardzo pomyślnie. Guz zniknie, a moja głowa dojdzie do siebie nie tylko z wierzchu, lecz także w środku. I chwała Bogu (Bogini!).

Zabito tysiące Fomorian. Osłabieni ospą nie byli w stanie skutecznie oprzeć się naszym połączonym siłom.

Carolan wysunął hipotezę, że ponieważ Fomorianie mają cechy ludzkie, ale ludźmi nie są, okazali się wyjątkowo podatni na tę chorobę. Okres inkubacyjny jest u nich o wiele krótszy niż u ludzi, a choroba rozwija się o wiele szybciej.

Wieczorem po bitwie najbliższe otoczenie świątyni wyglądało tak, jakby była to scena ze starego horroru „Noc żywych trupów”. Tak przynajmniej wynikało z relacji Victorii, co oczywiście nie znaczy, że śliczna centaurzyca ten film oglądała. A ja zdana byłam na relacje osób trzecich, ponieważ czas po bitwie spędzałam na przemieszczaniu się ze Wstrząsowej Krainy Haftowania do Krainy Podwójnego Widzenia. Vic mówiła, w co trudno uwierzyć, a jednak jest prawdą, że stwory zaczęły same rozdzierać się szponami.

Przestały walczyć, każdy z nich, udręczony samym sobą, zdawał

się przenosić do własnego świata i bezlitośnie rozorywał

poranione w walce ciało. W końcu bitwa ograniczyła się do posyłania na wroga deszczu strzał, które kładły kres ich męczarniom.

– Gdybyśmy pozwolili im tak męczyć się bez końca, okazalibyśmy się tacy sami jak oni –

podsumowała Victoria.

I w taki oto sposób okrutna bitwa zakończyła się aktem miłosierdzia.

Nadal pozostał nierozwiązany problem, jak pomóc kobietom, które za sprawą Fomorian zaszły w ciążę. Nad tym głowił się Carolan, zapewniając, że jeszcze zanim zgwałcone kobiety przybędą tu z Warowni, na pewno coś wymyśli.

– Ożeż ty... mam już dość tego gnicia w łóżku –mamrotałam wielce niezadowolona. Bo akurat to przebywanie w pościeli wcale nie było słodkim przerywnikiem u boku przystojnego męża, tylko przerywnikiem beznadziejnym, zdominowanym bólem głowy, jazdami do Rygi, nudnymi drzemkami i samotnością.

Usiadłam powoli i ostrożnie, mając nadzieję, że nie zakręci mi się w głowie, dzięki czemu nie puszcze pawia. Na szczęście tym razem kręcenia w głowie i pawia nie było w programie.

Tylko głowę rozsadzało, ale to był stan permanentny. Oprócz tego wszystko w porządku.

Tak więc wstałam.

Nie, jednak określenie „wszystko w porządku” nie okazało się trafne. W porządku było tylko w połowie, bo zwykle jakoś nie słyszę w swojej głowie każdego uderzenia serca. Niemniej ruszyłam się z miejsca i podeszłam do olbrzymich okien, tych od sufitu do podłogi, i otworzyłam jedno skrzydło. Wieczór był

bardzo ciepły, dlatego nie mogłam oprzeć się pokusie.

Powolutku wyszłam na dwór i mocno wciągnęłam w płuca upojny zapach kapryfolium. (Nie zapomnij poprosić którejs z nimfetek, żeby nacięła kapryfolium na bukiet do mojego pokoju!).

Nagle między krzewami ktoś zaćwierkał:

– Lady Rhiannon...

Czyli myślami ściągnęłam jedną z nich. Dziewczę nieśmiałym krokiem przeszło przez ogród i dygnęło przede mną.

– Tarah!

Spontanicznie ją wyściskałam, aż zarumieniła się z zadowolenia i bardzo serdecznie odwzajemniła moje uściski.

– Milady! Dziewczęta ze stajni prosiły, żebym spytała, czy milady czuje się już na siłach przyjść do stajni. Bo – uśmiech Tarah stał się jeszcze szerszy – ta dziewczynka, Kristianna, dziś pojedzie na Eponie!

– Cudownie. Już tam idę.

– Bardzo się cieszę, że milady odzyskała siły – powiedziała Tarah, wcale nie zbierając się do odejścia.

– Dziękuję. Też się bardzo cieszę, że wróciłaś do zdrowia.

Na jej twarzy i ramionach nie było już strupów, pozostało tylko kilka niewielkich śladów, które z czasem znikną. Tarah w ciężkiej chorobie wywinęła się śmierci i cała przyszłość dopiero przed nią.

– Dziękuję, milady. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do swoich obowiązków.

Trochę jednak jeszcze onieśmielona, spojrzała w bok, a wtedy zobaczyłam jej profil. Był prześliczny i jakże podobny do profilu... Czulałam, jak do oczu napływają mi łzy. Tarah do złudzenia

przypominała Terpsychorę...

– Kochanie, nie myślałaś może o tym, by poważnie zająć się tańcem?

– Tańcem? – Zarumieniła się po białka oczu i wykrzyknęła z młodzieńczą żarliwością: – Milady! O niczym innym nie marzę!

A ja czułam, że bohaterska Muza, która zmarła śmiercią męczeńską, na pewno zaaprobowałaby tę swoją replikę w wersji młodzieżowej.

– W takim razie poczekamy jeszcze trochę, aż w pełni odzyskasz siły, i porozmawiamy na temat spełnienia twoich marzeń.

– Och, dziękuję, dziękuję, milady!

Kiedy szłyśmy przez ogród, małej buzia się nie zamykała.

Była nieprzytomna ze szczęścia. Potem pierwsza pobiegła do stajni, żeby zaanonsować przybycie Wybranki Epony, a ja ni stąd, ni zowąd usłyszałam niski głos swego męża:

– Rheo, zamierzasz pomóc Talii w odbudowie Świątyni Muz?

– Szczerze mówiąc, teraz myślałam o Terpsychorze, o tym, czego by sobie życzyła...

Patrzyłam, jak mój piękny małżonek wylania się z mrocznego zakątka ogrodu. Tak, piękny. ClanFintan zawsze tak wyglądał. Teraz też. Świeże rany nie szkodziły urodzie, podkreślały tylko jego męskość.

Cóż mój mąż zrobił zaraz na wstępie? Wiadomo. Zaczesał

mi za ucho jeden z niesfornych rudych loków.

– Proszę, tylko nie pytaj, jak się czuję i nie każ mi wracać do łóżka – powiedziałam, co zabrzmiało chyba trochę jędzowato.

– Trzymasz się prosto, nie chwiejesz się i... – nachylił się i pociągnął nosem – wygląda na to, że nie było ci niedobrze...

– A pewnie, że nie! Dziś ani razu nie zwymiotowałam!

Och, znowu jak jakaś jędza! Na szczęście ClanFintan w ogóle się tym nie zrażał.

– To w takim razie czym zappełniłaś sobie czas? – spytał

niewinnym głosem.

– Rozmyślałam o tym i owym, również i o tym, że trzeba postać po Maraid. Alanna trochę ją podszkoli i będzie miała pomocnicę. To konieczne, bo Alanna jest po prostu zaorana, a powinna mieć więcej czasu dla męża. Bo ja widzę ich przyszłość. – Podniosłam rękę, jakbym niosła w nich obrazek – Widzę mamę, tatę i trzy córeczki.

– No proszę...

ClanFintan podszedł bliżej, wziął mnie pod boki i podniósł, tak trochę, właściwie tylko stopy oderwały się od ziemi.

W każdym razie podniósł mnie i mocno przytulił.

– A jak tam z naszą przyszłością? Co widzisz?

Jego głos zrobił się uwodzicielski, powiało erotyką, czymś, czego bardzo mi brakowało w ciągu ostatnich kilku nocy.

– Widzę... – Skubnęłam wargami płatek jego ucha. Bo też i pomyślałam sobie, że troszkę pieszczotek z mężem może okazać się skutecznym lekarstwem na ból głowy. – Widzę Przemianę. Dzisiejszej nocy.

Zaśmiał się i pocałował mnie krótko i szybko, a potem wsunął dłoń pod moje siedzenie, dzięki czemu przestałam zwisać jak szmaciana lalka.

– Chodzi mi o dzieci – powiedział. – Nasze dzieci.

– Dzie...ci? – pisnęłam, a w głowie z wrażenia usłyszałam łomot.

Zalomotało też potężnie w piersi ClanFintana, czyli zaśmiał się.

– Oczywiście! Przecież nie będziemy żyć w celibacie!

– Nie. Ale...

– Czy w twoim dawnym świecie nie uczą, skąd biorą się dzieci? – spytał ze śmiertelną powagą, tylko w oczach miał

chochliki.

– *Owszem. Nikt nie robi z tego tajemnicy. Ale... co to będzie?*

– *Chłopiec czy dziewczynka? – spytał niewinnym głosem.*

Walnęłam go z całej siły w twardą pierś.

– *Koń czy człowiek?!*

– *No cóż... – Uśmiechnął się do mnie, pocałował w czoło i błysnął centaurzym dowcipem: – Cokolwiek to będzie, na grzbiecie końskim utrzyma się znakomicie. Rozumiesz?*

Oczywiście, że pojęłam, i zafascynowana tym tematem, bezwiednie przesunęłam rękę w dół, na swój (stosunkowo) płaski brzuch. A tam – przysięgam – nagle coś zatrzepotało.

Oderwałam rękę, jakby poraził mnie prąd.

– *Dziecko? – Mój głos drżał, i to drżał porządnie.*

– *Tak, dziecko. Może już wyczuwasz to, co wkrótce nadejdzie.*

Znów przytulił mnie mocno do siebie, a ja dosłownie w niego się wkleiłam. Uwielbiałam tak tonąć w jego cudownym cieple.

– *Przyszłość...*

– *Naszą przyszłość, Rheo.*

– *Tak, naszą. Ty i ja. Och, jak mi się to podoba!*

– *Mnie też, Shannon – szepnął wprost do moich ust. –Bardzo...*

[1] *William Szekspir „Romeo i Julia’’, akt. II, scena 5.*

Przekład Józefa Paszkowskiego. (Przyp. tłum.)